

Paszyńska tworzy niezwykłych, wielowymiarowych bohaterów i splata ich losy z dramatycznymi dziejami Warszawy. Efekt zapiera dech w piersiach.

Liliana Fabisińska, pisarka

MARIA PASZYŃSKA

WILLA POD
ZWARIOWANĄ
GWIAZDĄ



Pascal

MARIA PASZYŃSKA

WILLA POD
ZWARIOWANĄ
GWIAZDĄ



Pascal

Autor: Maria Paszyńska

Redakcja: Małgorzata Taczanowska

Korekta: Katarzyna Ziola-Zemczak

Skład: Robert Kupisz

Projekt graficzny okładki: Katarzyna Borkowska

Zdjęcia na okładce: Trevillion (Mark Owen), Shutterstock (Palokha Tetiana), Narodowe Archiwum Cyfrowe

Zdjęcie autorki: Michał Bień

Redaktor prowadząca: Barbara Walus

Redaktor projektu: Agnieszka Filas

Redaktor naczelna: Agnieszka Hetnał

© Copyright by Maria Paszyńska

© Copyright for this edition Wydawnictwo Pascal

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, z wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Bielsko-Biała 2018

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

tel. 338282828, fax 338282829

pascal@pascal.pl

www.pascal.pl

ISBN 978-83-8103-248-3

Przygotowanie eBooka: Mariusz Kurkowski

Lilli, za to, że przypomniała moim skrzydłom, jak latać...

*Mowa bowiem o ludziach, którzy zostali skazani, choć niczego złego nie zrobili. To było
przeróżające.*

Jan Żabiński

*Dla psychiki niemieckiej było rzeczą nieprawdopodobną, żeby jakkolwiek konspiracja
mogła odbywać się w miejscu tak wystawionym na publiczny widok.*

Antonina Żabińska

Piotr

W dzieciństwie miałem tylko jedno marzenie, chciałem zobaczyć słońca. Było to dziwaczne, wręcz wstydlive pragnienie, dlatego nikomu nigdy się z niego nie zwierzałem. Bo i po co wystawiać się na pośmiewisko, narażać na kpiny, szturchanie, wyzwiska? Na ulicy trzeba być takim samym jak inni. Staralem się więc ze wszystkich sił być taki jak pozostałe łobuzy z Pragi. Z marnym skutkiem. I oni, i ja czuliśmy, że coś nas dzieli, a tym czymś był mój sekret, moje ukryte marzenie o słońcu.

Moi koledzy z sąsiedztwa śnili o ojcu bez pasa, parze butów, najlepiej niedziurawej i w adekwatnym rozmiarze, o palcie i węglu na zimę, o sienniku, którego nie trzeba dzielić z rodzeństwem lub starym dziadkiem. Nade wszystko zaś – marzyli o jedzeniu. Codziennie spotykaliśmy się z samego rana i rozmawialiśmy o tym, co byśmy zjedli, roztaczając przed sobą nawzajem wspinałe wizje stołów uginających się pod ciężarem białego chleba, którego jeszcze nigdy żaden z nas nie jadł, kiełbasy, ziemniaków ze smalcem i solą, których można by zjeść do woli. Im dłużej rozmawialiśmy, tym częściej musieliśmy splotać na ziemię, bo tyle śliny pojawiało się nagle, nie wiadomo skąd, w naszych ustach.

Nie, w rzeczywistości naszego dzieciństwa nie było miejsca na marzenia o słońcu, zbyt wiele było bardziej naglących potrzeb. Milczałem więc.

Mimo wszystko najbliższymi mi ludźmi na początku mego życia byli chłopcy mieszkający po sąsiedzku w naszej murowanej czynszówce, którą nazywaliśmy szumnie „kamienicą”. Bo czyż mieszkanie pod dachem, w domu o suchych, choć krzywych ścianach, ze wspólną kuchnią i ubikacją na każdym piętrze, nie było niemal luksusem w porównaniu z grzybkami drewnianych biedadomków po drugiej stronie ulicy? Albo jamami wykopywanymi w żwirze nasypów kolejowych? Szmulowiznę otaczały z trzech stron torowiska, wzdłuż których wiły się korytarze nor zamieszkiwanych przez najuboższych, niezadowolonych, nikomu niepotrzebnych mieszkańców miasta.

W pogodne dni siedzieliśmy z chłopakami na schodach z brodami podpartymi na pięściach albo wałęsaliśmy się po ulicach, pokrzykiwaniem i głośnym śmiechem bez powodu usiłując zagłuszyć burczenie w brzuchach.

Praga, nie licząc może okolic początków Ząbkowskiej, Targowej czy odchodzącej od niej w stronę Jagiellońskiej urokliwej uliczki Kępnej – gdzie chodziłiśmy niekiedy poprzyglądać się ładnym panienkom, uczennicom prywatnego gimnazjum żeńskiego Zofii Łabusiewicz – postrzegana była wówczas za schronienie dla wszystkich „odpadów”, jak nazywano niepożądanych mieszkańców stolicy zachodniego państwa, za jakie chciała uchodzić niepodległa Polska. Prawobrzeżna Warszawa jawiła się jako swoisty azyl nędzarzy, sierot, weteranów wojennych, bezdomnych, ulicznic.

Dzielnica, w której granicach zamknięty był cały świat mojego dzieciństwa, uważana była za wylęgarnię złodziei, łajdaków, opryszków, żebraków, włóczęgów i wszelkiej maści rzezimieszków, jednym słowem, za obrzydliwą pleśń na zdrowym organizmie Warszawy. Ówczesni znawcy społeczeństwa z wielką wprawą prześcigali się w wygłaszaniu negatywnych opinii na temat Pragi, uparcie pomijając rozwijający się tu przemysł oraz handel, kwitnący dzięki rozlicznym połączeniom komunikacyjnym ze wschodem i zachodem. Woleli widzieć jedynie to, nad czym mogli wytrząsać się na łamach gazet – zaniedbania, konflikty z prawem i biedę mieszkańców naszej dzielnicy – niż dostrzec robotników, fabrykantów, rzemieślników, przemysłowców czy wielce obrotowych kupców handlujących nawet z zagranicą. Pomstowali na brud i fetor nie do zniesienia, jakby na lewym brzegu Wisły nie widywano gnoju powciskanego pomiędzy pękate kamienie nawierzchni, który latem, w połączeniu ze smrodliwymi rynsztokami, nawet w eleganckich dzielnicach wydzielał straszliwy odór. Pył węglowy i dymy z kominów także nie wdzierały się tu w tynki jakoś intensywniej niż w Śródmieściu, a mimo to wciąż powtarzano opinie, że Praga to miejsce szare, ponure i smutne.

Szmulowizna – dawny majątek Samuela, zwanego Szmułem, Zbytkowera, protegowanego ostatniego króla Polski, o czym wszyscy mieszkańcy dzielnicy mówili zawsze z dumą tak wielką, jakby to była ich osobista zasługa (zdarzali się i tacy, którzy twierdzili, że w prostej linii są potomkami Zbytkowera) – uchodziła za najgłębsze czeluści praskiego piekła, za czarne, smoliste morze zepsucia i zgnilizny moralnej. Świat ludzi żyjących z dnia na dzień, bez pla-

nów, bez stałego źródła dochodów, bez jakichkolwiek przymiotów poważnych obywateli.

Ja jednak nie widziałem tego wszystkiego. Dla mnie był to świat, owszem, pełen niedostatków, ale fascynujący, różnorodny, przepelniony zapachami i kolorami, gdzie polski mieszał się z rosyjskim, jidysz, ukraińskim, a nade wszystko z gwarą praską, która zdawała się niekiedy językiem ponadnarodowym, jak francuski na królewskich dworach. Bywałem tam naprawdę szczęśliwy, na przykład wtedy, gdy udawało nam się znaleźć lub ukraść coś do jedzenia. Dzieliliśmy wówczas zdobycz uczciwie między siebie, choćby to był najmniejszy kawałek słoniny czy jedna cebula. Nikt nie najadał się wprawdzie do syta, ale wzrastało nasze poczucie bliskości, wywołane wspólnym znoszeniem niedostatków. Gdy byłem mały, zdawało mi się, że właśnie ten nieustanny niedosyt buduje jedność i dziwną solidarność mieszkańców naszej dzielnicy. Byliśmy my i cała reszta świata. Mieliśmy własny kodeks honorowy, zgodnie z którym swojego broniło się zawsze, choćby się go na co dzień nie lubiło i wśród miejscowych obrzucało najbardziej wyrafinowanymi obelgami. Na cudzej ziemi jednak nawet wróg, ale z dzielnicy, był jak brat.

Gdy było wyjątkowo zimno lub mocno padało, gnieździliśmy się w starej, drewnianej latrynie na tyłach naszego domu. Zaczynał się tam teren, który nazywaliśmy Ciemnością – wielka przestrzeń pozbawiona zabudowań, a w bezksiężycowe noce jakichkolwiek źródeł światła. Pójście „na Ciemność” po zmroku było wielce szanowanym wyczynem, na który mało kogo było stać. Nawet najodważniejsi znajdowali zwykle jakąś wymówkę, by nie poddawać próbie swego męstwa. W ustępie, niepozornym punkcie granicznym między naszym światem a Ciemnością, śmierdziało okropnie. Zapach odchodów wielu pokoleń prażan zamieszkujących te okolice wdzierał się w usta i nos, ale było przynajmniej sucho i mogliśmy być razem, zamiast siedzieć w domu z całą rodziną. Nasze mieszkania, będące zazwyczaj pojedynczą izbą, służyły wyłącznie do spania i jedzenia. Spaliśmy na siennikach, za dnia zrzucanych jeden na drugim pod ścianą, a posiłki przygotowywaliśmy we wspólnej kuchni, o ile w ogóle akurat było co ugotować i zjeść. W brudzie, zaduchu i ciasno-

cie nie dało się wysiedzieć dłużej, więc bez względu na porę roku wszyscy wychodzili ze swoich mieszkań na podwórko, gdzie toczyło się prawdziwe życie.

Latem kobiety, niemal wszystkie z małymi dziećmi zawiązanymi w chustach przy piersi, wносиły przed dom stołeczki i siedząc na nich, łuskały fasolę, obierały jarzyny i plotkowały. Czasem urządzały wspólne pranie. Wówczas na podwórzu ustawiano kilka wielkich balii. W jednych moczono brudne ubrania. Do drugich dodawano obierki mydła, gdy ktoś je miał, lub po prostu popiołu czy piasku i rozcierano na tarach co bardziej zabrudzone miejsca, by na końcu wypłukać pieluchy, odzież, pościel czy szmaty w zimnej wodzie. Ciężką pracę kobiety umilały sobie śpiewem. Dni, w których robiono wspólne pranie, nabierały niemal świątecznego charakteru. Małe dzieci z nabożnym zachwytem wpatrywały się w cebry, w napięciu czekając chwili, gdy z którejś balii uniesie się ku niebu kolorowa bańka. Potem wszyscy pomagali rozwieszać pranie na sznurach rozpiętych w oknach lub pomiędzy drzewami. Wówczas cały świat pachniał inaczej, jakby świeżej. Kobiety zaś, choć spocone i z poczerwieniałymi rękoma i twarzami, wydawały się jakieś weselsze.

Zimy były smutniejsze. Mrok gęstniejący co dzień zbyt szybko zdawał się opanowywać także ludzkie dusze. Kobiety, okryte dziurawymi kocami, tuliły się do siebie, cerowały poszarzałą bieliznę. Siedziały wtedy przy jednej lampie, na ławach w sieni kamienicy, całkowicie zagradzając przejście i z rzadka tylko nuciły coś pod nosem. Wszyscy chodzili zziębnięci, a i głód odczuwaliśmy jeszcze silniej, gdy ścisnął mróz. Niedogrzewane mury nie dawały ciepła swoim mieszkańcom, choć niewątpliwie chroniły przed lodowatymi podmuchami wiatru czy zawieją śnieżną. O tej porze roku utyskiwano niemal na wszystko. Złorzeczono władzy i Bogu, mężowie krzyczeli na żony, matki na dzieci. Woda zamarzała w wiadrach, a odchody w ustępach, tak że przy oddawaniu moczu z ich wnętrza wydobywała się cuchnąca para. A jednak nikt nie narzekał na kąt, który zajmował. Wszyscy zgodnie cieszyli się, że w ogóle mają dach nad głową. Wiedzieliśmy bowiem, jak łatwo można go utracić.

Gazety rozpisywały się o coraz liczniejszych przypadkach samobójstw spowodowanych tym, że nagle całe rodziny lądowały na bruku. Ludzie, którzy tracili pracę, mieli wypadek w fabryce lub zapadali na zdrowiu, byli niemal

natychmiast, bez uprzedzenia, wyrzucani z zajmowanych dotąd izb i zasilali i tak już liczne szeregi warszawskich bezdomnych. Takie było prawo. Nikt nie mógł zabronić podobnego zachowania właścicielom czynszówek, a jednak wszystkim zdawało się niepokojące, że prawo w wolnej Polsce, które winno chronić obywateli, przyzwalało na wyrzucenie w środku zimy ojca z pięciorgiem dzieci i położnicą, tylko dlatego, że zalegali z komornym dzień czy dwa.

W rozmowach, które dorośli toczyli na podwórzu, często powtarzało się tajemnicze słowo: eksmisja i choć nie jestem pewien, czy oni sami pojmowali w pełni jego znaczenie, gdy padło z czyichkolwiek ust, słuchający zastygali, kurczyli się w sobie, jakby chcieli się przed czymś ukryć. Za każdym razem, gdy ktoś wypowiadał to słowo, zdawało mi się, że w lokatorach naszej kamienicy rodzi się jakiś dziwny zapach. Kobiety zaciskały wargi i wykonywały swoje prace jeszcze energiczniej, a mężczyźni wkładali kraciaste, brudnawe czapki na głowy, papierosy w usta i odchodzili bez słowa. Nie wiadomo dokąd.

O tym, czym się zajmowali, nie mówiło się na podwórzu głośno. Wszyscy jednak zgodnie oddychali z ulgą, gdy ich ojcowie i mężowie znikali w szarudze świtu, by znów wstrzymać powietrze, gdy wracali po zachodzie słońca. W kamienicy wypełnionej za dnia gwarem, krzątaniem, śpiewami, kwileniem niemowląt, piskiem i śmiechem dzieci, wieczorem królowała cisza, odgłos strachu. Od czasu do czasu ktoś krzychał bełkotliwie grubym, męskim głosem, a zaraz potem rozlegał się kobiecy szloch i wtedy wszyscy wiedzieli, że gdzieś w sąsiedztwie zaczęło się bicie. Pozostałe kobiety sztywniały i spoglądały czujnie na swoich milczących jeszcze mężów o zaczerwienionych twarzach i kwaśnym oddechu, pochylonych nad miską kartofli lub brukwi. Modliły się, by tego dnia bicie je ominęło. Niektóre na wszelki wypadek zakładały na plecy dodatkową koszulę czy kamizelkę, żeby w razie czego mniej bolało. I przez cały czas błagały Boga, by małżonek najadł się tym, co odebrały od ust sobie i dzieciom, i zmorzony snem padł na siennik. Chciały pozostać niezauważone, to było ich jedyne marzenie. My, starsze dzieci, staraliśmy się nie wracać do domu przed zgaszeniem ulicznych latarni. A gdy wreszcie szliśmy ciemną klatką schodową i rozchodziliśmy się każdy ku odrapanym drzwiom swojego

mieszkania, ci z nas, którzy mieli matki, łączyli się z nimi w modlitwach. Wszyscy bez wyjątku chcieliśmy zastać ojców śpiących. Czasem się udawało...

Matki nie miały wyboru, ale my wieczory spędzaliśmy zwykle na dworze lub, jak już wspomniałem, w starej latrynie. Kryjówka ta miała jednak pewną wadę, o wiele gorszą od smrodu. Choć w naszej kamienicy na każdym piętrze był ustęp, od czasu do czasu ktoś przychodził do tego na podwórzu i szarpał za drzwi. Działo się to głównie wieczorami, gdy zamroczonym alkoholem mężczyznom ustęp na podwórzu zdawał się łatwiej osiągalny niż ten w kamienicy, do którego mimo wszystko trzeba się było wdrapywać po schodach. Gdy ktoś podchodził do drzwi, momentalnie milkliśmy, nasłuchując w napięciu. Jeśli potrzeba była niewielka, mało kto, napotkawszy zamkniętą zasuwkę, próbował ponownie wejść do środka. Ten i ów szedł pod płot, a kobiety zwykle sikały wprost do wiadra z wodą, którą od czasu do czasu zalewano nieczystości w latrynie. Jednak gdy szarpnięcie się powtórzyło, a zaraz po nim następowała siarczasta salwa przekleństw, oznaczało to, że jesteśmy w kłopotcie. Kiedy potrzeba była naprawdę paląca, do obelg szybko dołączało walenie w cienkie, drewniane drzwi. Już przy drugim szarpnięciu rozpoczynaliśmy ewakuację, zwłaszcza gdy po wściekłych wrzaskach osoby, której bulgotało w trzewiach, stojącej w strugach deszczu lub zimowej zawiei, rozpoznawaliśmy kogoś ważnego. Kogoś, kogo należało się bać.

Za ustępem rosły gęsto splątane krzaki, które przyciskały się do tylnej ściany budki. Starsi chłopcy wryli w nich niewidoczny z zewnątrz tunel, a potem obluzowali dwie deski, by móc podglądać dziewczyny albo spółkujące z zapalem pary. Większość z nas była tak chuda, że po odgięciu luźnych desek bez trudu wślizgiwaliśmy się w szparę i dalej w kłującą ciemność krzaków. Czasem jednak gość czekający na zewnątrz zdążył już z wściekłości szarpnąć tak mocno, że wyrywał skobelek i otwierał drzwi. Tych z nas, którzy nie zdołali do tej pory uciec i zostali rozpoznani, następnego dnia spotykało ciężkie łanie.

Raz Mały Józek od Siwków nie przeżył bicia za zajęcie latryny. Złapał go młody Wronek, potężne, wściekłe i zawsze pijane bydlę z sąsiedniej ulicy. Jego kobieta, którą traktował równie źle jak wszystkich innych, mieszkała

w naszej kamienicy. Wronek złapał malca i bez słowa połamał mu żebra, rozbił głowę, rzucił na ziemię jak szmacianą lalkę, a potem spokojnie zsunął gacie i zasiadł załatwić potrzebę, która go tu przywiodła. Mały Józek umarł tymczasem po drugiej stronie zepsutych ponownie drzwi. Zdechł jak pies i nikt po nim nie płakał, bo Siwkowie mieli jeszcze czternaścioro bachorów. Pewnie nawet nie zauważyli jego zniknięcia. Ja jednak nigdy więcej tam nie poszedłem. Nie mogłem i już.

Od tego dnia chłopcy z naszej ulicy zaczęli mówić głośno to, co przeczuwali od dawna. Obwołali mnie dziwakiem i nie marnowali okazji, by uprzykrzyć mi życie. I tak niełatwe.

Nie miałem matki. Ojciec zwykł mawiać, że to ja ją zabiłem.

– Nie pleć bzdur! – ofuknęła go kiedyś babka, słysząc te słowa. – Słaba była. Zabiedzone chuchro takie. Straciła dużo krwi, to i obumarła. Żadna w tym wina chłopaka. Sam wybrałeś sobie mizerną babę, to teraz nieś brzemię, a nie na dzieciaka zrzucaj.

Babka mieszkała z nami. Gdy kładła się do snu, jej stopy sięgały jednej ściany, a głowa drugiej. Była postawną kobietą, mimo tuszy zwinną i szybką. Jej muskularne ramiona porastał ciemny meszek wystający spod rękawów podkasanych o każdej porze roku. Ciężki los wyrył na jej twarzy liczne bruzdy, poznażył ciało brązowymi plamami, wysuszył skórę, pozbawił miękkości dłonie. Nigdy się nie uśmiechała, a zrosnięte nad nasadą nosa krzaczaste brwi czyniły ją jeszcze groźniejszą. Babka była stanowcza i na wskroś sprawiedliwa, choć przez całe dzieciństwo nie zdołałem pojąć zasad, którymi kierowała się w swoich wyrokach. Jednak nikt, nawet mój ojciec, jedyny mężczyzna w domu, nie ośmielał się jej sprzeciwić. Nie lubiłem jej i ona także mnie nie lubiła. Nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek kogokolwiek darzyła sympatią. Miałem wrażenie, że jej serce było niezdolne do odczuwania dobrych uczuć, nie potrafiło kochać, wzruszać się, współczuć, okazywać serdeczności czy czułości. Zdawało się równie wyschnięte jak skóra oblegająca bujną pierś, w której wnętrzu się kryło. Sam nie wiem, czego bałem się w owych dniach bardziej – ciężkiej ręki ojca czy okrutnych słów i chłodnego spojrzenia babki.

Jednak to właśnie ona uczyniła dla mnie coś, za co pozostanę jej na zawsze wdzięczny. To ona otworzyła przede mną świat, dała mi szansę wyrwania się z nurtu nieuchronności losu, z wiru dziedzictwa nędzy. To przez nią zrodziły się w moim sercu inne pragnienia, dzięki niej zacząłem marzyć o zobaczeniu słońca.

Babka bowiem przypadkiem nauczyła mnie czytać.

W naszym domu nie było książek, jeśli nie liczyć niewielkiego mszalika, który ojciec otrzymał w dniu pierwszej komunii świętej. Dedykacja wewnątrz książeczki była jedynym dowodem na to, że w ogóle kiedykolwiek przestąpił próg kościoła. Być może była to także pamiątka ostatnich chwil nadziei, kiedy ojciec wierzył, że może być dobrym człowiekiem, uczciwie pracować, kochać gorąco i szczerze. Chwil, w których miał nadzieję, że wszystko się ułoży, że Bóg czuwa i ma przygotowany jakiś piękny scenariusz na jego życie. Są to jednak wyłącznie moje domysły. Nie wiem, co myślał i czuł ten mały chłopiec, który później miał zostać moim ojcem, stojąc tamtego dnia przed ołtarzem, w białej, zapewne przykusej albie, i wpatrując się w blask trzymanej w dłoniach świecy. Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Gdy żył, nie miałem odwagi go o to zapytać, teraz już nie będę miał okazji.

Ojciec zginął niedługo przed moimi siódmymi urodzinami. Zasztyletowano go w środku dnia na rogu ulic, zaledwie sto kroków od naszej kamienicy. Leżał w powiększającej się kałuży krwi i patrzył w niebo szeroko otwartymi oczami, w których prędko zgasło życie. Tak zapłacił za wódkę, na której zakup zaciągnął zbyt wiele pożyczek u niewłaściwych ludzi, w dodatku nie z naszej dzielnicy. Nie mieli więc wobec niego żadnych skrupułów. Potraktowali go jako przestrozę dla innych. Wszyscy wiedzieli, kto go zabił, ale nie szukano zemsty. Kara była wprawdzie zbyt surowa, ale mojego ojca nikt nie kochał, nikt zatem nie wystąpił w imieniu zmarłego.

Ojciec był złodziejem, choć i to chyba przesadne określenie. Był niezbyt wprawnym kieszonkowcem. Jego dość przyjemna aparycja umożliwiała mu dokonywanie drobnych kradzieży w lepszych dzielnicach. Zresztą mieszkańcom naszej dzielnicy i tak nie było specjalnie co kraść. Wszyscy mieli po równo, czyli nic.

Co rano przechodził przez most Kierbedzia i znikał na lewym brzegu Wisły. Kilka razy widziałem, jak szedł tym ciężkim krokiem człowieka niezdolnego dostrzec żadnego sensu i celu swoich działań. Marmurowe promienie słońca odbitego w tafli rzeki przeciskały się pomiędzy stalowymi oczkami ażurowej bariery mostu. Wszystko wokół migotało od światła, ale oczy ojca były przesłonięte, zaciemnione poczuciem beznadziei.

Nieraz, gdy wracał i kładł na stole kilka monet, by babka mogła odłożyć na komorne, a za to, co zostanie, kupić coś do jedzenia, zdawało mi się, że po jego twarzy zsuwał się cień wstydu. Trwało to krócej niż mrugnięcie, a jednak jest to moje jedyne cieplejsze wspomnienie o ojcu. W tych rzadkich chwilach wydawał mi się bardzo nieszczęśliwy i samotny, a przez to jakby nieco bardziej ludzki i mniej groźny niż wówczas, gdy ledwo trzymając się na nogach, krzyczał i bił mnie pasem za oddychanie w jego obecności. Może w głębi duszy wcale nie chciał tak żyć, ale nie potrafił inaczej? Może był zawsze taki rozsierdzony, bo zawiódł samego siebie?

Podobno parę razy próbował zahaczyć się do uczciwej pracy. Pamiętam, że gdy byłem mały, ktoś załatwił mu posadę w Fabryce Cukrów i Czekolady „Franboli” mieszczącej się przy Śnieżnej. Przez kilka dni ojciec chodził z wysoko podniesioną głową. Zamiast wódki kupił zyletkę i golił się co rano. Jako że nie robił tego zbyt wprawnie, jego broda i szyja pokryte były drobnymi ranekami, ale zdawał się na to nie zważać. Choć wymyślna nazwa firmy była niczym więcej jak skrótem imion jej założycieli – Franciszka, Bolesława i Ignacego – mieszkańcom Szmulowizny brzmiała niezwykle egzotycznie.

- Z włoska – mówili jedni.
- Trochę z łacińska – zgadywali drudzy.
- A mię germańsko jednakowoż brzmi.
- To po francusku, panowie, po francusku.

Jakkolwiek było, nazwa „Franboli” szybko stała się symbolem jaśniejszej przyszłości, dobrobytu, nadziei na poprawę losu mieszkańców najciemniejszych zakątków prawobrzeżnej Warszawy. Jako dzieci biegaliśmy na Śnieżną, by wdychać zapach niedostępnego dla nas kakao, zapach dalekiego świata, powiew luksusu. Nie pamiętam już dziś, czy ulica rzeczywiście pachniała cze-

koladą, czy ta magiczna woń żyła tylko w naszej wyobraźni. Faktem było, że i dorosłym, i dzieciom Śnieżna wydawała się ulicą wybranych. Nadzieje rodziców wiążących swoje losy z tą niewielką fabryką podsycali umiejętnie jej właściciele. Chcąc zapewnić sobie tanią siłę roboczą, obiecywali pracownikom złote góry, w tym także dwuizbowe mieszkania w usytuowanym naprzeciwko fabryki szarym budyńeczku.

– Nie musielibyśmy płacić czynszu – emocjonował się ojciec, gdy po raz pierwszy usłyszał o możliwości uzyskania służbowego lokum. Tego wieczoru nie pił wódki.

Jednak sam entuzjazm nie wystarczy, zwłaszcza gdy trzeba stoczyć nierówną walkę z samym sobą i wszechwładnym nałogiem, a tym bardziej znaleźć siłę, by wyrwać się z ciasnych sidła rezygnacji i bezsilności wiążących duszę i umysł niemal od pierwszych dni życia. Ojciec nigdy nie nauczył się wymagać od siebie czegokolwiek, spoglądać w przyszłość dalej niż do kolejnej butelki bimbrowa, a nade wszystko nigdy nie nauczył się ciężko pracować. Prędzej czy później zawsze się poddawał, bo nie potrafił przewalczyć własnej słabości.

Tak było i tym razem. Przyszło pierwsze zmęczenie i entuzjazm zgasł jak wątły płomień świecy zdmuchnięty przez wichurę. Sen o lepszej przyszłości skończył się kilka dni później, gdy ojciec po raz wtóry przyszedł do pracy spóźniony i wyraźnie pijany. Wyrzucono go bez żalu, nie wypłaciwszy nawet zaległej dniówki.

– Na twoje miejsce jest piętnastu chętnych! – zdążył jeszcze krzyknąć kierownik zmiany, nim nakazał wyprowadzić awanturującego się ojca poza teren fabryki.

Ojciec próbował później szczęścia w Wytwórni Wódek na Ząbkowskiej i w fabryce obrabiarek precyzyjnych Avia na Siedleckiej, ale za każdym razem kończyło się to niepowodzeniem. Wieści roznosiły się szybko. Chętnych do pracy było bardzo wielu. Nikt nie chciał go więcej zatrudnić.

Może okradając wracającego z fabryki robotnika, który ciężko zapracował na te parę groszy, czuł żal, że on sam nie potrafi zarobkować w inny sposób? Może odczuwał smutek, że praska ulica nigdy nie dała mu szansy na trzeźwe

życie i lepszy los, że nikt nie pokazał mu zawczasu, że można żyć inaczej? Ojciec nie potrafił czytać, pisać ani liczyć. Nie był postawny ani odważny. Nie był też typem cwaniaka, człowiekiem sprytnym i zaradnym. Nie budził więc niczyjego szacunku ani tężyzną fizyczną, ani rozumem czy siłą charakteru. Nie miał nic, za co mógłby szanować samego siebie. Miał tylko alkohol i barwne wizje nadchodzące pod jego wpływem. W wizjach tych zawsze był wszechmocny.

Na stole, obok monet, które babka natychmiast chowała do kieszeni fartucha, ojciec kładł zwykle jeszcze kilka butelek bezbarwnego samogonu domowej roboty pędzonego na ziemniakach, kupowanego u sąsiada z parteru. Co dzień budził się i zasypiał z myślą o przybrudzonych butelkach stojących na parapecie w mieszkaniu Stacha. Bimber i wódka były jedyną radością życia mojego ojca, drogą do szczęścia, którym było chwilowe zapomnienie o sobie samym.

Powiedziałem, że babka nauczyła mnie czytać przypadkiem i choć to może wydawać się dziwne, tak w istocie było. Babka nigdy nie przejawiała choćby najmniejszej troski o moje wykształcenie, a jakiegokolwiek pedagogiczne odruchy były sprzeczne z jej niecierpliwą naturą. Nie nauczyła czytać nawet swojego jedyne syna. Nigdy nie dowiedziałem się o jej przeszłości więcej, niż wiedzieli wszyscy na naszej ulicy, nie wiedziałem więc, kto i kiedy ją tego nauczył. Babka jednak czytała. Uwielbiała książki. Gdy pogrążała się w lekturze, jej rysy łagodniały, oddech uspokajał się i zdawała się niczego i nikogo nie dostrzegać. Myślę, że w tych nieczęstych chwilach była naprawdę szczęśliwa.

Od dziecka przyglądałem się, jak czytała. Ciekawiła mnie zmiana, jaka w niej zachodziła, którą swoim dziecięcym umysłem szybko powiązałem z tajemniczym przedmiotem trzymanym przez nią w dłoniach. Z czasem zacząłem siadywać obok i długi czas patrzyłem na pożółkłe strony gęsto usiane czarnymi znaczkami. Patrzyłem i patrzyłem, i nigdy mi się nie nudziło, choć w książkach czytanych przez babkę z rzadka pojawiały się ilustracje. Gdy trochę podrosłem, zacząłem pokazywać pojedyncze wyrazy i pytać, co oznaczają. Babka cmokała zniecierpliwiona, machała ręką, jakbym był natrętną muchą, po wielokroć raczyła mnie ciągiem przekleństw, lecz gdy nie ustępowałem,

gdy pytałem po raz drugi i trzeci, nie zważając na obelgi i kuksańce, w końcu poddawała się i odpowiadała. Sam nie wiem, kiedy zacząłem rozróżniać litery i pojąłem, że układają się w słowa, te zaś w zdania tworzące opowieści. Zdało mi się wówczas, że odkryłem ważną tajemnicę świata dorosłych, wydarłem im skarb, który chcieli za wszelką cenę zachować dla siebie. Od tamtej pory już na zawsze niewiele rzeczy miało dla mnie większe znaczenie niż książki.

W czasach mojego dzieciństwa szczególną popularnością cieszyły się biblioteki zakładane przez osoby prywatne, bez reszty oddane idei oświaty społecznej. Na szczęście znalazło się też parę takich, które nie bały się krzewić czytelnictwa także i u nas, na Szmulkach. Były również czytelnie dziecięce, ale zapisać się do nich można było jedynie z rodzicem. Mój ojciec jednak stanowczo odmówił, gdy go o to poprosiłem. Pomyślałem, że pewnie boi się konieczności podpisania jakiegoś regulaminu czy kwitu, którego treści nie zrozumie. Zaproponowałem więc, że ja przeczytam mu wszystkie niezbędne dokumenty, jeśli tylko to go powstrzymuje. Sprzał mnie wtedy tak dotkliwie, że po raz pierwszy w życiu z powodu bicia musiałem leżeć przez kilka dni w łóżku. Nigdy więcej nie poruszaliśmy tego tematu.

Babka często chodziła do biblioteki zorganizowanej w jednym z mieszkań ogromnej kamienicy mieszczącej się pod numerem czwartym przy ulicy Kawczyńskiej.

Nie było zbyt wiele książek i babka często wypożyczała te, które już czytała. Nigdy nie zaproponowała, żebym poszedł z nią, a na moje prośby odpowiadała kategoryczną odmową, że nie chce mnie tam zabierać. Broniła się przed tym tak, jakby biblioteka była jej prywatnym skarbem, miejscem, w którym mogła uchodzić za kogoś innego, niż była w rzeczywistości. Może pozowała na ubogą, lecz żądną wiedzy mieszczańkę, by choć przez chwilę, przy nieznanym bibliotekarce zapomnieć, że jest tylko byłą ulicznicą, której jedyny syn nigdy nie poznał ojca, bo i ona nie była pewna, który z klientów zrobił jej bachora.

Na wyjście do biblioteki babka szykowała się niemal jak na uroczystość kościelną. Poprzedniego wieczoru myła swoje długie włosy w kolorze miedzi, gęsto poprzetykane siwizną, a potem zaplatała je w grube warkocze. Po przebu-

dzeniu z poskręcanych kosmyków układała fryzurę, tyleż przedziwną, co twarzową. Zakładała swoją najlepszą czarną sukienkę, która opinała ciasno jej ogromne ciało, a z nadgryzionego zębem czasu pudełka wydobywała koronkowe rękawiczki, niegdyś białe, teraz poszarzałe od zbyt wielu lat użytkowania. Sam nie wiem czemu, ale tak wystrojona babka budziła we mnie jeszcze większy strach. Nieodmiennie przywodziła mi na myśl okryty żałobnym całunem katafalk w Bazylice Najświętszego Serca Jezusowego, na którym niekiedy podczas uroczystości pogrzebowych co znamienitszych osób wystawiano otwartą trumnę z nieboszczykiem. To skojarzenie sprawiało, że zaczynałem bać się śmierci.

Od czasu do czasu udawało mi się jednak przełamać opór babki i wejść do biblioteki. Szedłem w pewnej odległości za nią przez całą drogę, starając się pozostać niezauważonym. Gdy stawała w progu, w momencie, w którym pchnęła już drzwi, wpuszczając do środka światło i powiew wiatru, wprawiając w ruch maleńki dzwoneczek zawieszony na ościeżnicy, wyrastałem jak spod ziemi i wsuwałem swoją rączkę w jej szorstką dłoń, przyobleczoną w zeszywniałe koronki. Czułem jej złość, ale wiedziałem, że nie odważy się złać mnie i odepchnąć przy uczonych i kulturalnych paniach bibliotekarkach, zwłaszcza że wyglądałem na dużo młodszego, niż byłem w rzeczywistości. Bibliotekarki zgodnie twierdziły, że jestem prześlicznym i wielce miłym chłopcem. Pewnego dnia posunąłem się o krok dalej i słodkim głosem spytałem, czy babcia nie wypożyczyłaby książki także dla mnie. Gdy babka spojrzała w moją stronę, zobaczyłem w jej oczach iskry prawdziwej nienawiści, ale starsza, elegancka pani o pomarszczonej, prawie przezroczystej skórze, która tego dnia pełniła dyżur w wypożyczalni, zmierzwiła moją jasną czuprynę i powiedziała życzliwie:

– Musi być pani bardzo dumna z wnuka. Taki malec, a potrafi czytać. Pięknie, że tak się garnie do książek – pochwaliła. – Jak to dobrze, jak to dobrze – westchnęła cicho, po czym odwróciła się, nie pytając o nic więcej.

Odeszła w stronę sąsiedniego pokoju, gdzie pod ścianami ustawiono rzędy regałów. Każdy z nich miał witrynę z ciosanego szkła, w której odbite światło słonecznego dnia rozszczepiało się w wąziutkie, kolorowe wstęgi. Drobiniki

kurzu tańczyły w opalizujących promieniach, okrywając całe wnętrze barwną poświatą. Był to duży, jasny pokój. W oknach wisiały nieskazitelnie białe zasłonki, wydymające się od powiewu letniego wietrzyka. Na podłodze leżał wielki, miękki dywan, a na nim ustawiono kilka stolików z krzesłami. Stoliki nakryte były obrusami uszytymi z tego samego materiału, co zasłonki. Na jednym ze stołów, na którym leżał rozłożony wielki zeszyt, czyjaś ręka ustawiła kryształowy wazon i włożyła doń polne kwiaty. Całość prezentowała się nadzwyczaj miło, schludnie i czysto. Lubilem wyobrażać sobie, że przychodzę tu i czytam wśród zapachu kwiatów i książek, ale po chwili piękne marzenia zasnuwała mgła strachu. Bałem się, że mógłbym coś pobrudzić, zniszczyć albo potłuc, zburzyć spokój i piękno tego miejsca. Byłem intruzem, nie pasowałem do świata, w którym można było sobie pozwalać na podobne marzenia. Dlatego, choć nikt mi nie zakazał, jako dziecko nigdy nie odważyłem się wejść do środka czytelnicy.

Tamtego dnia zresztą stojąca przy drewnianym pulpicie babka była i tak wystarczająco zdenerwowana. Przez cały czas nieobecności bibliotekarki nie odezwała się do mnie ani słowem, nawet na mnie nie spojrzała. Wyraźnie wyczuwałem jej złość i byłem pewien, że gdyby tylko mogła, powiedziałałaby mi parę niezbyt czułych słów. Nic sobie z tego jednak nie robiłem. Opętała mnie myśl o tym, by choć przez chwilę mieć książkę tylko dla siebie i móc wyobrazić sobie, że jest zupełnie moja.

Starsza pani wróciła po chwili, niosąc niewielki tomik obleczony płótnem w kolorze skisłej serwatki.

– To powinno ci się spodobać, młody kawalerze – rzekła, wręczając mi książkę.

Pamiętam, że się zawahałem. Cała odwaga nagle mnie opuściła. Ręce mi drżały, a serce waliło wściekle wewnątrz mojej chudej piersi. Nie pamiętam już, czy bardziej poruszyło mnie jej zaufanie i prostota, z jaką dawała mi cenną rzecz, jakby to było coś zupełnie zwykłego, czy uprzejmość i szacunek, z jakim się do mnie odnosiła. Nie byłem przyzwyczajony do takiego traktowania, nie wiedziałem więc, jak się zachować.

– Weź, proszę – zachęciła, uśmiechając się przy tym miło. – A gdy już przeczytasz, może znalazłbyś chwilę, by zajrzeć tu do mnie i opowiedzieć, czy była to interesująca lektura?

Gdy zbyt długo milczałem, nie wiedząc, co odpowiedzieć, babka położyła dłoń na moim ramieniu i mocno zacisnęła swoje długie palce o krzywych i twardych paznokciach. Ostry ból przywrócił mnie do rzeczywistości. Skinąłem głową, wziąłem książkę, podziękowałem przez zaciśnięte gardło i nie oglądając się za siebie, wyszedłem przed budynek. Przykucnąłem na jednym z zaokrąglonych pacholków ochronnych przy wejściu do bramy. Skryty w cieniu widziałem oślepiającą jasność dnia i chmurę kurzu unoszącą się nad ulicą. Było ciepło, letnie popołudnie. Słońce świeciło jaskrawym blaskiem, o wiele jaśniej niż zwykle.

A może to mnie po latach wydaje się, że świeciło jaśniej, bo tamten dzień na zawsze odmienił moje życie, w przedziwny sposób zdecydował o dalszych kolejach mojego losu.

Książką, którą wówczas wybrała dla mnie bibliotekarka, było *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* Juliusza Verne'a. Czytałem powoli, z trudem składając wyrazy i odgadując znaczenie nieznanymi słów, usiłowałem pojąć sens kolejnych fraz. Nie miałem kogo spytać, poprosić o wyjaśnienie. Może babka mogłaby mi pomóc, ale jej starałem się w owych dniach unikać. Obawiałem się, że w przyływie złości zechce zabrać książkę, żeby bardziej mi dokuczyć, odegrać się za zuchwalstwo, którego się dopuściłem. Wołałem zatem schodzić jej z drogi i o nic nie pytać. Wędrowałem w Ciemność, nagle nieczuły na czające się w niej strachy, siadałem, opierając się o pień starej lipy, i czytałem od świtu do zmierzchu, zapominając o wszystkim. Nie czułem upływu czasu. Cienie drzew robiły się coraz dłuższe, upał dnia łagodniał, a ja czytałem, aż zgasły ostatnie promienie słońca. Na noc owijałem książkę w szmaty i ukrywałem w rozpadlinie drzewa. W półmroku wracałem do domu i aż do zaśnięcia modliłem się do nienazwanego boga, by nikt jej stamtąd nie zabrał. Wówczas też pękły ostatnie więzi łączące mnie z niedawnymi towarzyszami zabaw. Przez kilka pierwszych dni przychodzili, zawsze całą gromadą, zagadywali, obrażali mnie, wyzywali na pojedynki, robili wszystko, żebym zwrócił na nich uwagę

i przyłączył się do beztrudnych, wakacyjnych harców, żebym znów stał się dziwakiem, z którego można pożartować, ale ja pozostawałem niewzruszony, obojętny na ich zaczepki, co dziwiło nawet mnie samego. Czytałem i praski świat przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie. Pojawiło się bowiem marzenie, które uczyniło mnie wolnym. Zapraǳiałem zobaczyć słońca i odtąd liczyło się tylko to absurdalne dążenie.

Przeczytałem książkę jeszcze trzy razy, a fragment o zakupie słońca w Indiach i przejażdżce na nim tylokrotnie, że potrafiłem go wyrecytować z pamięci.

W listopadzie stało się to, co nieuchronne. Babka odkryła, że nadal nie zwróciłem książki. Złoila mi skórę, co nie zdarzało się często i świadczyło o wielkim wzburzeniu. Gdy się zmęczyła, zwyzywała mnie jeszcze okropnie, a następnie rozkazała czym prędzej zwrócić zapis przygód Fileasa Foggą, gdzie jego miejsce.

– Podobała ci się? – zagadnęła staruszka, gdy stanąłem w progu biblioteki z uszami zaczerwienionymi od wstydu. Nie czyniła mi wyrzutów. Ani jednym słowem nie wspomniała, że przetrzymywałem książkę kilka miesięcy, po prostu spytała, czy mi się podobała.

Gdy minął pierwszy wstrząs, skinąłem mokrą od deszczu głową. Było mi tak smutno, że nie zdołałem wykrztusić z siebie ani słowa. Bałem się, że się rozpłaczę. Zacisnąłem dłonie w pięści. Trząsałem się z zimna i powstrzymywanych emocji. Czulem się bardzo nieszczęśliwy.

Bibliotekarka przyglądała mi się z uwagą. Nic nie mówiła, tylko patrzyła i patrzyła.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała wreszcie, po czym wolno, chwiejąc się lekko na boki, ruszyła przed siebie i zniknęła za regałami, jakby weszła do innego świata. W bibliotece zrobiło się nagle pusto i cicho.

Nie wiem, celowo czy przypadkiem, zostawiła książkę na ladzie przede mną. Miałem ochotę schować ją za poły koszuli, wybiec z biblioteki, uciec w strugach deszczu daleko, daleko i nigdy więcej się tam nie pokazać. Kraǳłem już wcześniej wiele razy, nie byłaby to dla mnie nowość. Uczciwość była w moim świecie jednoznaczna ze słabością i niezaradnością życiową. Spryt

i zdolność do wykorzystywania nadarzających się okazji były wysoko cenionymi cnotami. Byłem sam w bibliotece. Nikt mnie nie pilnował. Nie bałem się kary, staruszka pewnie nawet babce nie doniosłaby o moim postępku. Mimo to nie tknąłem książki, po prostu nie mogłem tego zrobić. Sam nie wiem, jak długo wpatrywałem się bezmyślnie w doskonale mi znaną okładkę bez ilustracji, nim wreszcie znów usłyszałem ciche stąpanie zwiastujące powrót bibliotekarki. Miałem żalną świadomość, że oto minęła moja szansa.

– Proszę, to dla ciebie – powiedziała, podając mi lekko podartą, pozbawioną obwoluty książeczkę z pozaginаныmi rogami, noszącą ślady wielokrotnego czytania.

Spojrzałem na tytuł i głośno wciągnąłem powietrze.

– Józef Grajnert był przyjacielem mojego męża nieboszczyka. To pierwsze wydanie jego tłumaczenia przygód Fileasa Fogga – wyjaśniła. – Mnie się już nie przyda – dodała i zaśmiała się cicho. Gdy się śmiała, jej twarz zdawała się młodsza i ładniejsza. – Oczy mnie bołą od czytania, a poza tym znam już tę historię na pamięć.

– Będzie ją pani mogła opowiedzieć Bogu w niebie – odpowiedziałem zamiast podziękowania.

Sam nie wiem, skąd przyszło mi do głowy takie zdanie, nie byłem wszak wierzący ani wychowany religijnie. Staruszce jednak moje słowa wyraźnie się spodobały. Skinęła swą białutką głową. Nie wyśmiała mnie, nie oburzyła się. Była poważna i uroczysta.

– Masz rację. Opowiem Mu, gdy wkrótce się spotkamy.

Wymieniliśmy uśmiechy, stojąc naprzeciwko siebie. Ja byłem obdarty i chudy, lecz pełen życia, które ona miała już za sobą, a mimo to przez tę jedną chwilę łączyła nas serdeczna nić porozumienia, właściwa marzycielom.

Już miałem wychodzić, unosząc swój największy skarb w dłoniach, lecz w progu zatrzymałem się tknięty nagłą myślą.

– Proszę pani... – zacząłem nieśmiało.

– Słucham, moje dziecko?

– Czy... czy widziała pani kiedyś prawdziwego słonia? – wyrzuciłem z siebie.

Ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu bibliotekarka przytaknęła.

– Widziałam. Raz jeden, w Wiedniu. Wiesz, gdzie to jest?

Pokręciłem przecząco głową. Staruszka odwróciła się w stronę sąsiedniej półki i wyciągnęła dużą, płaską książkę. Wewnątrz były mapy.

– Gdy byłam młoda, tu było cesarstwo austro-węgierskie, obecnie Austria, o, tu jest stolica – tłumaczyła, wodząc po mapie chudym, powykrecanym palcem.

Słuchałem z grzeczności, bo położenie Wiednia wcale mnie w tym momencie nie interesowało. Oto miałem przed sobą człowieka, który widział słonia, i chciałem dowiedzieć się wszystkiego. Parę razy kiwnąłem niedbale, licząc, że bibliotekarka uzna, że pojąłem, co pojąć miałem, zakończy lekcję i opowie mi o słoniu.

– Byłam w Wiedniu jeden jedyny raz, na długo przed twoim narodzeniem, kawalerze – staruszka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. – Polska była wówczas pod zaborami, a ja byłam młodziutką panienką mieszkającą z rodzicami w ówczesnej Galicji...

– I widziała pani słonia, tak? – wpadłem jej w słowo, upominając się o odpowiedź na nurtujące mnie pytanie.

– Tak, widziałam – odparła nieco zaskoczona, jak człowiek wyrwany nagle ze snu. – Tak, tak, w ogrodzie zoologicznym na terenie Schönbrunn.

– Co to jest ogród zoologiczny? – spytałem zaraz, bo nigdy wcześniej nie słyszałem podobnego określenia.

– To takie miejsce, w którym umieszcza się dzikie zwierzęta schwytane w różnych zakątkach świata, żeby ludzie mogli je oglądać – wytłumaczyła.

– A w Warszawie...? – wykrztusiłem przejęty. – Czy w Warszawie jest takie miejsce?

Pokręciła głową.

– Nie ma, kawalerze. Pągowski, wiesz, ten słynny cukiernik, urządził na Koszykowej zwierzyńiec. Było tam za mało miejsca, a chętnych, jak się okazało, nie brakło, toteż przeniósł go na większą parcelę na Solcu, nieopodal mostu Poniatowskiego. Powiadają, że są tam małpy i kangury, a nawet pingwiny.

– A słonie? – szepnąłem, czując, że brak mi tchu. – Czy są tam słonie?

Blade, wąskie usta staruszki rozciągnęły się w smutnym uśmiechu.

– Niestety, nie. Słonie potrzebują dużo miejsca i szczególnej opieki. Są też bardzo kosztowne. Nawet Pągowskiego nie stać na zakup słonia – wyjaśniła. – Ale doszły mnie słuchy, że mają tam aligatory – dodała zachęcająco, widząc moją zawiedzioną minę.

Wzruszyłem ramionami. Być może w innych okolicznościach zapaliłbym się do pomysłu odwiedzenia zwierzyńca Pągowskiego, ale teraz byłem zbyt zawiedziony nieobecnością słonia, by zaciekawić się innymi okazami dzikich zwierząt.

Nie będę przecież przeprowadzał się na nieznane ziemie, na lewy brzeg Wisły, na którym nigdy dotąd nie byłem, tylko po to, by zobaczyć jakiegoś tam aligatora – pomyślałem ze wzgardą, ale nie wypowiedziałem moich myśli na głos. Nie chciałem sprawiać przykrości poczciwej kobiecie.

– Ale to nie jedyny zwierzyńiec warszawski – po chwili przerwy bibliotekarka podjęła swoją opowieść. – Z inicjatywy nauczycieli przyrody założono też Studium Biologiczne, taką specjalną menażerię służącą przede wszystkim celom naukowym. Niestety, w rok po otwarciu wybuchł tam straszny pożar. Niektórzy mówili, że to ktoś nasłany przez Pągowskiego zaproszył ogień w budynku z najciekawszymi okazami studium, by w ten sposób pozbyć się konkurencji. Przez kilka dni temat pożaru nie schodził z pierwszych stron gazet. Studium Biologiczne nadal funkcjonuje, choć jego kolekcja została znacznie uszczuplona.

– Domyślałem się, że i tam nie ma słonia... – burknąłem.

– Ech, Niestety nie, kawalerze. Ani zwierzyńiec Pągowskiego, ani Studium Biologiczne to wciąż nie są ogrody zoologiczne z prawdziwego zdarzenia – westchnęła smutno. Najwyraźniej i jej udzielił się mój ponury nastrój. – Choć kto wie, kto wie... Powiadają, że w planach magistratu znajduje się zorganizowanie podręcznikowego zoo. Ma być bardzo nowoczesne, urządzone na światowym poziomie. Słyszałam nawet, że wybrano już dlań lokalizację. Jeśli wierzyć słowom naszych czytelników pracujących w zarządzie miejskim, ogród ma zostać umiejscowiony na terenie parku Aleksandryjskiego, to jest, prze-

praszam, człowiek tak się jakoś przyzwyczaja do nazw wyuczonych w młodości, parku Praskiego oczywiście.

– U nas? Na Pradze? – pytałem rozemocjonowany. Moje niedawne zniechęcenie zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. – Nie w Warszawie, a u nas na Pradze ma powstać prawdziwe zoo?

– Najprawdziwsze – przytaknęła bibliotekarka.

Stosowną uchwałę podjęto w czerwcu tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku. Wkrótce na podmokłych terenach Pragi, nad brzegiem Wisły rozpoczęto budowę Miejskiego Ogrodu Zoologicznego. Skończyłem właśnie siedem lat. Tamtego lata każdego ranka udawałem się piechotą na Ratuszową, by sprawdzić, co zmieniło się od dnia poprzedniego. Niekiedy któryś z robotników posyłał mnie po paczkę papierosów, a w zamian pozwalał na chwilę przejść przez ogrodzenie. W nabożnym zachwycie stąpałem po nierównym, grząskim po deszczu gruncie. Wokół panował chaos i nieporządek, zwykle towarzyszący budowom, jednak ja oczami wyobraźni widziałem wspaniałą wybieg dla słoni i stado majestatycznych zwierząt z długimi trąbami i lśniącej bielą kłami. A robotnicy śmiali się ze mnie, ach, jak bardzo się śmiali, gdy opowiadałem im, że kiedyś z pewnością będę tu pracować.

– Spójrz, pędraku, to dyrektor zoo Wenanty Burdziński – powiedział do mnie jeden z nich, gdy pewnego listopadowego poranka, mimo chłodu i niepogody, przyszedłem z tradycyjną już wizytą na plac budowy. – Wcześniej zorganizował taki ogród w Kijowie, a teraz przyjechał do nas.

Ujrzałem wysokiego, szczupłego mężczyznę z dużymi uszami, jajowatą głową i intrygującą twarzą. Patrzyłem na przyprószone siwizną wąsy i bródkę, których ufryzowanie kojarzyło mi się z ilustracjami powieści o hiszpańskich awanturkach czy francuskich muszkietierach, na prosty, prawie płaski nos, niewidoczne spośród zarostu usta. Jednak to wszystko zdawało się jedynie tłem dla oczu mężczyzny. Kącik lewego oka opadał mu lekko w kierunku policzka, nadając mu kształt łzy, za nim miękko opadała brew. W połączeniu z prawym, całkowicie normalnym okiem, całość nadawała twarzy tajemniczy, smutno-ironiczny wyraz. Była to z całą pewnością twarz uważana przez niewiasty za przystojną i intrygującą. Gustownie ubrany Burdziński, w rozpię-

tym mimo chłodu płaszczu do ziemi i kapeluszu na głowie, kopał łopatą kanał wodny, ramię w ramię z najętymi robotnikami.

– Tacy ludzie będą tu pracować. Elegancy, wykształceni, obeznani we świecie, a i od roboty niestroniący – w tonie wypowiedzi czuć było, że dyrektor cieszy się sympatią swoich pracowników. – Obawiam się, smarkaczu, że dla ciebie nie będzie tu miejsca.

Patrzyłem na wysokie czoło i rysy dyrektora, w których znać było człowieka zdyscyplinowanego i surowego, wymagającego najwięcej od samego siebie i miałem nadzieję, że mimo wszystko kiedyś uda mi się spełnić marzenie o zostaniu kornakiem, czyli opiekunem słońi.

Minęła zima, a potem nadszedł długo wyczekiwany przeze mnie dzień. Jednocześnie marca tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku odbyło się uroczyste otwarcie Miejskiego Ogrodu Zoologicznego w Warszawie, do którego sprowadzono zwierzęta z obu prywatnych zwierzyńców stołecznych.

Śledziłem wszystkie wzmianki na temat ogrodu ukazujące się w prasie. Zaprzyjaźniony kioskarz z budki przy Żąbkowskiej, widząc mój zapal, przeglądał codzienne gazety, zwracając szczególną uwagę na wszelkie artykuły dotyczące warszawskiego zoo, by następnie zrelacjonować mi je przy pierwszej nadarzącej się okazji.

Pół roku później Wenanty Burdziński zmarł. Mówiono, że zachorował na ciężkie zapalenie płuc, którego nabawił się, pomagając zwierzętom przetrwać zimę we wciąż nieukończonym zoo. Wkrótce przeczytałem, że warszawski magistrat urządził konkurs na stanowisko dyrektora, a został nim adiunkt Katedry Zoologii i Fizjologii Zwierząt Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego, doktor Jan Żabiński.

Pamiętam, że w pierwszej chwili rozśmieszyło mnie jego nazwisko, a zaraz potem rozdziawiłem usta ze zdumienia. W dalszej bowiem części noty, po wyliczance niezrozumiałych dla mnie tytułów, podano, że nowy dyrektor był wielokrotnym mistrzem stolicy w sprincie z czasem 11,1 sekundy na sto metrów i nie dość, że bił się z bolszewikami, to jeszcze odznaczono go Krzyżem Walecznych. To było moje pierwsze spotkanie z Janem Żabińskim.

Chwat – pomyślałem wówczas.

Przez długi czas podkradałem babce pieniądze, by uzbierać na bilet wstępu. Cena, jaką trzeba było zań zapłacić, wydawała mi się oszałamiająca, więc czekałem na dzień, w którym w gazetach ogłoszą, że do warszawskiego zoo sprowadzono słońa.

Kiedy po raz pierwszy przekroczyłem okazałą, pięknie zdobioną bramę przy Ratuszowej, wydawało mi się, że wszedłem do rajy. Była wiosna. Zakręciło mi się w głowie od barw, zapachów, dźwięków, doznań, które nigdy wcześniej nie były moim udziałem. To był inny świat. Słońce mieniło się złotem i miedzią w futrach zwierząt. Ptaszarnia wibrowała skrzekiem, gwizdaniem, pohukiwaniem i trelem. Małpiarnię wypełniały odgłosy do złudzenia przypominające ludzki śmiech. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się na placu zabaw, na którym figlują radośnie dzieci. W basenie dla fok trwał pokaz odbijania piłek. Po każdym numerze treser dawał focę małą rybkę, po czym bił jej brawo, a ona odpłacała mu tym samym, głośno klaszcząc mokrymi płetwami, ku uciesze gawiedzi. Wszystko to chłonałem jakby mimochodem, nieuważnie, jak ktoś, kto ogląda świat, kręcąc się na karuzeli. Obrazy nakładały się jeden na drugi, wirując mi przed oczyma, a ja szedłem dalej, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej, zniewolony myślą o tym, co miało się zaraz wydarzyć.

Naraz zobaczyłem przestronny wybieg, okolony płytkim rowem. Natychmiast spuściłem wzrok. Moje serce zabiło mocno, niemal boleśnie. Nie zważając na kuksańce i utyskiwania eleganckich zwiedzających, na cisnące się dzieci dzierzące w dłoniach baloniki, wiatraczki i pluszowe słoniki, precisnąłem się pomiędzy nimi wszystkimi, tak że w końcu od spełnienia marzenia oddzielała mnie jedynie barierka. Przez cały czas wpatrywałem się w ścieżkę. Choć ledwo mogłem wytrzymać z napięcia, ani razu nie spojrzałem w górę. Wiedziałem, że moment, w którym spełnia się największe marzenie życia musi być szczególny. Tłum napierał na mnie coraz bardziej, ale ja nie czułem bólu. Zacisnąłem mocniej powieki, wziąłem wdech i otworzyłem je.

Ujrzałem piaszczysty wybieg i rozciągający się nad nim błękit nieba, na którego tle, oświetlane od tyłu przez blade wiosenne słońce, stały dwa słońce. Serce tłukło mi się w piersi jak ptak szamoczący się w klatce, krew napłynęła mi do policzków, oczy zapiekły ze wzruszenia. Nie mogłem uwierzyć,

że to wszystko dzieje się naprawdę. Nadal byłem głodnym, obdartym, pozbawionym miłości, samotnym dzieckiem, a jednak w tej cudownej chwili po raz pierwszy w życiu poczułem w sobie siłę, doznałem wszechmocy, jaką daje spełnione marzenie.

Skąd mogłem wiedzieć, że to dopiero początek. Że dziewięć lat później słońca, którą pokochałem od pierwszego wejrzenia, wyda na świat swoje jedyne dziecko, a ja będę wtedy przy niej? Że to właśnie ja, chudy, jasnowłosy chłopiec, sierota bez przyszłości, będę tym, który pomoże odnaleźć małemu słońciukowi drogę do piersi matki? Że to ja będę mu godzinami kroił na cząstki jabłka, choć mógłby je spokojnie połknąć w całości, tylko dlatego, że słońciuk tak lubi? Że wiosną będę dla niego rwał nad Wisłą świeże gałązki obsypane młodymi pędami, bo są smaczniejsze niż te rosnące na wybiegu dla słońi? Że będę przynosił mu dziesiątki kilogramów przysmaków na plecach jedynie po to, by patrzeć, jak owoc moich katorżniczych wysiłków w kilka minut zniknie w pysku zwierzęcia? Że będę je nacierał maściami, opatrywał, odrobaczał, leczył opryszczkę, czuwał przy nim w gorączce? Że to ja będę się z nim bawił? Że mnie pierwszemu poda trąbę, a potem łapę? Że będziemy razem dosłownie pokładać się ze śmiechu, gdy uda nam się opanować jakąś nową sztuczkę? Że nauczę się rozpoznawać jego nastroje i emocje, tak jak ono będzie potrafiło rozpoznać moje? Że w zwierzęciu, którego masa urodzeniowa wynosiła niemal trzykrotność mojej wagi w tamtym czasie, znajdę upragnionego towarzysza zabaw, a w jego majestatycznej matce najlepszego przyjaciela?

Skąd mogłem wiedzieć, że to właśnie mnie zostanie powierzona opieka nad pierwszym słońciukiem urodzonym w Polsce?

Nie, nie mogłem tego wszystkiego przewidzieć. Nawet najśmielsze z moich marzeń nie zdołały zawędrować aż tak daleko. To, co miało się wydarzyć naprawdę, było wówczas poza zasięgiem mojej wyobraźni.

Było też zupełnie nieważne. W tamtej chwili, gdy pierwszy raz stanąłem w cieniu ogromnego zwierzęcia, trzęsąc się z przejęcia i ze strachu, gdy słońca Kasia pierwszy raz musnęła moją dłoń, chwytając bułkę, gdy patrzyłem, jak wygina trąbę w zgrabne kółeczko i wkłada sobie przysmak do pyska, nie pra-

gnąłem niczego więcej. Czas i przestrzeń zniknęły, a ja byłem po prostu absolutnie szczęśliwy.

1937

1.

Od wielu godzin Kasia spacerowała po wybiegu dla słońi, tam i z powrotem. Zwykle poruszała się cicho, chodząc, jak wszystkie słońie, na czubkach palców, który to fakt, zważywszy na masę tych zwierząt, nie przestawał zadziwiać Piotra. Matka Natura wyposażyła bowiem stopy największych spośród swoich dzieci żyjących na lądzie w specjalne tkanki amortyzujące wstrząsy, które dodatkowo pomagają im utrzymać równowagę. Dziś jednak i one na nic się zdały. Samica stąpała tak ciężko, że jej kroki niemal dudniły w uszach Piotra. Widać było, że zwierzę się z czymś zмага, lecz poza ospałością i przyciążkawym krokiem Kaśka nie zdradzała żadnych objawów niepokoju. Najwyraźniej to, co miało się za chwilę wydarzyć, było dla niej czymś zwyczajnym, zupełnie prostym i naturalnym, a nie cudem, na który z niecierpliwością oczekiwał jej opiekun. Kaśka milczała. Tego dnia ani razu nie zatrąbiła. Od czasu do czasu tylko sapła mocno z wysiłkiem, machając na boki głową, wprawiając w kołysanie długą trąbę albo uderzała ogonem w podbrzusze, mocnym, szybkim ruchem, jakby chciała pacnąć muchę.

Piotr od świtu nie opuszczał słońicy nawet na chwilę. Podczas porannego karmienia zauważył, że brzuch jego podopiecznej jest bardzo napięty, a genitalia dziwnie opuchnięte.

– Teraz trzeba czekać – stwierdziła dyrektorowa Żabińska, która zaalarmowana przez chłopaka, przysłała wraz z weterynarzem około południa, by obejrzeć Kaśkę.

Czekał więc. Czuł, że musi być przy słońicy, choć tak naprawdę nie miał pojęcia, na co mógłby się jej przydać w tej sytuacji. Podsuwał więc tylko pod trąbę zwierzęcia ulubione smakołyki – chrupiące trawy, liście i owoce. Po po-

ludniu przyniósł wiadro sfermentowanych jabłek uwielbianych przez słońcę, którą niekiedy nazywał czule „opojem”, szalenie lubiła bowiem wszystko, z czego ludzie wytwarzali trunki. Przez cały dzień podawał Kasi wodę, a raz, gdy wydało mu się, że zadrżała z zimna, narzucił jej na grzbiet ogromny pled. Większość czasu jednak siedział w rogu wybiegu i tylko wodził oczami za słońcą przechadzającą się tam i z powrotem. Mimo wszystko ta dziwna wspólnota człowieka i zwierzęcia zdawała się działać na oboje kojąco.

Nagle Kaśka przystanęła. Pochyliła głowę i mocno zaparła się na przednich nogach. Jej narządy rodne, od rana nabrzmiące, zdawały się jeszcze bardziej spuchnięte. Piotr zerwał się na równe nogi i podbiegł do ogrodzenia.

– Jędrak! Szybko! Biegnij po panią dyrektorową! – zawołał do przechodzącego obok stajennego. Po czym, tknięty nagłą myślą, że jego krzyk mógłby przstraszyć słońcę, dodał, ścisząc głos: – Powiedz jej, że chyba się zaczęło.

Dzień był chłodny i pochmurny, a mimo to Piotr czuł, że zaczyna się pocić z emocji. Serce biło mu mocno w piersi.

– Spokojnie, Kasia, spokojnie – powtarzał, choć zwierzę nie mogło go usłyszeć i miał wrażenie, że tak naprawdę uspokaja samego siebie.

Słonie wprawdzie się nie pocą, ale gdy jest gorąco, krew napływa im do uszu. Kaśka musiała zatem czuć się podobnie jak jej opiekun, bo nagle zaczęła intensywnie wachlować uszami. Powstały w ten sposób podmuch wiatru chłodził krew, która następnie wracała do krwioobiegu, by obniżyć temperaturę ciała zwierzęcia.

Wkrótce Antonina stanęła tuż obok Piotra. Czuł bijące od niej ciepło, słyszał przyspieszony oddech, musiała biec.

Nagle pomiędzy tylnymi nogami słońcy ukazało się coś, co przypominało mu błoniasty, biały balon, który rósł z każdą chwilą. Kaśka otworzyła szeroko usta, ale nie wydała żadnego dźwięku, który dałoby się usłyszeć ludzkim uchem. Piotr wstrzymał oddech. Jej milczenie, to, że nie mógł usłyszeć odgłosów skargi ukochanego zwierzęcia, powodowało niemal fizyczny ból i nadało sytuacji jeszcze bardziej dramatycznego wymiaru. Nie miał jednak czasu dłużej zastanawiać się nad własną niemocą. W następnej sekundzie spomiędzy warg sromowych Kaśki chlusnęła krwistoczerwona ciecz. Biały balon pękł,

plasnawszy o ziemię. W kałuży krwawego błota leżało małe słoniątko. Nie poruszało się.

– Brawo Kaśka! – Piotr nie zdołał powstrzymać zalewającej go fali radości. – Zuch dziewczyna!

Dyrektorowa Żabińska skarciła go wzrokiem i choć także na jej ustach wyraźnie drgał powstrzymywany uśmiech, szybkim ruchem dłoni nakazała młodzieńcowi milczenie. Kaśce i dziecku potrzebny był teraz spokój.

Piotr zamilkł, ale cała jego twarz się śmiała. Miał ochotę skakać, biegać, krzyczeć na całe gardło. Narodziny słoniątka były najpiękniejszą chwilą jego życia. Nigdy dotąd nie odczuwał tak silnych emocji, nie był tak szczęśliwy. Przepelniała go duma. Czuł się niemal ojcem tego małego zwierzątka, co nie było aż tak wielkim rozminięciem się z prawdą.

Był wszak naocznym świadkiem zalotów Jaśka. Widział, jak zaczepia Kasię, jak muska ją trąbą po podbrzuszu, a potem podchodzi z boku, by pogładzić ją palczastymi wyrostkami po grzbiecie, w miejscu, gdzie jej grubą skórę porastały rzadkie, zadziwiająco delikatne włoski, nieco krótsze niż te na zakończeniu ogona. Piotr sprzątał wówczas odchody swoich podopiecznych, wielkimi grabiami przewalając śmierdzące stosy. Była to niewątpliwie praca zupełnie niesprzyjająca romantycznym uniesieniom, a mimo to, gdy zaczął się przyglądać czułości, jaką obdarzały się słonie, poczuł w sercu tęsknotę za czymś nieokreślonym, czego sam nigdy dotąd nie doświadczył. Patrząc, jak Kasia ociera się o Jaśka, by już po chwili lekko się od niego odsunąć. Wtedy samiec objął trąbą jej prawą nogę i przyciągnął ją do siebie. Wszystkie ruchy tych olbrzymich zwierząt były spowolnione, pełne subtelności i wdzięku, niczym taniec. Piotr stał z brodą opartą o grabie i przyglądał się temu z zachwytem. Nagle Jasiek stanął za samicą, przeniósł ciężar ciała na tylne nogi, położył Kaśce trąbę na szyi, a potem szybkim, energicznym ruchem przycisnął się do niej, opierając przednie łapy na jej plecach. Piotr opuścił wzrok zawstydzony, jakby zamiast kopulacji zwierząt podglądał chwile bliskości swych najlepszych przyjaciół. Nawet przez chwilę nie pomyślał wówczas o tym, że tego dnia w łonie Kasi może powstać nowe życie.

Pewnego jednak dnia pani Punia, zarumieniona z radości i przejęcia, oznajmiła, że Kasia jest w ciąży. Dyrektorostwo Żabińscy uświadomili mu całą podniosłość tego faktu. Słonie bardzo rzadko rozmnażają się w warunkach hodowlanych. Gdyby Kaśce udało się donosić ciążę i wydać na świat słońiętko, byłoby to niewątpliwie wielkie wydarzenie w świecie zoologicznym, które zwiększyłoby renomę Miejskiego Ogrodu Zoologicznego w Warszawie. Słońiętko oznaczało więc nie tylko nową atrakcję dla zwiedzających, lecz także podniesienie prestiżu samego zoo i stolicy odrodzonej Polski.

Te wszystkie ważkie perspektywy nie miały jednak dla chłopaka aż takiego znaczenia. Od tego dnia opiekował się słońicą, najczulej jak potrafił, bynajmniej nie z powodu splendoru, jaki mógłby spłynąć na nich wszystkich, gdyby ten niezamierzony rozród słońi azjatyckich się powiódł. Dla Piotra najważniejsze było to, że w łonie słońicy, na którą przelał całą swoją miłość, rozwijało się nowe życie, rósł maleńki słońik. Było to coś tak wspaniałego i tak niepojętego, że codziennie oglądał brzuch Kaśki, szukając śladów potwierdzających, że ów cud wydarza się naprawdę.

Przez dwadzieścia jeden dłużyjących się niemiłosiernie miesięcy czekał na tę jedną chwilę i teraz, gdy się wydarzyła, był niemal pewien, że nigdy nie spotka go już nic piękniejszego.

Nagle Piotr spoważniał, a wspomnienia miłych chwil rozpląnęły się w chłodnym powietrzu jak poranna mgła. Coś było nie tak. Nigdy wcześniej nie widział wprawdzie narodzin słońia, ale odkąd pracował w zoo, niejednokrotnie asystował źrebiącym się kłaczom. Małe koniki niemal natychmiast po opuszczeniu łona matki usiłowały stawać samodzielnie na nogi. Poruszały się, paraskały, szukały pokarmu. Słońiętko za długo leżało na ziemi spokojnie, zbyt spokojnie. Coś było nie w porządku.

– Pani Puniu, dlaczego ono się nie rusza? – zapytał z wyraźnym niepokojem.

Żabińska nic nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w nowo narodzone zwierzętko szeroko otwartymi oczami. Dopiero teraz zauważył, że Antonina mocno zaciska palce na żerdzi ogrodzenia.

– Pani Puniu, coś trzeba zrobić? Można jej jakoś pomóc? – Spanikowany Piotr przenosił szybko wzrok ze swojej przełożonej na słońtątko, a potem na Kaśkę, sapiącą ciężko po wysiłku, którego dokonała.

Słonica odwróciła się powoli, ostrożnie, by nie nadepnąć na dziecko. Przez chwilę badała je, wodząc trąbą po ciałku, które przy niej wydawało się maleńkie. Okrążyła leżące bezwładnie słońtątko, raz po raz trącając je trąbą, przewracając z boku na bok. Noworodek był bezwładny. Jego brzuch także się nie poruszał. Malec nie oddychał. Miał szeroko otwarte usta i zamknięte powieki. Kaśka kopnęła słońtątko raz i drugi, wiedziona tym samym odruchem, który nakazuje ludzkim matkom klepać dzieci po plecach. Nie było jednak żadnej reakcji. Słonica wyprostowała się i zatrąbiła żałośnie. Ze słońiarni odpowiedział jej Jasiek.

– Pani Puniu... – jęknął błagalnie Piotr.

– Poczekajmy – głos pobladłej na twarzy Żabińskiej drżał. – Daj Kaśce szansę. Jeśli ona go nie uratuje, nasza pomoc na nic się nie zda.

Słonica zatrzymała się obok ciała słońtątko, owinęła trąbę wokół maleńkiej trąby swego dziecka, uniosła jego główkę delikatnie ku górze i puściła na ziemię z niedużej wysokości. Oszałała z rozpaczy Kaśka powtórzyła tę czynność kilka razy. Gdy nie przyniosła rezultatu, zaczęła rozpaczliwie trąbić.

Łzy spływały ciurkiem po twarzy Piotra. Nie mógł na to patrzeć.

– Pani Puniu, proszę...

Żabińska nie odezwała się. W jej oczach także lśniły łzy.

– Nie poddawaj się – powtarzała raz za razem, szepcząc przez zaciśnięte zęby. – Nie poddawaj się.

Kasia opuściła głowę i znów splotła obie trąby. Uniosła wiotkie ciało maleństwa i znów upuściła. Główka płaśnęła w kałuży błota. W tej samej sekundzie błękitne oczka otworzyły się, usta zaczęły nabierać wielkie hausty powietrza.

– Żyje! Żyje! – wrzeszczał Piotr, który zupełnie stracił już nad sobą panowanie.

Antonina przyłożyła obie dłonie do twarzy, zakrywając usta i nos. Wielkie łzy płynęły jej pomiędzy palcami, a z piersi wydobył się szloch. Piotr nigdy

wcześniej nie widział dyrektorkowej tak poruszonej. Zwykle wesoła i pogodna, nawet w trudnych sytuacjach opanowana i rzeczowa, teraz płakała i nie było to ciche pochlipywanie, a gwałtowne łkanie, w którym zawarła całą trwogę ostatnich minut.

Kaśka dotykała wciąż leżącego dziecka, głaszcząc je uspokajająco. Pozwoliła malcowi odpocząć jeszcze chwilę, poprzyglądać się światu, na który przyszedł, po czym podtrzymując go trąbą i nogami, pomogła słońátku wstać. Na śliskim podłożu niepewne nóżki malca rozjeżdżały się na wszystkie strony. Nie mógł złapać równowagi. Antonina, która najwyraźniej doznała pierwszego rozstroju nerwowego w swoim życiu, na ten widok zaczęła się szaleńczo śmiać, choć z jej oczu nadal płynęły łzy. Piotr jej zawtórował.

Kaśka jednak, jak na matkę przystało, nie ustępowała. Wciąż na nowo usiłowała postawić malca do pionu, mruczając przy tym, jakby od tego, czy słońátko stanie samodzielnie, miało zależeć jego zdrowie. Trykała go w boki, podpierała, podnosiła po kolejnym upadku.

Po chwili słońátko zrobiło swój pierwszy krok.

– Wygląda zupełnie jak pruski żołnierz – wykrztusiła Antonina, nadal śmiejąc się i płacząc jednocześnie.

Rzeczywiście. Słońátko, niepewne, co ma robić, wysuwało nogę przed siebie w powietrzu, niemal poziomo, by następnie opuścić ją znów na ziemię i dociągnąć do przedniej nogi całą resztę ciała. Kaśka szła obok niego, spokojnie i powoli, z całą cierpliwością wszystkich matek tego świata.

Piotr nie chciał psuć im tego momentu bliskości. Przeszedł jednak przez ogrodzenie i powoli zbliżył się do zwierząt. Kaśka natychmiast odwróciła głowę w stronę intruza, ale on tylko uśmiechnął się do niej i uniósł ręce ku górze, dając znać, że nie będzie się bardziej zbliżał. Następnie przykląkł w pewnej odległości, by znaleźć odpowiedź na ostatnie ważne pytanie tego dnia.

– To samiczka – oznajmił chwilę później Antoninie, która zdążyła już opanować emocje i przywrócić twarzy dobrotliwy, lekko kpiący wyraz. – Mamy dziewczynkę, pani Puniu! Mamy dziewczynkę!

2.

Gdy Kaśka ze słończką oddaliły się w stronę wodopoju, Piotr, niesiony emocjami, postanowił wykorzystać chwilę ich nieobecności i trochę uprzątnąć wybieg po porodzie. Teraz, niemiłosiernie brudny, wbiegł do salonu willi dyrektorstwa Żabińskich, nie zważając na ubłocone buty, koszulę lepiącą mu się do pleców i ręce zbryzgane krwią aż do łokci. Stał na środku pokoju tuż pod wspaniałym, kryształowym żyrandolem i dając upust rozpierającej go energii, wykrzyknął:

– Udało się! Mamy słońiatko!

Gdy zamiast oczekiwanego wybuchu entuzjazmu odpowiedziała mu głucha cisza, rozejrzał się wokoło. Dopiero wówczas zauważył, że był w salonie zupełnie sam. Stał jednak dalej w tym samym miejscu, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, zbyt zmęczony, a nade wszystko nazbyt szczęśliwy, by cokolwiek się przejmować.

– Słońiatko. Mamy słońiatko – powtarzał raz po raz, kręcąc z niedowierzaniem głową, jakby był świadkiem tak wielkiego cudu, że sam ledwie mógł w to uwierzyć. – Dziewczynkę. Małą, słońiowatą dziewczynkę!

Był pijany szczęściem. Naraz usłyszał za plecami cichy śmiech. Marynka, służąca dyrektorstwa Żabińskich, stała w progu i śmiała się, zakrywając dłonią usta. Złote włosy wymykały się jej spod białego czepeczka, tworząc świetlistą lunę dookoła uroczej twarzyczki o pulchnych usteczkach i zadartym nosku.

– Panno Marynko! Panno Marynko! Mamy słońiatko! – krzyknął Piotr na nowo rozentuzjasmowany dzięki pojawieniu się kogoś, komu mógł przekazać dobrą nowinę.

Marynka klasnęła w dłonie i splótła palce jak do modlitwy.

– Ach, to wspaniale, wspaniale – powiedziała pełnym słodczy głośikiem siedemnastoletniej panienki.

Piotr poczuł, że wzbiera w nim kolejna fala radości. Niewiele myśląc, porwał dziewczynę w ramiona i zaczął płaśać z nią po salonie w rytm wyśpiewywanej głośno piosenki. Marynka poddała się jego prowadzeniu.

– Nareszcie, nareszcie – szeptała, choć bynajmniej nie chodziło jej o przyjscie na świat kolejnego zwierzęcia. – Nareszcie...

W tańcu nazbyt poufale przytulała swoją uroczą twarzyczkę o rysach już nie dziecięcych, a jeszcze nie kobiecych, do brudnej koszuli chłopaka. Piotr nie protestował. Czuł jej krągłości na swojej piersi, niemal słyszał bicie serca dziewczyny mieszające się z jego przyspieszonym oddechem i choć wszystko to bladło wobec cudu, którego był przed chwilą świadkiem, popadł w dziwny błogostan. Młodość posiada bowiem ową niezwykłą zdolność do brania chwili taką, jaka jest. Do zapominania o przykrościach, trudzie i zmęczeniu zaraz w następnej minucie po tym, gdy niebezpieczeństwo minie. Skoro ani Kasi, ani słoniątka nic nie groziło, nie trzeba było dłużej się lękać. Wprost przeciwnie, należało cieszyć się momentem, który trwał, ciepłem miękkiego, pachnącego cebulą i lawendą ciała trzymanego w ramionach. Toteż Piotr czerpał z tej radosnej chwili pełnymi garściami, a złote włosy Marynki łaskotały jego policzki.

Gdy jakiś czas potem Antonina Żabińska wkroczyła spokojnie do salonu, ocierając chusteczką pot z czoła, aż przystanęła w progu ze zdziwienia, widząc Marynkę i Piotra tańczących w czułych objęciach, z parą rysiczek podskakujących u ich stóp. Zdjęła kapelusz i odchrząknęła nieznacznie, chcąc dyskretnie powiadomić młodych o swojej obecności.

Piotr był jednak zbyt uradowany i przejęty, by to zauważyć.

– Słoniątko! Mamy słoniątko! – zawołał po raz nie wiadomo który, po czym chwycił Marynkę w pasie, uniósł do góry, jakby nie ważyła więcej niż piórko, i zakręcił się wraz z nią wokół własnej osi.

Dziewczyna zapiszczała z radości, lecz zaraz umilkła przerażona. Zauważyła swoją panią stojącą w progu i jej zaczerwienione od tańca policzki spuropurowiały jeszcze mocniej.

– Puśćże mnie, Piotrze – nakazała.

– A co mi panna Marynka robi, jak nie puszczyć? – przekomarzał się niczego nieświadomy Piotr.

– Ugryzę! – warknęła Marynka i szarpnęła się w jego ramionach, rzucając lękliwe spojrzenia w stronę podwójnych drzwi do salonu.

Coś w jej głosie sprawiło, że młodzieniec posłusznie postawił ją na podłodze i sam rozejrzał się po pokoju. Wówczas i on dostrzegł dyrektorkę Żabińską.

Antonina przeszła przez pokój, opadła na kanapę i ułożywszy łokieć na zagłówku, wdzięcznie podparła głowę na dłoni. Przymknęła lekko powieki i przyglądała się im badawczo. Marynka stała cała w pąsach. Nie śmiała podnieść oczu i spojrzeć na swoją pracodawczynię, która przyłapała ją na niestosownym zachowaniu. Po chwili jednak Żabińska uśmiechnęła się życzliwie.

– Marynko, każ w kuchni rozpałić pod piecem w łazience – powiedziała łagodnie i spokojnie jak zawsze. – Potrzebuję solidnej kąpieli. Jestem wyczerpana.

– Już, już, proszę pani – odpowiedziała dziewczyna i czym prędzej wyszła. Antonina i Piotr popatrzyli sobie w oczy.

– Mamy słoniatko – westchnęła dyrektorka.

Piotr uśmiechnął się szeroko.

– Co za ulga. Tak bardzo się bałam, że teraz coś mogłoby pójść nie tak.

– E tam, pani Puniu! Przy nas nic nie mogło się stać ani Kasi, ani jej dziecku – orzekł z pewnością człowieka, który dobrze wykonał powierzone mu zadanie. – Choć przyznaję, jeśli wierzyć Hindusowi, rzeczywiście dokonaliśmy cudu.

Antonina Żabińska uniosła w górę swoje krzaczaste brwi, a na jej twarzy odmalował się wyraz zdziwienia. Piotr się zaśmiał.

– W dzieciństwie zaczytywałem się w powieściach Verne’a – wyjaśnił. – Gdy Fileas Fogg w dramatycznych okolicznościach chciał kupić słonia, by kontynuować swoją podróż na grzbiecie zwierzęcia, jego właściciel, Hindus, odmówił angielskiemu dżentelmenowi, mówiąc, że słonie są zbyt cenne, bo żyją tylko na wolności i w niewoli rozmnażają się bardzo rzadko.

Teraz i dyrektorowa uśmiechnęła się szeroko.

– Nie będę nawet próbowała zgadywać, ile razy czytałeś *W osiemdziesiąt dni dookoła świata* – stwierdziła wesoło, choć w jej głosie czuć było zmęczenie. Wypadki wieczora najwyraźniej i ją pozbawiły resztek sił.

– Wystarczająco dużo, by móc wyrecytować fragmenty Rysiowi jutro przed snem – odparł z dumą Piotr.

Lubił, gdy dyrektorowa Żabińska go chwaliła. Choć była od niego starsza zaledwie o dziesięć lat, odnajdywał w niej namiastkę matki, której nigdy nie miał. Pragnął jej uwagi, nieco zazdrośnie spoglądał na czułość, jaką otaczała swojego synka, cieszył się z pochwał, którymi niekiedy go darzyła. Na wspomnienie małego synka Żabińskich Piotr klepnął się w czoło.

– Rysio! Musimy powiedzieć Rysiowi! – wykrzyknął, zrywając się z kanapy. – On jeszcze nic nie wie o słońátku.

Antonina pokręciła głową.

– Zostań, Piotrze – poprosiła. – Ryś już śpi. Zasnął na dywanie, gdzie siedział, zarzekając się, że nie położy się do łóżka, dopóki Kasia nie urodzi dziecka. Nie budźmy go. Pięcioletni organizm ma granice wytrzymałości. Wystarczy mu emocji na dziś. Myślę, że nie pogniewa się na nas zbyt, jeśli o wszystkim dowie się jutro rano.

– Ma pani rację, pani Puniu – przytaknął Piotr. – Zresztą pewnie chciałby od razu gnać, choćby po ciemku, żeby zobaczyć słońátko, a Kasi i dziecku przyda się teraz chwila spokoju.

– Dziecko, słońátko... Ech... Nie lubię mówić o zwierzętach jakoś tak bezosobowo, jak się mówi o stole czy bieliźniarce. Trzeba prędko znaleźć dla niej jakieś ładne imię. – Żabińska zamyśliła się.

– Może Basia? Będzie pasowało do imienia matki – zaproponował Piotr.

Antonina milczała, wyraźnie coś rozważając.

– Według moich obliczeń nasze słońátko jest dwunastym słońiem, który urodził się w niewoli – zaczęła wreszcie. – Pierwszym słońátkiem urodzonym w wolnej Polsce, pierwszym, które przyszło na świat w naszym zoo. Ona jest wyjątkowa i potrzebuje nietuzinkowego imienia.

– Tuzinka! – zaśmiał się Piotr. – Nazwijmy ją zatem Tuzinka.

Żabińska zawtórowała mu.

– Tuzinka – powtórzyła. – Niecodzienne i znaczące zarazem. Podoba mi się, Piotrze. Spytamy jeszcze Jana, co sądzi o twojej propozycji, lecz na ile go znam, mogę już teraz z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, że i jemu przypadnie do gustu to imię.

Przed opuszczeniem ogrodu Piotr raz jeszcze zajrzał do słoniarni. Tuzinka stała wciąż na krzywo rozstawionych nogach i ssała pierś matki. Uśmiechnął się na ten widok.

– Dobranoc, Kasiu. Dobranoc, Tuzinko – wyszeptał jeszcze, po czym wolnym krokiem, powłócząc nogami, ruszył w stronę domu.

3.

Piotr był pewien, że zaśnie natychmiast, gdy tylko przykryje głowę kocem, pod którym spał. Jednak przeżyte emocje były silniejsze od zmęczenia fizycznego. Leżąc w łóżku z rękami założonymi pod głowę, wpatrywał się w ciemność i wspominał dzień, gdy poznał Antoninę Żabińską. Chwilę mająca odmienić na zawsze jego życie. Początek drogi wiodącej go do dnia, który właśnie się skończył, dnia, w którym był świadkiem narodzin najprawdziwszego słonia.

To był jeden z owych wieczorów na rubieżach lata, gdy w ciepłym powietrzu czuć już wyraźnie pierwsze powiewy jesieni. Nie jest to chłód, nie jest to zapach ziemi nasiąkniętej deszczem, mchu, grzybów czy suchych liści, a trudna do określenia ulotna woń, niemożliwa do pomylenia z jakąkolwiek inną. Piotr stał i patrzył na słonie. Ostatnie monety wydał na bilet wstępu do ogrodu zoologicznego. To, co mu zostało, starczyło na połowę razowca, którym karmił się przez cały dzień. Wkładał do ust kawałek chleba i trzymał go tam, nie żując, tak długo, aż zupełnie się rozpuścił. Oszukiwał samego siebie, że w ten sposób jedzenia starczy mu na dłużej. Prawdę powiedziawszy, nie czuł głodu. Przez lata przywykł do nieustannego ssania w głębi trzewi, ogłuchł na zło-wieszcze pomruki żołądka coraz usilniej domagającego się pożywienia. Jadł, by nie rozbolała go głowa, co nieraz mu się zdarzało. Jedynie uczucie suchości w ustach było nieco dokuczliwe, ale i na to nie zwracał szczególnej uwagi. Czyż to pierwszy raz w życiu chciało mu się pić? Zresztą mógł w każdej chwili podejść do jednego z ozdobnych kraników z wodą pitną ustawionych w różnych miejscach ogrodu i ugasić pragnienie. Nie chciał jednak oddalać się od wybiegu dla słoni. To mógł być jego ostatni dzień spędzony blisko ukochanych zwierząt, nie chciał uronić ani chwili.

Gdy nogi ścierpły mu już niemiłosiernie, przysiadł na wielkim kamieniu przy samej barierce, by dać im odpocząć. Przyglądał się ludziom, którzy przychodzili karmić słonie złocistymi, pszennymi bułkami kupionymi na niewielkim stoisku pod markizą w białe i zielone pasy, ustawionym nieopodal wybiegu dla słoni. Widział czule uśmiechające się do siebie pary, eleganckich wąsatych panów w garniturach i kapeluszach, kobiety prowadzące za rękę gustownie ubrane dzieci i czuł się samotny jak nigdy wcześniej. Zadawało mu się, że jest jedyną osobą na świecie, która nie ma do kogo się przytulić, kogo złapać za rękę, nie ma z kim oglądać słoni. Ludzie przychodzili, wymieniali parę zdawkowych uwag, czasem ktoś wyciągnął z pokrowca aparat i zrobił zdjęcie, utrwalając na zawsze tę radosną chwilę. Pary wymieniały pocałunki, dzieci śmiały się głośno lub piszczały, gdy któryś ze słoni uniósł trąbę. I tylko on był sam.

Żałował, że jest odmieńcem, że marzy o słoniach i nie potrafi odnaleźć już w sobie dawno śnionych snów o ciepłe, pełnym brzuchu i łobuzowaniu z kolegami. To, co było ważne dla niegdysiejszych towarzyszy jego zabaw, stało się Piotrowi całkowicie obojętne, odkąd zawładnęło nim pragnienie zostania opiekunem słoni. Tamtego dnia ze wszystkich sił nienawidził zmarłej przed tygodniem babki za to, że nauczyła go czytać, tym samym oddzielając od pozostałych chłopców z dzielnicy, którzy teraz mogliby mu zapewnić namiastkę domu. Jednak przez nią zapragnął innego życia, a marzenie to wyalienowało go na zawsze ze świata Szmulek.

– Za chwilę zamykamy bramę. Powinieneś już iść, chłopcze – usłyszał za sobą czyjś głos, który brzmiał tyleż uprzejmie, co stanowczo.

Dopiero wówczas Piotr zauważył, że blask słońca przygasł nieco, cienie wydłużyły się, a okoliczne alejki były niemal puste. Zrobiło się dziwnie cicho i jakby sennie. Kolejny dzień odchodził do przeszłości. Zrozumiał, że kończy się czas odwiedzin zoo, a mimo to zignorował słowa strażnika. Nadal stał niewzruszenie i wpatrywał się w słonie spacerujące tam i z powrotem po wybiegu na tle różowiejącego z wolna nieboskłonu, zubożniały na wszystko poza tymi dwoma ogromnymi stworzeniami. Były jedynymi punktami zaczepienia w rzeczywistości, jakie mu pozostały. Nie miał rodziny, przyjaciół, nie miał

już nawet gdzie mieszkać. Tego ranka wyrzucono go na bruk, bo nie miał z czego opłacić czynszu. Zostało mu kilka przedmiotów niewielkiej wagi, ukrytych w zniszczonej torbie przewieszanej przez chude ramię. Jutro, najdalej pojutrze, spienięży je na bazarze Różyckiego, o ile nie złapią go policjanci albo miejscowi cwaniacy dbający o to, by nikt obcy nie handlował na ich terenie, nawet jeśli miałby to być handel z ręki. By mieć co do gęby włożyć, sprzeda nieładną broszkę babki i jej poźółkle rękawiczki, podniszczony portfel ojca i ramkę, w której rodzic trzymał ślubne zdjęcie, menażkę, kilka osobistych drobiazgów. Tylko książkę, jedyną książkę, jaką dostał w całym swoim kilkunastoletnim życiu, chciał zachować dla siebie, najdłużej jak to będzie możliwe. Był jednak pewien, że nadejdzie dzień, w którym instynkt przetrwania zwycięży i sprzeda także ją. Wtedy nie będzie posiadał już niczego poza połataną odzieżą i parą za dużych butów ojca.

Mógł wprawdzie pójść do którejś z fabryk, spróbować zarobić parę groszy, ale wiedział, że rąk do pracy nie brakowało, więc nikt zapewne nie będzie chciał, mając do wyboru tylu dorosłych mężczyzn, przyjąć drobnego, chudego chłopca. Mógł także udać się do jednego z warszawskich schronisk dla bezdomnych. Do tego osadzonego wśród piachów i pól na Annopolu mógłby nawet dojść na piechotę. Wiedział jednak, że czekała tam nań wyłącznie rozpacz i śmierć za życia. Byli tam kiedyś z chłopakami, żeby sprawdzić, ot z ciekawości, jak żyją biedniejsi od nich. Piotr wzdrygał się na samo wspomnienie tamtego miejsca. Najgorsze wydawało mu się robactwo. Babka, póki żyła, prała, krochmaliła, czyściła wszystko, co miał. Ubrania domowników były wyblakłe, dziurawe, za małe, ale nigdy nie nosili na szwach wszy. Piotr pamiętał, że na Annopolu wszyscy się drapali. Krzyczeli, że to pchły, wszy i pluskwy różnych gatunków i rozmiarów, a oni, bosonodzy chłopcy ze Szmulek, stali za ogrodzeniem i śmiali się z tych nieszczęśników. Ach, jak śmiali się z ludzi, którzy tłoczyli się po kilkunastu w jednej izbie, wśród grzybów, pleśni, brudu i smrodu, z głodem w oczach, bez leków, bez nadziei, bez jakichkolwiek perspektyw. Ktoś powiedział, że takie dzielnice bezdomnych zasysają człowieka.

– Kto raz tam trafi, najprawdopodobniej nigdy już nie wyjdzie. To nie bieda czy choroby ich dziesiątkują, a owo poczucie beznadziei, które pogłębia się

z każdym dniem.

Teraz na samą myśl, że mógłby sam stać się częścią tamtej społeczności i zamieszkać wśród ludzi o pustym wzroku, żyjących bez celu, zrobiło mu się niedobrze. Nie chciał tak wegetować, zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią. Gdy był sam, umieranie jakoś nigdy go nie przerażało. Ciekawiło go raczej, jak to będzie tam, po drugiej stronie. Piotr często wyobrażał sobie moment śmierci jako tęczę, która roztacza swe majestatyczne, kolorowe wstęgi nad światem, lecz nim minie chwila krótsza niż mrugnięcie powiek – znika, rozplywa się. Nie ma jej i jest tak, jakby nigdy jej nie było. Piotr czuł, że tak będzie i z nim. Będzie żył, a potem umrze, a świat będzie się dalej kręcił bez niego, wirował w tańcu czasu. Nigdy nikt się o niego nie troszczył, więc i po jego śmierci nikt nie zapłacze. Skoro tak, nie było potrzeby zabiegać zbytnio o to, co będzie dalej. Najprawdopodobniej bowiem nie będzie nic.

Miał czternaście lat, lecz czuł się stary i zmęczony, tak bardzo zmęczony. Im dłużej patrzył, tym większa narastała w nim trwoga, że gdy odwróci wzrok, słonie także znikną – jak ojciec, babka i kruchutkie poczucie bezpieczeństwa, które zapewniał mu dach nad głową. Gdy znikną słonie, nie będzie już nic, tylko ziejąca pustka. Stał więc bez ruchu, starając się nie mrugać, głuchy na napomnienia strażnika. Stał i patrzył, jak pomarańczowe słońce migocze w króciutkich włosach na szarym karku słoni. Połajanek, szturchańców czy bicia nie bał się aż tak jak owej pustki i dopóki żyje, chciał jej uniknąć. Nie mógł pójść do schroniska. Chciał pozostać w zoo. By żyć, musiał tu zostać jak najdłużej.

– Młodzieńcze, proszę opuścić teren ogrodu, zaraz zamykamy – wąsaty mężczyzna w ciemnej czapce ponowił próbę. Gdy i ona nie przyniosła rezultatu, chwycił chłopca pod ramię. Wówczas Piotr zaczął krzyczeć jak człowiek walczący o życie.

– Puść mnie! Puść! – wrzeszczał, wierzgając wściekle, bo strażnik zamiast rozluźnić uścisk, tylko go wzmocnił. – Puszczaj!

Krzyczał jak opętany, wyrywał się i szarpał, wykręcał w stronę słoni, jakby oczekiwał od nich pomocy. Ostatni goście zoo patrzyli w ich kierunku z wyraźnym zaciekawieniem.

– Co się tutaj dzieje? – spytał niski kobiecy głos, którego właścicielkę skrywał cień wielkiego dębu.

– Chłopak nie chce wyjść, pani dyrektorowo – wyjaśnił zwięźle strażnik.

– To chyba jeszcze nie powód, by go szarpać, prawda? – odparła kobieta z wyraźną naganą w głosie.

Strażnik puścił ramię chłopaka, skłonił głowę, zdjął czapkę i stał, mnąc ją w obu rękach. Piotr nie bardzo wiedział, co powinien teraz zrobić. Odzyskał wolność. Instykt dziecka ulicy domagał się rychłej ucieczki, jednak zaboronne przekonanie, że jeśli teraz opuści zoo, to nigdy już nie zobaczy słoni, nakazywało mu nie ruszać się z miejsca.

Dyrektorowa odprawiła strażnika i zwróciła się w jego stronę. Podeszła bliżej. Dopiero teraz mógł się jej dokładnie przyjrzeć. Była wybujałą kobietą o miękkich konturach ciała i rysach twarzy znamionujących łagodność. Słomkowe włosy, ufryzowane w modne fale, były nieco zwichrzone. Krzaczaste brwi, wąskie usta i wysokie czoło nadawały jej twarzy wyraz stanowczości i inteligencji. Miała krótki nos o łukowatych, szerokich nozdrzach i wyraźnie zaznaczone kości policzkowe. Jej skóra, zapewne jasna zimą, teraz miała złocistą barwę przywodzącą na myśl skórę świeżo wypieczonego chleba. Nie należała najwyraźniej do gatunku kobiet przesadnie dbających o urodę. Nie była kimś, kto zaprzętałby sobie głowę takimi błahostkami, jak chronienie się przed słońcem, byle tylko zachować arystokratyczną bladość. Wyglądała świeżo i pogodnie, gdy tak stała obok niego w granatowej sukni w duże białe grochy, ozdobionej idealnie wykrochmalonym kołnierzykiem. Nie, nie nazwałby jej ładną, lecz z całej postaci tej kobiety, z rysów jej twarzy, mimiki, ruchów, biła siła i coś jeszcze... Jakby poczucie bezpieczeństwa.

– Dlaczego wciąż tu stoisz? – spytała.

W tonie wypowiedzianych przez kobietę słów nie słychać było nagany ani gniewu. Mówiła spokojnie, a głos miała dźwięczny i niezwykle przyjemny. Mimo to chłopiec nie czuł się zobowiązany, by jej odpowiedzieć.

– Na noc ogród jest zamykany, nikt z gości nie może przebywać na jego terenie po zmroku – wytłumaczyła łagodnie, jakby nie dostrzegła nieuprzejmego zachowania chłopca.

Piotr skinął lekko głową, dając znak, że jest tego świadom, lecz nadal stał w tym samym miejscu. Raz po raz rzucał tęskne spojrzenia w stronę wybiegu dla słoń. Kobieta także odwróciła się w tamtą stronę. Odgarnęła jasny kosmyk z czoła i swobodnym gestem oparła przedramiona na ogrodzeniu. Dłuższą chwilę stali tak obok siebie w milczeniu, przypatrując się słońcom.

– Są cudowne – westchnęła dyrektorowa. – Mogłabym patrzeć na nie bez końca.

Piotr zdziwił się na to osobiste wyznanie obcej osoby i rzucił w jej stronę ukradkowe spojrzenie. Przypatrywała się zwierzętom, a po jej ustach błędził delikatny uśmiech. Zdawało mu się, że kobieta w sukni w grochy zapomniała o jego obecności, ale był w błędzie.

– Czemu nie chcesz wyjść? – zapytała niemal w tej samej chwili.

– Boję się... – wyznał wbrew sobie i natychmiast zawstydzził się tego, co powiedział.

– Że znikną? – odpowiedziała, wciąż na niego nie patrząc.

Chłopiec szarpnął głową zdziwiony. Dotąd zawsze zdawało mu się, że nikt go nie rozumie, że jest zupełnie sam w tym wielkim świecie. A teraz ta obca kobieta niespodziewanie zwerbalizowała jego myśli.

– Ja też mam czasem wrażenie, że śnię – ciągnęła. – Że to wszystko – ogród, zwierzęta – to bajka. Że to sen, z którego się w końcu obudzę.

Piotr pokiwał głową, choć młoda kobieta i tak nie mogła tego widzieć.

– Nie masz rodziców, prawda? – spytała, choć w jej tonie słychać było, iż nie oczekuje odpowiedzi. Ona wiedziała, że nikt na niego nie czeka, że nikt nie obsztorcuje go za późny powrót, że nie ma domu.

Poczuł złość na tę kobietę, która jeszcze przed chwilą wydawała mu się nawet miła. Nie chciał, żeby ktokolwiek się nad nim użalał. Nie potrzebował jej litości.

– Ja też nie – kontynuowała kobieta, choć przecież nie mogła dostrzec zmiany, jaka zaszła w chłopcu. – Mama umarła na suchoty, gdy byłam całym małą. Mój ojciec był inżynierem, pracował przy budowie kolei. Dużo wyjeżdżał, nie mógł się zajmować dzieckiem. Przygarnęła mnie babcia i wychowywała razem z ciotką. Gdy skończyłam dziesięć lat, ojciec ożenił się ponow-

nie i posłał po mnie. Osiedliliśmy się w Taszkencie, bardzo, bardzo daleko stąd. Daleko od babki i ciotki, daleko od wszystkiego, co znałam.

– Przynajmniej miała pani ojca przy sobie... – szepnął Piotr i sam nie rozumiejąc czemu, dodał: – Mojego zaciukali na ulicy... Widziałem, jak tam leży bez życia...

Kobieta nie odwróciła wzroku, nie spojrzała na Piotra, a on był jej za to wdzięczny.

– Mój ojciec także został zamordowany na moich oczach – wyznała po chwili. – Przez Uzbekistan przetaczała się wówczas rewolucja robotnicza. Bestialsko rozprawiano się ze wszystkimi, którzy nie zarabkowali pracą fizyczną – wyjaśniła.

– Ale pani ojciec był inżynierem, to dobry zawód.

– Dobry – zgodziła się – ale nie dla rewolucjonistów. Tamtego wieczoru wracaliśmy do domu. Na ulicy nie było nikogo. Wiedzieliśmy, że niezbyt bezpiecznie jest pozostawać poza domem po zmroku, ale to zignorowaliśmy. Wracaliśmy z restauracji, gdzie przy uroczystej kolacji świętowaliśmy kolejną rocznicę ich ślubu. Pamiętam, jak szliśmy... Pamiętam każdy krok. Jeszcze dziś, po tylu latach, słyszę w uszach stukanie obcasów macochy o bruk, odbijające się echem od uśpionych kamienic. Nagle jak spod ziemi wyrosło przed nami trzech uzbrojonych mężczyzn. Zatrzymali nas. Widziałam gniew w ich oczach i słyszałam go także. Byliśmy sami na ulicy, a oni tak strasznie krzyczeli. Kazali ojcu pokazać dłonie, a gdy okazało się, że nie mają pęcherzy, bez słowa ostrzeżenia zastrzelili jego i macochę. Mnie pozostawili przy życiu. Stałam sama na środku ulicy, z nieżywym ojcem i macochą u stóp.

Kobieta zawiesiła głos, jakby zbyt wielkie wzruszenie odebrało jej mowę.

– Do dziś budzi mnie okrzyk jednego z nich: „Pokazywat ruki!” – podjęła po chwili. – Zginął uczciwy, ciężko pracujący człowiek, tylko dlatego, że nie miał otarć ani odcisków na rękach. Do dziś pozostaje to dla mnie niepojęte.

– I co było dalej? – spytał na wskroś przejęty Piotr.

– Nie pamiętam zbyt dobrze. To była pół jawa, pół sen, jakby ktoś nagrywał moje życie i wyświetlał mi urywki zapisane na taśmie filmowej. Nie wiem, kto zabrał ciała ojca i macochy z ulicy, kto odprowadził mnie do domu, kazał spa-

kować najpotrzebniejsze rzeczy, zaprowadził mnie do piwnic, w których ukrywałam się przez dłuższy czas. Nie pamiętam, kto przynosił mi jedzenie i książki. Pamiętam, że w piwnicy czytałam. Dużo czytałam, uciekając w fikcyjne opowieści od koszmarnej rzeczywistości świata zewnętrznego. Przez kilka miesięcy nie mogłam opuścić opanowanego rewolucją Uzbekistanu. Babka i ciotka były daleko, a ja trwałam tak bez nikogo bliskiego, zdana na łaskę i niełaskę obcych ludzi, którzy przecież mogli nigdy więcej do mnie nie przyjść, w obcym kraju, gdzie szalała rebelia. Wszyscy mieli usta pełne hasel, których nie mogłam zrozumieć. Trwałam, przepływając przez kolejne dni jak rozbitek na tratwie skleconej z pozorów codzienności, w ciągłej niepewności jutra, kompletnie sama. Nie byłam nawet pewna, czy babka wie o wszystkim, czy ktokolwiek ją powiadomił, dał szansę, by opłakała syna i zaczęła mnie szukać. Te niepokojące myśli nie dawały mi spokoju i gdyby nie książki, pewnie postradałabym zmysły. W tamtym czasie, oprócz czytania miałam jeszcze jedną radość, a była nią gra na pianinie. Gdy w okolicy nie kręcił się nikt podejrzany i uznawano, że jest bezpiecznie, pozwalano mi wyjść z ukrycia i grać na starym, rozstrojonym lekko przez lata nieużywania instrumencie. Grałam i grałam, nie czując zmęczenia, niekiedy, zmorzona snem, zasypiałam z twarzą na klawiaturze. Wydawało mi się, że gdy tylko przestanę grać...

– ...wszystko się rozpadnie – cichutko szepnął Piotr.

– Tak, dokładnie tak – przytaknęła równie cicho.

Lecz już w następnej chwili machnęła szybko ręką przed twarzą, jakby chciała odgonić rozrzewniające wspomnienia. Stała się znów rzeczowa. Jej twarz na powrót przybrała wyraz stanowczości, a w kąciку ust mignął lekko kpiący uśmiech. Po uczuciu niewytłumaczalnej bliskości, która przez chwilę stała się ich udziałem, nie było śladu.

– Ach, sama nie wiem, czemu opowiadam ci to wszystko, chłopcze. To dawne dzieje, a ty masz przecież, jak widzę, dość własnych zmartwień. Mięło. Trzeba po prostu żyć dalej, cieszyć się otaczającym nas pięknem, uczciwie pracować i próbować każdego dnia uczynić ten świat odrobinę lepszym – powiedziała już zupełnie wesoło. Po czym, tknięta nagłą myślą, spytała:

– A jak ty właściwie masz na imię?

– Piotr – odparł sztywno, po czym dodał szybko – proszę pani.

– A więc jednak potrafisz być grzeczny – uśmiechnęła się dyrektorowa. – Jestem Antonina, ale wszyscy mówią na mnie Punia.

– Dziwne przezwisko... – wyrwało się Piotrowi.

Kobieta zaśmiała się.

– Prawda? Mnie też z początku takim się zdawało, ale z czasem przywykłam. Przyznam ci się, że teraz nawet lubię być tak nazywana. Wierz mi, do wszystkiego można się przyzwyczaić, wszystko można przetrwać i ostatecznie polubić, o ile tylko chce się to zrobić.

Piotr zwiesił głowę. Pustka i smutek powróciły ze zdwojoną siłą. Poczul się naraz tak opuszczony, że w gardle urosła mu wielka gęła i zachciało mu się okropnie płakać.

– Wiesz, o czym zawsze marzyłam? – zagadnęła wesoło Antonina, udając, że nie zauważyła zmiany w zachowaniu chłopca.

Piotr pokręcił głową. Gęła wciąż się powiększała, uniemożliwiając mu udzielenie odpowiedzi.

– Chciałam robić cokolwiek, byle ze zwierzętami – wyjaśniła. – Pewna Cyganka wyróżyła mi nawet, że wyjdę za kogoś, kto będzie je miał. Zaczęłam więc śnić o księciu z bajki. Hrabim, magnacie albo chociaż włościaninie, byle ze stajnią pełną koni lub przynajmniej owczarnią. Tymczasem pracowałam na uczelni rolniczej i tam właśnie poznałam Jana. Nigdy nie podejrzewałam jednak, że przepowiednia Cyganki spełni się w taki sposób, że los podaruje mi męża naukowca, ani że jako dodatek do obrączki dokooptuje drapieżniki, egzotyczne ptactwo i wielkie ssaki lądowe.

To powiedziawszy, kobieta wybuchnęła radosnym śmiechem, tak jasnym i pogodnym, że i Piotr pomimo ściśniętego gardła, krzywo się uśmiechnął. Jednak już w następnej minucie Żabińska znów spoważniała. Spojrzała na zegarek. Wokół było niemal zupełnie ciemno, jeśli nie liczyć porozwieszanych tu i ówdzie na drzewach niewielkich latarenek znaczących drogę pracownikom zoo. Świat pozbawiony śmiechu kobiety zdawał się Piotrowi jeszcze ciemniejszy i cichszy.

– Ach, jak już późno! – wykrzyknęła Antonina. – A przede mną jeszcze tyle pracy!

Piotr zadrżał. Chciał ją zatrzymać. Chciał, by te chwile, gdy rozmawiali wpatrzeni w wybieg dla słoni, potrwały jeszcze, choć odrobinę dłużej. Granat nieba gęstniał, a słonie były już tylko wielkimi, ciemnymi plamami na jego tle. Piotr wiedział, że zaraz znikną odprowadzone do pomieszczeń, w których spędzały noc.

– Musisz już iść – powiedziała nagle kobieta, przybierając surowy ton. – Chyba że...

Serce zabiło mu z emocji. Wpatrywał się w usta Antoniny, jakby zaraz miało z nich paść jakieś magiczne zaklęcie.

– Chyba że chciałbyś, ale ostrzegam, że to ciężka i prawdę mówiąc żmudna praca, pomóc dziś przy karmieniu słoni. Jeden z opiekunów zachorował i nie mam kim go zastąpić, a wierz mi, słonie nie najadają się szybko. Ech, w zoo rąk do pracy jest zawsze za mało, stanowczo za mało.

Nogi ugięły się pod zmęczonym chłopcem tak, że lekko się zachwiało. Nie zdołał powstrzymać ciężkiego westchnienia.

– Toteż jeśli zechciałbyś... – zaczęła znowu, ale Piotr nie dał jej dokończyć.

– Tak, tak, chcę. Bardzo chcę! – wydusił drżącym głosem.

– Wspaniale. – Dyrektorowa uśmiechnęła się do niego ciepło, a w krągłych policzkach pokazały się dwa dołeczki, przydając jej dziewczęcego wdzięku. – W takim razie chodź, zaprowadzę cię do miejsca, gdzie będziesz mógł zostawić swoje rzeczy i wziąć uniform, a potem poproszę, by pokazano ci, co masz robić. Chyba nie boisz się wejść do słoniarni?

Piotr zaczął kręcić przecząco głową tak szybko, że świat zawirował mu przed oczami.

Antonina znów się uśmiechnęła.

– To dobrze. Nie pachnie tam może najpiękniej, ale jest sucho i ciepło. Tędy – powiedziała po prostu i ruszyła przed siebie żwawym krokiem.

Gdy byli już przy wejściu do rzęsiście oświetlonego pawilonu, kobieta przystanąła.

– Widzisz, jaka ze mnie gapa? Zapomniałam zapytać, o czym ty marzysz...

Piotr przełknął głośno ślinę i po raz pierwszy w życiu wypowiedział na głos zdanie powtarzane w nieskończoność w myślach.

– Od zawsze chciałem zostać kornakiem, opiekować się słoniami, proszę pani – szepnął i natychmiast zamknął oczy.

Całe jego ciało napięło się, jakby szykowało się do przyjęcia ciosu podczas bójki. Tak bardzo bał się, że kobieta wyśmieje jego najcenniejsze marzenie, a jednak czuł nieodparte pragnienie, by zdradzić je właśnie jej. Wbrew oczekiwaniom chłopca Żabińska nie roześmiała się. Patrzyła mu prosto w oczy, poważna i skupiona, a on był niemal pewien, że go rozumie. Skinęła głową, a on odetchnął z ulgą. Nie potrzebowali więcej słów.

Wiele lat później Piotr zapytał Antoninę, dlaczego to właśnie jemu postanowiła dać szansę, skoro tylu silniejszych, sprawniejszych, a nade wszystko starszych mężczyzn niemal codziennie pojawiała się w zoo, pytając o pracę.

– Nie wiem – odpowiedziała, lekko wzruszając ramionami. – Wiedziałam tylko, że podejmuję słuszną decyzję. – A po chwili namysłu dodała, patrząc mu prosto w oczy: – I nie pomyliłam się. Nigdy mnie nie zawiodłeś, Piotrze. Dziś też nie zawiódł. Ani dyrektorowej, ani Kaśki, ani małej Tuzinki. Zasnął z poczuciem dobrze wykonanego zadania, a we śnie marzył, że jest Fileasem Foggiem przemierzającym Indie na wychowanym przez siebie słoniu. U jego boku, w bogato zdobionym, połyskującym srebrem i złotem siodle, zamiast Hinduski Audy siedziała pulchna, jasnowłosa Słowianka z małym, zadartym noskiem.

1939

1.

– E tam, wojna, pani dyrektorowo – powiedziała Marynka, ocierając pot z czoła. Złota obrączka zalśniła na jej palcu.

Antonina siedziała przy stole, szypułkując truskawki. Panujący w pomieszczeniu zaduch sprawiał, że z trudem oddychała. Wyjrzała przez okno. W pierwszym odruchu ogarnęła wzrokiem przestrzeń wokół domu, szukając siedmioletniego Rysia, lecz zaraz przypomniała sobie, że poszedł ze swoją boną na plażę nad Wisłę. Zamiast syna dojrzała łosia Adama. Potężne zwierzę, zwykle o tej porze żwawym kłusem przemierzające ogrodowe alejki, siedziało teraz pod rozłożystym drzewem i skubało zapamiętałe zielone listki z pobliskiego krzewu. Jeśli nie liczyć brzęczenia niez mordowanych pszczoł, w ogrodzie panowała nietypowa cisza. Najwyraźniej nawet ptaki nie miały dość sił, by koncertować przy tak wysokiej temperaturze. Dwie ukochane ryśiczki Antoniny leżały rozciągnięte u jej stóp i szukając ochłody, tuliły się do wielkich podłogowych kafli.

Od kilku dni w stolicy żar lał się z nieba. Zmierzch nie przynosił ochłody. Poprzedniej nocy w sercach mieszkańców miasta zrodziła się nadzieja na odrobinę orzeźwienia. Kilka donośnych grzmotów zbudziło niejednego warszawiaka śpiącego bez przykrycia, czasem nawet bez stosownej odzieży. Wpatrywali się w ciemność, oczekując pierwszej kropli deszczu.

– Wracaj do łóżka – wymruczała rozbudzona potężnym hukiem Marynka, wyciągając dłoń w stronę stojącego przy oknie Piotra. – To grzmi na pogodę.

Miała rację i tej nocy z chmur nie spadła nawet odrobina wody, a kolejny ranek wstał jeszcze bardziej upalny niż poprzedni. Wszystko zdawało się niemal gotować w zastygłej w bezruchu masie gorącego powietrza.

Trudną do wytrzymania spiekotę potęgował żar bijący od kuchni. Nie było jednak innego wyjścia i tak zbyt długo odkładały zebranie truskawek i przerozbienie ich, jak to miały w zwyczaju od lat, na kompoty i konfitury do herbaty mające zimą przypominać o dniach tego słonecznego lata. Unoszące się w pomieszczeniu kłęby pary mieszały się z potem, którym oblane były obie kobiety.

– Wojna to, wojna tamto – perorowała Marynka, mieszając drewnianą łyżką w wielkim garze stojącym na kuchni. – Zdaje mi się czasem, że ludzie zapomnieli, że są inne tematy do rozmów. A przecież żadnej wojny nie będzie, wspomni pani jeszcze moje słowa, dyrektorowo.

Żabińska patrzyła z przyjemnością na swoją pracownicę, która zdawała się jedyną nieudręczoną spiekotą osobą w całym mieście. Cięża zaokrągliła jej ciało. Niemożliwością było, by upał jej nie doskwierał, lecz jeśli nawet tak było, Marynka nie dawała nic po sobie poznać. Poruszała się po kuchni zwinnie i lekko. Wszędzie było jej pełno. Patrząc na pogodną, pełną życia i energii dziewczynę, faktycznie trudno było uwierzyć w gęstniejące nad Polską chmury.

A jednak gdy w marcu wojska niemieckie wkroczyły do Czech i Moraw, wszyscy zaczęli liczyć się z możliwością wybuchu wojny. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania. W środę dwudziestego drugiego marca – we wspomnienie świętego Zachariasza – w Warszawie przeprowadzono próbny alarm lotniczy. Miał być on sprawdzianem dla wszystkich służb administracji miejskiej, a nade wszystko dla drużyn obrony przeciwlotniczej. Jednak w następnych miesiącach, gdy nie wydarzyło się nic równie spektakularnego, większość warszawiaków wpisała wprawdzie w swoją codzienność myśl o potencjalnej wojnie, lecz była to raczej myśl odległa, w rodzaju tych, którymi człowiek zamierza się troskać dopiero wówczas, gdy prawdziwa bomba spadnie na dom sąsiada. Wszyscy zgodnie żyli więc jak dawniej, łudząc się, że jeszcze nie pora na podejmowanie jakichkolwiek decyzji, że wciąż mają czas na ucieczkę, że to, co złe, z pewnością ich ominie, że są wszak sojusze międzynarodowe, pakt o nieagresji, dyplomacja, a dwudziesty wiek to nie średniowiecze i państwa liczą się ze sobą nawzajem. Cieszyli się zatem wiosną, a gdy ona stała się

wspomnieniem, ciepłem i słońcem letnich dni. Kolejki podmiejskie pękały w szwach, gdy warszawiaczy wyprawiali się na wycieczki za miasto, pikniki nad Wisłą czy wędrówki po lesie. O wojnie niby pamiętano, a jednak jakby zapomniano wśród zabaw i wesołości, zaś wszelkie próby przygotowania cywilów do wojny, jak choćby szkolenia sanitarne czy kursy przysposobienia obronnego organizowane przez magistrat traktowano jak kolejną rozrywkę, okazję do spotkań i wspólnej zabawy, ot choćby i w wojnę.

– Troskać należy się dopiero, gdy jest o co – tłumaczyła Marynka, oblizując pulchne usteczka lepkie od kosztowanej właśnie konfitury. – Moja nieboszczącka matka, świeć Panie nad jej duszą, zawsze powtarzała, że martwienie się na zapas szkodzi na wątrobę i osłabia zęby.

Antonina nie zdołała powstrzymać uśmiechu, słysząc te ludowe mądrości.

– Pani dyrektorowa się śmieje, ale to najszczerza prawda. U nas na wsi mówi się, że ktoś na problemie zjadł zęby. Znikąd się to nie wzięło.

Prostej argumentacji dziewczyny nie można było odmówić pewnej logiki, toteż Żabińska, nie chcąc jej rozdrażniać, natychmiast przybrała poważny wyraz twarzy. Spojrzała na szeroki parapet, na którym stały odwrócone do góry dnem gotowe już słoiki z przetworami. Jej głowę znów zasnuły ciemne myśli, rozproszone na chwilę przez niezłomny optymizm młodej mężatki, noszącej pod sercem swoje pierworodne dziecko. Wnętrze Antoniny zacisnęło się z niepokoju.

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że robienie konfitur tego lata miało w sobie coś złowieszczonego. Owszem, pomna rad Marynki, starała się ze wszystkich sił wierzyć, że żadnej wojny nie będzie, jednak wydarzenia na świecie zdawały się temu zaprzeczać. Na wszelki wypadek podjęli z Janem działania zmierzające do przygotowania zoo na ewentualne braki zaopatrzeniowe. Żartowali, że skoro magistrat powołał Miejskie Zakłady Apropowizacyjne, by w razie konfliktu zaopatrywać ludność stolicy w żywność i opał, oni też powinni wymyślić jakąś szumną, najlepiej kilkuczłonową nazwę dla swojej działalności, by przydać jej powagi.

– Tradycyjnie o zwierzętach nie pomyślał nikt – oburzył się teatralnie Jan, po czym dodał parodystycznie: – Zapewne nasz kochany pan prezydent Sta-

rzyński w swej wielkiej przenikliwości i dalekowzroczności zakłada, że zwierzęta z zoo są na tyle mądre i zaradne, by w razie wojny zadbać o siebie same. Ot, na ten przykład, mogą zeżreć wrogów.

Prześcigano się w wymyślaniu coraz to nowych żartów o Hitlerze i jego diabelskiej sforcie, którymi starano się zagłuszyć niepokój. Jan zdawał się najweselszy ze wszystkich, jednak czasem, gdy wieczorami Antonina przynosiła mu herbatę do gabinetu, zastawała męża siedzącego w fotelu z książką na kolanach, patrzącego w okno z wyrazem zamyślenia na twarzy. Dostrzegała wówczas bruzdy na policzkach, zwykle zakamuflowane przez uśmiech, które powodowały, że mąż sprawiał wrażenie o wiele starszego, niż był w rzeczywistości.

Żabiński nie wydał żadnych oficjalnych zarządzeń kryzysowych, jednak niemal codziennie wczesnym rankiem przez bramę ogrodu wjeżdżały wozy i ciężarówki pełne zboża, warzyw, owoców, ziaren, mąki i mnóstwa innych towarów potrzebnych do wykarmienia zwierząt. Kilka pomieszczeń gospodarczych oczyszczono ze znajdujących się tam sprzętów i zamieniono na dodatkowe magazyny. Gromadzono zapasy jedzenia, węgla i drewna, środków sanitarnych i leków. Na wszelki wypadek oczywiście, bo przecież nikt ani w willi dyrektorostwa Żabińskich, ani w zoo, ani w całym mieście otwarcie nie wyrażał obaw, że Hitler poważy się zaatakować Polskę.

– Pani, pani dyrektorowo, powinna się raczej zacząć zastanawiać nad obsadzeniem tych pustych klombów wzdłuż alejki wiodącej do domu dyrektorostwa i może jakimś dodatkowym ukwieceniem ogrodu francuskiego – radziła Marynka. – Na zwierzętach wprawdzie znacie się państwo jak nikt inny, jak świat długi i szeroki, ale z roślinami to już gorzej, choć pan dyrektor ma podobno jakieś przyrodnicze dyplomy. Mnie się zdaje, że to ogrodników trzeba lepiej przypilnować. Jeśli zrazu nie zadbają o różanecznik i nie obsadzą kwietników roślinami, na wiosnę, gdy zjadą ci wszyscy dyrektorowie z całego świata, marniutko to wszystko będzie wyglądać, oj, marniuteńko.

Antonina skinęła głową. Marynka miała rację. Zjazdy Międzynarodowego Związku Dyrektorów Ogrodów Zoologicznych zwykle odbywały się na terenie

Rzeszy, jednak w uznaniu zasług Jana postanowiono, że kolejne spotkanie odbędzie się w Warszawie. Wiosną roku następnego.

– Do wiosny jeszcze dużo czasu – powiedziała. A w myślach dodała: Tyle się jeszcze może wydarzyć.

– Dużo, niedużo, pani dyrektorowo – westchnęła filozoficznie Marynka. – Ani się pani obejrzy, jak wyjedziecie z Rysiem do Rejentówki na letnisko i wróćcie, a potem zacznie się szkoła, nadejdzie zima i znów będzie wiosna. Proszę wtedy tylko nie narzekać i nie mówić, że nie uprzedzałam.

– Gdzieżbym śmiała, Marynko złota – zachnęła się Antonina.

– Trzeba żyć tu i teraz, pani dyrektorowo, a w przyszłość lepiej nie zaglądać, chyba że jest to naprawdę absolutnie niezbędne. A nuż zobaczy się tam co złego i człowiek skwaśnieje jak mleko na ostatnie dni swojego życia. I na co to komu?

2.

Światło jesiennego słońca z trudem przebijało się przez gęstą zasłonę porannej mgły. Strzępy wilgotnej, zimnej pary oblepiały wszystko wokół, wysysając barwy z koron drzew, dachów budynków, zwierzęcych futer, przybrudzonych kombinezonów pracowników zoo, zielonkawych czapek żołnierzy Wojska Polskiego. Gęste opary sprawiały, że wszystko wokół blakło. Jedynie połyskująca granatem czerń wronich i kruczych skrzydeł zdawała się nieczuła na działanie mgły. Ptaki, doskonale widoczne na tle mlecznobiałej zasłony, krążyły nad ogrodem zoologicznym, kracząc złowieszczo niczym heroldowie śmierci. Świat wydawał się groźnym i wrogim miejscem. Wszędzie wokół unosił się zapach zwierzęcego lęku.

Piotr stał i w milczeniu przyglądał się scenie rozgrywającej się przed jego oczami. Kolejny wystrzał przeciął powietrze. Ciało zwierzęcia osunęło się na piach. Mijał dopiero szósty poranek, odkąd głos spikera Zbigniewa Świętochowskiego zatrzymał go w progu mieszkania, a rzeczywistość zdążyła się już zmienić nie do poznania.

Była szósta. Piątek, pierwszego września. Zbudziwszy się, Piotr z przyjemnością zauważył jasny promień słońca, który przeciąwszy na pół ich izbę, zatrzymał się na piegowatym nosie Marynki. Chwilę przypatrywał się śpiącej żonie. Złociste włosy rozrzucone na poduszce, mocno zaokrąglone rysy i ta słoneczna plamka na nakrapianym nosie sprawiały, że jej twarz wyglądała jeszcze bardziej dziecięco i niewinnie niż zawsze. Piotr zapragnął pocałować miejsce, w którym słońce muskało twarz jego żony, ale powstrzymał się. Choć Marynka nigdy się nie skarżyła, Piotr wiedział, że olbrzymi brzuch coraz bardziej jej wadził. Ich dziecko lada dzień miało się pojawić na świecie. Powinna teraz dużo wypoczywać. Wstał ostrożnie, bacząc, żeby nie zbudzić śpiącej smacznie

żony. Włączył cicho radio, ubrał się, napił zsiadłego mleka z garnuszka i zjadł ze smakiem kromkę chleba grubo posmarowaną smalcem, do którego Marynka dodała dużo skwarek, kwaśnych jabłek i majeranku, tak jak lubił najbardziej. Z jego piersi wydobyło się głębokie westchnienie człowieka młodego, zdrowego, wyspanego i najedzonego, który oczekuje od życia wyłącznie przyjemności. Przygotował sobie jeszcze kilka kanapek do pracy, założył kalosze i czapkę. O szóstej trzydzieści, gdy miał właśnie wyjść do zoo na poranne karmienie Tuzinki, Świętochowski przerwał zaplanowaną audycję.

– *Halo, halo! Tu Warszawa i wszystkie rozgłośnie Polskiego Radia.*

Jego lekko drżący głos odbił się echem od ścian pokoju. Piotr przystanął z ręką na klamce.

– *Dziś rano o godzinie piątej minut czterdzieści oddziały niemieckie przekroczyły granicę polską, łamiąc pakt o nieagresji. Zbombardowano szereg miast. Za chwilę usłyszycie Państwo komunikat specjalny.*

Dobry nastrój Piotra prysł jak bańka mydlana. Z bijącym sercem przyskoczył do radioodbiornika stojącego pod ścianą, po drodze potrącając stolik, z którego spadła szklanka z wodą. Cieniutkie szkło rozprysło się na tysiące przeźroczystych, lśniących igiełek. Piotr, nie zważając na hałas i szkody, które poczynił, przekręcił gałkę radiowego głośnika i nachylił się w jego stronę, jakby chciał wnikać do wnętrza, upewnić się, że to, co słyszy, jest prawdą.

Marynka, wyrwana gwałtownie ze snu, usiadła na kanapie i przetarła oczy. Jedno spojrzenie na kredowobiałe oblicze męża wystarczyło, by wzbudzić jej niepokój.

– Coś się stało? – zapytała natychmiast.

Piotr nie zdążył odpowiedzieć.

– *A więc wojna* – usłyszeli dobrze znany wszystkim głos aktora Józefa Małgorzewskiego.

Marynka przyłożyła obie dłonie do ust, jak człowiek, który po przebudzeniu z niespokojnego snu spostrzega, że jego koszmary nie były jedynie fantasmagorią, lecz przez noc zdążyły się stać prawdą.

– *Z dniem dzisiejszym wszelkie sprawy i zagadnienia schodzą na plan dalszy. Całe nasze życie publiczne i prywatne przestawiamy na specjalne tory. Weszliśmy w okres*

wojny. Cały wysiłek narodu musi iść w jednym kierunku. Wszyscy jesteśmy żołnierzami. Musimy myśleć tylko o jednym: walka aż do zwycięstwa.

Piotr wyłączył radio. Przez chwilę trwali w milczeniu, patrząc sobie w oczy. Łzy spływały po twarzy Marynki i kapały na obszerną, płócienną białą koszulę opinającą duży brzuch, w którym skryte bezpiecznie rosło ich dziecko. Nowe życie nieświadome grozy właśnie zawisłej nad światem, na który miało wkrótce przyjść.

– Wojna, wojna... – szeptał Piotr raz za razem, jakby nie mógł uwierzyć, że to słowo – przekazywane z ust do ust od tyłu miesiący, traktowane pobłażliwie, z lekkim niedowierzaniem, niekiedy wręcz żartobliwie – nagle stało się rzeczywistością. Oszołomiony wpatrywał się w drzewo rosnące na środku dziedzińca czynszówki, w której mieszkali. Był to kasztanowiec. Jeszcze wiosną obsypany biało-różowym kwieciem, dziś przyozdobiony plamiastymi liśćmi. Kilka dni wcześniej rozmawiał ze zmartwionym dozorcą. Pocziwy starszek kręcił głową, mówiąc, że odkąd żyje, nie widział, by tak stare drzewo zachorowało tak nagle i tak poważnie.

– Pewnie trzeba będzie je wyciąć – orzekł z żalem. – A to zły znak, Piotrze, zły znak.

Teraz Piotr wpatrywał się w przeżarte chorobą liście i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że to wiekowe drzewo przeczuło nadejście końca świata, nim jeszcze ludzie zdążyli zauważyć, że się zbliża.

Marynka zerwała się z łóżka. Zapragnęła wtulić się w ramiona Piotra. Wiedziona nagłą potrzebą złęknionego serca, nie zauważyła odłamków szkła i stanęła na nich bosą stopą. Krew szybko zmieszała się z wodą, tworząc przerażającą, połyskliwą plamę na środku podłogi.

Krzyk żony wyrwał Piotra z ponurego zamyślenia. Był człowiekiem czynu. Działanie sprawiało, że odzyskiwał spokój, jasność myśli, skupiał się na zadaniu, które miał do zrealizowania. Czym prędzej opatrzył skaleczoną stopę Marynki, całując delikatnie każdy z jej bladych, spuchniętych paluszków, by nieco ją rozweselić. Podziałało. Twarz kobiety powoli się rozjaśniała.

– Co teraz będzie? – zapytała, wpatrując się w niego swoimi wielkimi oczami w kolorze fiołków.

Piotr poczuł się tak, jakby od niego zależały losy tej wojny.

– Wszystko będzie dobrze, moja droga – powiedział tonem, którym zwykle uspokajał swoich podopiecznych. – Ja się wszystkim zajmę.

Pokrzepiona tą deklaracją męża Marynka ostatni raz pociągnęła nosem i uśmiechnęła się. Jej jasna natura, której wyobraźnia nie sięgała zbyt daleko, naraz zakwalifikowała wojnę jako coś, owszem, strasznego, ale już nie tak bardzo, skoro Piotr obiecał wziąć wszystkie zmartwienia na siebie.

Teraz, szóstego dnia wojny, Piotr wiedział już z całą pewnością, że tamtego ranka skłamał. Nic nie będzie dobrze. Już nigdy nic nie będzie dobrze, a on sam był bezsilny wobec zła, które dokonywało się na jego oczach. Mijał kolejny dzień, a on stał i patrzył, jak śmierć zbiera swe żniwo wśród stworzeń, które nie mogły się same obronić. Zwierzęta przeznaczone do odstrzału padały jedno po drugim. Odgłos kopyt ryjących podłoże. Szamotanie się zwierzęcia w uwięzi. Przeczuwa. Coraz bardziej zdezorientowane, wydziela woń strachu. Ryk przerażenia. Strzał. Głuche plaśnięcie. Chmura piaskowego pyłu. – Jan się mylił – pomyślał Piotr, zaciskając pięści tak mocno, że czuł, jak paznokcie wpijają mu się w spód dłoni. – Tak bardzo się mylił.

Przed oczami stanęła mu twarz dyrektora Żabińskiego, gdy zaledwie dwa tygodnie wcześniej rozmawiali na temat potencjalnych zagrożeń dla ogrodu.

– Sądzę, że nie musimy się tym kłopotać – rzekł wówczas Jan charakterystycznym, spokojnym tonem człowieka, który jest pewien tego, co mówi. – Nasz ogród zoologiczny ma prawie dwanaście hektarów! Przecież to jeden wielki park, a nie wojskowy obiekt strategiczny, bunkier czy poligon. Nie sądzę też by faszystowscy piloci byli na tyle bezmyślni, żeby bombardować Bogu ducha winne zwierzęta. Niemcy są przecież cywilizowanym narodem, a poza tym lubią pieniądze. Jeśli wierzą w wygraną, z pewnością nie będą niszczyć tego, co w przyszłości może przynieść im lukratywny zysk – tłumaczył swoim pracownikom. – Wielokrotnie udowadniali też, że kwestie zoologiczne zajmują szczególne miejsce w ich naukowych zainteresowaniach. Sam Hitler podobno jest teraz zawładnięty pomysłem odtworzenia populacji najbardziej germańskiego zwierzęcia, jakie kiedykolwiek stąpało po ziemi, czyli tura. W realizacji tej idei wiernie sekunduje mu dwójka naszych dobrych znajomych –

bracia Lutz i Heinz Heck. Krzyżują i krzyżują. Jestem pewien, że i nasze zwierzęta by im się przydały. Jeśli nie do krzyżówek, to choćby po to, by dodać blasku berlińskiemu zoo kierowanemu przez Lutza. Możecie być spokojni, nasz ogród będzie bezpieczny.

Nastąpiła cisza. Wszyscy popadli w zamyślenie, rozważając zasadność słów dyrektora.

– W ostateczności – odezwał się znów Jan – mamy dość rowów przeciwnicznych, by ukryć w nich ludzi i zwierzęta.

A gdy dostrzegł pytające spojrzenia, uśmiechnął się tylko i wyjaśnił:

– Baseny dla zwierząt, fosy otaczające wybiegi, rowy melioracyjne w razie potrzeby wspaniale się nadadzą.

– Jan ma rację – poparła męża Antonina. – Naszym jedynym zmartwieniem powinno być zadbanie o odpowiednie zaopatrzenie.

– Musimy zgromadzić zapasy żywności i węgla na wypadek, gdyby wojna rzeczywiście wybuchła i gdyby naszemu wojsku, wspartemu siłami angielskimi i francuskimi, potrzeba było nieco więcej czasu na przegnanie szwabskiej zarazy z polskiej ziemi – podsumował Żabiński.

Każda rozmowa kończyła się w ten sam sposób. Wszyscy zdawali się usatysfakcjonowani, pozornie uspokojeni poczynionymi ustaleniami, które pozostawały niezmiennie od miesięcy.

A jednak Jan Żabiński się mylił. Już trzeciego dnia wojny, w niedzielę, na zoo spadły pierwsze bomby. Usytuowany niemal na brzegu Wisły, pomiędzy mostem kolejowym i Kierbedzia, ogród zoologiczny, w którym zdążyły się już rozlokować oddziały artylerii przeciwnicznej i batalion zapór balonowych, mające ochraniać mosty oraz ulokowano obóz kawalerii, stał się łatwym i chętnie obieranym przez wroga celem. Sąsiedztwo z zabudowaniami intendencji Wojska Polskiego tylko pogarszało sytuację.

Gdy rozpoczęło się bombardowanie zoo z powietrza, wojsko upomniało się o wykaz niebezpiecznych drapieżników przeznaczonych do odstrzału, który polecono Żabińskiemu przygotować jeszcze wiosną. Obiecano mu zrobić z niego użytek jedynie w ostateczności, gdyby doszło do sytuacji, gdy zwierzęta staną się zagrożeniem dla ludzi. Jan był żołnierzem, usłuchał rozkazu. Li-

sta, o której dotąd nie wspomniał nikomu, spoczywała w głębi szuflady jego sekretarzyka i była wyrokiem śmierci na tych, których kochał najbardziej.

Rzeczona ostateczność nastąpiła już dwa dni później, gdy piątego września na wybieg dla niedźwiedzi polarnych zrzucono ogromną bombę. Silny wybuch roztrzaskał skałę, niszcząc przy okazji ogrodzenie wybiegu – betonową barierę. Cztery białe niedźwiedzie, ulubieńcy warszawskich dzieci, nazywane czule misiami, ogromne drapieżniki, z których każdy ważył dwa razy tyle, co dorosły tygrys, wydostały się na wolność. Nie było mowy o choćby chwili wahania. Wykrzyczany rozkaz odbił się echem od rozłamanej skały. Rozległa się kanonada. Potężne cielska zwały się na bruk, a ich śmietankowe futro utkane z pustych w środku włosów, zabarwiło się szkarłatem. Z rozwartych paszcz o ostrych zębiskach wypłynęły ostatnie obłoki pary. Porośnięte sierścią poduszki łap odwróciły się ku niebu.

Chwilę później Piotr, wciąż oszołomiony tym, co stało się z niedźwiedziami, patrzył na twarz Jana, nie rozumiejąc, o czym mówi stojący przed nimi oficer.

– Ta sytuacja nie może się powtórzyć. Wobec zagrożenia życia ludzkiego musimy to zrobić, doktorze. – Po czym dodał, jakby chciał się usprawiedliwić: – Jutro. To decyzja cywilnych władz obrony Warszawy. Bardzo mi przykro.

Żabiński nic nie odpowiedział. Skinął tylko głową i odszedł czym prędzej, zostawiając Piotra z pytaniami, na które odpowiedzi nie chciał poznać. Kolejny strzał. Najstarszy lew, ostatni na liście, wbrew gatunkowej naturze spokojny i łagodny, padł na bok. Odrzut był tak silny, że zwierzę upadło kilkadziesiąt centymetrów od miejsca, w którym stało. Z boku pokrytego piaskową sierścią wartkim strumieniem płynęła krew. Treser lwów podbiegł do konającego zwierzęcia. Ukląkł przy nim, głaskał i kołysał w ramionach groźnego drapieżnika niczym małe dziecko. Przed oczyma Piotra stanął obraz sprzed lat, gdy jedna z lwic odrzuciła swoje lwiątko, nie chciała ich karmić. Oceniała je jako zbyt wątłe, niegodne życia i przetrwania w świecie drapieżników. Wówczas Jan uparł się, że nie pozwoli im zdechnąć. Podawał lwiątkom mleko różnych zwierząt, ale słabnące z każdą godziną maleństwa odmawiały przyj-

mowania pokarmu, nie chciały ssać. Wreszcie zdesperowany Żabiński pognął do swojej siostry Hanny, która niedawno powiła niemowlę i wybłagał, by pozwoliła mu nakarmić lwy jej mlekiem. Zgodziła się i tym samym uratowała życie małym lwiątkom.

– I po co było to wszystko? – myślał z goryczą Piotr, patrząc na trzynaście nieruchomych ciał pokrytych złotawą sierścią.

Żołnierze zdjęli czapki i stali w ponurym milczeniu. Niebo zaszło chmurami. Wszystko wokół zsiniało posępnie. Zaraz potem zaczęło siąpić. Deszcz nasyłał się, ale nikt nie ruszył się z miejsca. Treser lwów wciąż przyciskał do piersi martwe zwierzę. Wielkie krople deszczu mieszały się na twarzach mężczyzn ze łzami, których w ulewie nie musieli ukrywać. Leje po pociskach szybko nappełniły się wodą, tworząc małe jeziora. Ich tafle marszczyły podmuchy jesiennego wiatru. Wybieg, pieczołowicie zaprojektowany, by jak najlepiej imitować warunki naturalne panujące na sawannie, zmieniał się w morze błota. Ciężkie ciała kilkunastu królewskich drapieżników zapadały się powoli w grząski grunt.

Zakończył się ostatni etap odstrzału. Część zwierząt miała zostać rozebrana na mięso, resztę należało czym prędzej pogrzebać. Nikt nie powinien ich widzieć. Plotki z pewnością szybko by się rozeszły, a to groziło wybuchem paniki. Było mnóstwo pracy. Tymczasem wszyscy stali w deszczu ogarnięci bezwładem smutku.

Piotr czuł, że ktoś mu się przygląda. Uniósł głowę i zobaczył Antoninę. Stała z gołą głową. Jej jasne włosy oklapły i pociemniały od wody, oblepiając twarz. Z koca, który narzuciła na plecy, obficie spływała woda. Ich spojrzenia się spotkały. Żabińska skinęła głową, jakby chciała potwierdzić to, co Piotr czuł już wyraźnie. Spokojny, dobry świat, w którym żyli dotąd, się skończył. Jan Żabiński bodajże po raz pierwszy w życiu się pomylił. W zoo nikt nie był bezpieczny. Cały świat przestał być bezpiecznym miejscem.

3.

Marynka stała przy piecu we wspólnej kuchni ich kamienicy i nucąc wesoło, przygotowywała kolację dla Piotra – zupę ziemniaczaną ze słoniną. Te wszystkie opowieści o potwornościach wojny nie mogły zmącić na dłużej jej dobrego nastroju, zaburzyć poczucia bezpieczeństwa i wrodzonego optymizmu. Wprawdzie pierwszego września i jej udzieliła się atmosfera ogólnego poczucia zagrożenia i pewnej dezorientacji, ale po dwóch tygodniach zdążyła przywyknąć do wszechobecnego hałasu, warkotu samolotów, codziennych bombardowań, a coraz bardziej ponure wiadomości już nie burzyły jej spokoju. Gdy była sama, po prostu w ogóle nie włączała radia. Wystarczyło, że Piotr spędzał przy odbiorniku większość wieczoru.

Marynka niczym nie martwiła się zbyt długo, nawet wojną. Taką po prostu miała naturę. Do wszystkiego potrafiła się szybko przyzwyczaić i zawsze umiała znaleźć jakiś powód, by spojrzeć na rzeczywistość łaskawszym okiem. Ot chociażby teraz – Niemcy jakoś chętniej bombardowali lewobrzeżną Warszawę niż Pragę, gdzie mieszkali z Piotrem, a jeśli już gdzieś w okolicy spadały bomby, to zwykle zrzucone były na fabryki czy strategiczne obiekty, a nie na biedne czynszówki lub drewniaki rozrzucone bezładnie po ich dzielnicy. Można by rzec, że czuła się nawet bezpiecznie. Jedno jak widać nie zmieniało się nawet w czasie wojny, biedota nikogo nie interesowała, a w tym przypadku była to zdecydowanie pozytywna okoliczność.

Oboje z Piotrem cieszyli się też dobrym zdrowiem, co nie było bez znaczenia, zwłaszcza tej jesieni. Gdy tylko rozeszła się wieść o wybuchu wojny, wszystkie szpitale, lazarety, najmniejsze nawet lecznice warszawskie obwieszono flagami Czerwonego Krzyża. Zgodnie z konwencjami prawa międzynarodowego kawałek białego płótna z wymalowanym nań czerwonym krzyżem

miał chronić budynek, personel medyczny i chorych przykutych do łóżek, miał być informacją dla wroga, że to miejsce nie może być celem ataków. Jednak Niemcy pod wodzą Hitlera już niejednokrotnie pokazali, że nie liczą się z nikim i z niczym. Tak było i tym razem. Szybko okazało się, że znak zamiast ochraniać, przyciąga pociski jak lep muchy. Piloci Luftwaffe pewnie nawet cieszyli się, że ktoś tak dobrze oznakował budynki, które mieli ostrzeliwać z powietrza. Personel medyczny po kilku dniach stracił wiarę w ochronną moc białych flag z czerwonym krzyżem zdejmowanych w pośpiechu ze wszystkich niezniszczonych jeszcze miejsc.

Marynka zaczęła też pokładać wielką ufność w systemy alarmowe ostrzegające przed niebezpieczeństwem. Uczestniczyła w szkoleniu zorganizowanym przez dyrektora Żabińskiego u schyłku lata. Miała nawet w domu jedną z masek gazowych, które wówczas rozdał, twierdząc, że jedynym, czego ogród i jego pracownicy winni się obawiać, jest atak gazowy.

Nie, nie czuła się zagrożona. A że ktoś powiedział jej kiedyś, iż nadmierna nerwowość matki może zaszkodzić dziecku, nie denerwowała się wcale. Była młoda, silna i zdrowa. Spodziewała się pierworodnego dziecka, które musiało się począć w noc poślubną, z czego była bardzo dumna.

– Prawdziwa kobieta to płodna kobieta – powtarzała jej matka, która sama urodziła piętnaścioro dzieci.

Marynka czuła się więc uosobieniem kobiecości i na tym skupiła swoją uwagę. Ignorowała wojnę, celebując swoją codzienność. Miała przystojnego, dobrego, uczciwego męża, któremu nigdy nie przyszło do głowy podnieść na nią rękę. Toteż, choć był momentami nieco dziwaczny, kochała go bardzo. Zresztą nigdy nie miała zbyt wysokich oczekiwań, brała to, co przyniosło jej życie i potrafiła się z tego cieszyć. Jej świat był prosty. Trzeba było pracować, żeby jeść, oporządzić dookoła siebie, bo dobra gospodyni dba o czystość, czerwać, prac i prasować ubrania Piotra, bo dobra żona musi dbać o wygląd zewnętrzny męża. Rano śniadanie, wieczorem obiad, pomiędzy tym sprzątanie. W życiu nie było nic skomplikowanego, choć w żaden sposób nie mogła tego wytłumaczyć Piotrowi. Osobiście uważała, że wszystkie jego troski brały się z tego, że zbyt wiele czytał. Psuł sobie wzrok, marnował światło, a co najgor-

sze, napełniał sobie głowę różnymi bzdurami, którymi potem się zamartwiał, co z kolei mogło mu zaszkodzić na wątrobę. Czasem Piotr zamykał książkę i pograżał się w zadumie. Potrafił tak milczeć godzinami, podczas gdy siedząca obok niego żona nudziła się niemiłosiernie. Czasem zaś snuł bzdurne jej zdaniem rozważania, będące niczym więcej jak trwonieniem czasu i sił. Była jednak rozsądną kobietą i wiedziała, że nie należy zdradzać mężowi podobnych myśli. Siadywała więc wówczas w bujanym fotelu naprzeciwko niego, brała do ręki robótkę i dziergała, od czasu do czasu uśmiechając się i kiwając główką otoczoną sprężystymi, modnie ufryzowanymi loczkami. Szybko zorientowała się bowiem, że Piotr nie potrzebuje, by mu odpowiadała, chciał tylko być wysłuchany, a to mogła mu zapewnić bez względu na to, czy rozumiała, o czym mówił, czy nie.

Ostatnio Piotr coraz bardziej zamykał się w sobie, zwłaszcza odkąd zarządzono odstrzał zwierząt. Najpierw zastrzelono Jasia, którego huk wystrzałów i grzmoty bomb doprowadzały do szału i sprawiały, że potulne niegdyś zwierzę stawało się śmiertelnie niebezpieczne dla otoczenia. Żadne ze środków uspokajających, tak dobrze działających na Kaśkę, nie pomagały samcowi. Został zastrzelony na wybiegu i zakopany nocą. Piotr przez całą noc płakał, nie tyle z żalu po Jasiu, który nigdy nie przestał być dzikim słoniem i nie skradł serca warszawskiego kornaka, jak kazał się nazywać Piotr, lecz ze strachu przed tym, co mogłoby spotkać Kaśkę. Tamtej nocy lęk zdawał się go obezwładniać i nawet mleko podane mu nad ranem przez żonę nie uspokoiło go.

W takich chwilach Marynkę nachodziły niepokojące myśli. Mimowolnie zastanawiała się, kogo Piotr ratowałby w pierwszej kolejności, gdyby przyszło mu wybierać – Kaśkę i Tuzinkę czy żonę i własne dziecko.

Starła się odpędzać je od siebie, jakby były muchami przylatującymi do konfitur i pospiesznie zabierała się do pracy, uważając zajęcie rąk za najskuteczniejszą metodę walki z niedorzecznymi rozważaniami.

Potem był wielki odstrzał drapieżników. Piotr wrócił tamtego popołudnia do domu cały przemoczony i nie zdjawszy nawet butów, położył się na kanapie, okrył kocem i leżał tak z szeroko otwartymi oczami, aż ubrania wyschły na nim zupełnie. Wreszcie zasnął, a gdy się zbudził, była już noc. Jednak

ciemności, które skryły Warszawę, miały przynieść kolejną dawkę grozy. Tuż przed północą nadano niepokojący komunikat radiowy.

– *Mężczyźni w wieku poborowym opuszczają miasto przed policją razem z wojskiem* – zagrzemiał pułkownik Umiastowski.

Już to jedno zdanie wystarczyło, by wywołać ogólną panikę. Gdy rankiem rozeszła się wieść, że właśnie tej nocy stolicę opuścił rząd i wódz naczelny, rozpoczęło się pandemonium. Ludzie jakby dopiero teraz uwierzyli, że wojna wydarza się naprawdę, i rzucili się do ucieczki. Zablokowane były główne arterie miasta. Panował zamęt, chaos. Szerzyły się grabieże, napaści na sklepy i rabunki domów, których właściciele, umykając w popłochu, nie zdążyli należycie zabezpieczyć.

Jan Żabiński, jako oficer, porucznik Wojska Polskiego, musiał wymaszerować z miasta wraz z pozostałymi żołnierzami. Antonina z Rysiem również opuścili willę, przeprowadzając się na lewy brzeg Wisły, gdzie mieszkała siostra Jana. Cywilom, poza personelem niezbędnym do opieki nad garstką pozostałych w ogrodzie zwierząt, zabroniono przebywania na terenie zoo, uznając, że jest to zbyt niebezpieczne.

Piotrowi nie dane było zbyt długo rozpaczać nad losem drapieżników. Musiał działać, przejąć wszystkie obowiązki dyrektorostwa Żabińskich. Niewytłumaczalnym bowiem zrządzeniem losu on jeden nie dostał przydziału, nie powołano go do czynnej służby wojskowej. Chciał iść do intendentury, by wyjaśnić nieporozumienie lub zgłosić się na ochotnika, ale Jan powstrzymał go.

– Nie jesteś żołnierzem – powiedział poważnie, patrząc Piotrowi głęboko w oczy. – Wojna to nie miejsce dla marzycieli.

– Ale wojna jest teraz wszędzie. Nie da się przed nią ukryć! – gorączkował się Piotr. – Ja chcę coś zrobić, chcę walczyć.

– Walczyć można na wiele sposobów, Piotrze. Twoje pole bitwy jest tutaj. Musisz zadbać o Kasię, Tuzinkę i wszystkie inne stworzenia, którymi nikt się nie zaopiekuje pod naszą nieobecność. Ufam ci i wierzę, że sobie poradzisz.

Uścisnęli sobie dłonie i więcej nie rozmawiali już na ten temat.

Za jedyną pomoc Piotr miał dwóch kilkunastoletnich chłopców – Staszka, młodszego pomagiera tresera lwów, i Władka, fajtłapowatego sprzątacza

w ptaszarni.

A potem znów wszystko się uspokoiło, jakby Warszawa oswoiła się z myślą o śmierci i postanowiła podejść do nowej rzeczywistości we właściwy sobie sposób – lekko kpiąco, z humorem i hartem ducha.

Marynka, owszem, przez cały ten czas martwiła się o męża, lecz nie jakoś wyjątkowo, ot po prostu, tak jak to mają w zwyczaju żony, nieważne czy wojna, czy pokój. Troskała się o to, że Piotr nie dojada, nie dosypia, że marznie albo moknie, jeżdżąc nie wiadomo gdzie po całym mieście, zbierając z rzeźni, jadłodajni i restauracji miejskich odpady, którymi można by dokarmiać zwierzęta. Starła się też okazać mu współczucie każdorazowo, gdy od kul, pocisków czy ognia ginęły kolejne zwierzęta. Nie przychodziło jej to jednak łatwo. Wychowana na wsi, gdzie zwierzęta trzymało się po to, by je utuczyć odpowiednio i zjeść albo sprzedać na targu, Marynka nie potrafiła zrozumieć stanu, w którym znajdował się jej mąż. Wojna była dla niej tylko niepotrzebnym zamieszaniem, a głównym zmartwieniem – w jej oczach o wiele poważniejszym niż śmierć pum, hien czy lampartów albo ucieczka fok do Wisły czy lam i jeleni do pobliskiego parku – były kłopoty z zaopatrzeniem. Coraz trudniej było zdobyć jedzenie, choć i to nie przysparzało im znów aż tak wielu trosk, bo kochana pani dyrektorowa pozwoliła Piotrowi korzystać z zapasów w zoo. Gdy raz czy drugi udało się Żabińskiej przedostać na Pragę, Piotr przynosił do domu cały kosz warzyw, worek kaszy albo zawiniątko z mięsem.

– Z pozdrowieniami dla Marynki i dziecka – mówił wówczas, wręczając jej pakunki, a ona aż kraśniała z dumy, że sama pani dyrektorowa tak o nią dba.

Odkąd wprost na ulicy wybuchła bomba, Marynka miała jeszcze jeden obowiązek. W środku dnia musiała ustawić się w kolejkę po wodę, a potem dźwigać ciężkie wiadra na drugie piętro. I to jednak nie było dla niej kłopotem. Lubiła to wystawanie w kolejce. Rozmawiała wtedy z innymi kobietami, dla których, tak jak dla niej, ważniejsze od kroków milowych historii świata było wykarmienie rodzin, utrzymanie porządku w domu i wychowanie dzieci, co by nie zdziczyły zupełnie od tej wojny. Ich świat kręcił się wokół drobiazgów dnia codziennego, owej szarzyzny, która zdaje się mieć niewiele wspólnego z globalną polityką, a jednak leży u jej podstaw.

– Ktoś musi obierać kartofle, by wojować mógł ktoś – żartowały czasem.

Świat gospodyń tak w czasie wojny, jak i pokoju rządził się jasnymi zasadami, tak jak świat Marynki. Stały więc w kolejce, wymieniając się uwagami o tym, czym zastąpić brakujące produkty podczas przygotowywania potraw, czym prać, gdy skończy się mydło, a gdy tematy się wyczerpały, odmawiały różaniec. Były to bardzo przyjemne chwile, toteż Marynka, niepomna próśb i nakazów Piotra, codziennie wychodziła po wodę.

Nieraz nad głowami kobiet przelatywały samoloty. Wbiegały wówczas w bramy albo kryły się za budynkami. Wtedy i Marynka trochę się bała, ale nigdy nie wspomniała o tym Piotrowi. Ostatecznie nic się przecież nie stało, a on dość miał zmartwień z tymi swoimi zwierzętami.

Dziś także odbyła swój rytualny spacer, choć wspięcie się po schodach z dwoma wiadrami i wielkim brzuchem sprawiło jej tym razem wyjątkową trudność. Gdy weszła do mieszkania, pozwoliła sobie na chwilę odpoczynku. Przyśiadła na stołku, objęła brzuch rękoma i dłuższą chwilę usiłowała złapać oddech. Czowała się jakoś inaczej i choć to jeszcze nie była pora, wydawało jej się, że dziecko szykuje się do wyjścia na świat.

– Spiesz ci się, mój mały, spiesz – mówiła z uśmiechem, raz po raz głaszcząc się po napęczniałym brzuchu. Mówiła w formie męskiej, bo była pewna, że urodzi chłopca. – Zaczekaj jeszcze, zaczekaj...

Choć nadal czuła się dziwnie słabo, uznała, że zbyt długo już odpoczywa. Wkrótce Piotr wróci z pracy i z pewnością będzie głodny. Musi przygotować mu pożywną kolację. Mieszała właśnie drewnianą łyżką zupę z ziemniaków zaprawioną obficie mąką, gdy poczuła, że po nogach spływa jej coś ciepłego. Zdziwiona zobaczyła, że kałuża wokół jej stóp szybko się powiększa.

– A więc to już – stwierdziła po prostu bez cienia strachu czy niepokoju.

Chwilę później poczuła gwałtowny skurcz. Był tak niespodziewany i silny, że wrzasnęła na całe gardło. Gdy minął, przez chwilę rozważała, czy nie poczekać, aż ziemniaki się dogotują, żeby jedzenie się nie zmarnowało. Kolejny skurcz, silniejszy od poprzedniego, uświadomił jej, że nie ma czasu do stracenia. Z westchnieniem zgasiła pod zupą. Jej dziecko najwyraźniej chciało wyjść na świat natychmiast. Zniosła parujący garnek do mieszkania i nakryła go

pierzyną, licząc, że utrzyma temperaturę i Piotr będzie mógł zjeść ciepły posiłek po powrocie do domu.

Otarła pot, który perlił się na jej czole, odgarnęła posklejane od wilgoci włosy i spięła je szpilką nad czołem. Całość związała czarną chustką w duże czerwone grochy. Następnie wyjęła z szafy białe, wygotowane płótno i zawięła weń pieluchy i ubranka dla dziecka, na wierzchu układając becik wyhaftowany osobiście przez dyrektorkę Żabińską w piękne, kolorowe papugi. Wyszła z mieszkania, zamykając starannie drzwi na klucz. Pokonanie drogi w dół zajęło jej mnóstwo czasu. Ostrożnie stawiała kroki, nogi jak z waty dziwnie się pod nią chwiały. Przy każdym skurczu przystawała, oddychając szybko i zaciskając palce na drewnianej poręczy tak mocno, że aż palce jej bieleły. Starła się nie krzyknąć, żeby nie niepokoić sąsiadów. Całą drogę rozważała też, czy udać się do pobliskiej apteki, gdzie znajdował się najbliższy telefon, i zadzwonić do willi dyrektorostwa Żabińskich, by zawiadomić Piotra o rozpoczęciu porodu, czy może skrócić w lewo, w sąsiednią bramę i skierować się od razu do mieszkania starej akuszerki, Agaty.

– Mężczyzna przy porodzie sprowadza nieszczęście – rozbrzmiały jej w uszach słowa matki.

Marynka wolała nie kusić losu. Zresztą o tej porze w willi pewnie i tak nikogo nie było. Chciała też jak najprędzej zobaczyć syna, przytulić go do piersi i kołysać w ramionach. Nie należało dłużej zwlekać. Teraz najważniejsze było zdrowie dziecka. Poprzedniego wieczoru zgodzili się wreszcie w kwestii imienia. Postanowili nazwać go Jan, na cześć dyrektora Żabińskiego, który okazał im obojgu tyle dobroci, choć Marynka miała niejasne przeczucie, że Piotrowi chodzi także o upamiętnienie jego ukochanego podopiecznego, ojca Tuzinki, słonia Jasia, którego wojsko nakazało odstrzelić kilka dni wcześniej. Czowała, że Piotr bardzo przeżył to wydarzenie. Stał się jeszcze bardziej milczący i jakby nieco się skurczył. Marynka nie pojmowała wprawdzie, jak można aż tak przejmować się śmiercią zwierzęcia, ale już dawno uznała, że zarówno Piotrowi, jak i dyrektorostwu Żabińskim, przy wszystkich ich zaletach, jednak brakowało piątej klepki, gdy chodziło o zwierzęta.

Jakkolwiek by było, Jan to dobre imię, obojętnie czy po dyrektorze, czy po słońiu – myślała z właściwą sobie niezmaconą pogodą ducha, kładąc się spać poprzedniej nocy.

– Jasio... – powtarzała teraz raz za razem, by dodać sobie otuchy.

Skurcze gwałtownie się nasiliły.

Sześć schodów w dół. Dwadzieścia kroków przez podwórko do sąsiedniej bramy – liczyła w myślach. – Potem jeszcze osiem stopni w górę do mieszkania Agaty.

– Damy radę, Jasiu, damy radę – szeptała, gładząc się po napiętym brzuchu. – Jeszcze chwilkę synku, zaraz się spotkamy.

Ostatni stopień. Odetchnęła z ulgą.

Nagle rozległ się świst, potem huk, a potem uderzenie wichru ścięło Marynkę z nóg. Ciemność.

– Jasiu... – zdążyła jeszcze szepnąć, nim śmierć zatrzymała bicie jej serca.

Półśmiech matczynej czułości zastygł na zawsze na jej pięknej twarzy, na którą posypał się grad kamieni.

4.

Niemcy rozpoczęli ostrzał terenu pobliskiego parku Praskiego. Piotr patrzył, jak drewniane konstrukcje atrakcji kameralnego lunaparku Sto Pociach stają w ogniu od pocisku samozapalającego. Ponad wesołym miasteczkiem – do którego jeszcze tak niedawno zabierał Marynkę na niedzielne przejażdżki na karuzeli lub na szybką kolejkę górską, ulubioną atrakcją prażan – unosiły się gęste kłęby czarnego dymu. Ogarnęło go niejasne przeczucie zagrożenia, a mimo to nie mógł się ruszyć z miejsca. Stał i patrzył, jak płomień tańczy w miejscu niedawnych niewinnych zabaw warszawiaków. Języki ognia lizały diabelskie młyny, beczki śmiechu, jeżdżące wózki, wieże do skoków i huśtawki.

Zdawało mu się, że słyszy śmiechy dzieci siedzących na kręcących się powoli rowerkach i konikach. I orkiestrę wygrywającą skoczne melodie na scenie na środku placu, ponad którą wirują na łańcuchach krzeselka karuzeli dla dorosłych. W jego uszach wyimaginowane dźwięki muzyki mieszały się z pokrzykiwaniami młodych chłopców błaznujących w górze, popisujących się przed towarzyszącymi im uroczyimi panienkami, które reagowały na te wygłupy głośnym piskiem. Elegancy panowie przytrzymywali kapelusze, by nie porwał ich wiatr. KobiECE loki łopotały jak chorągiewki. Raz po raz silniejszy podmuch unosił pojedynczy złocisty włos hen, hen ku górze, ku słońcu, niczym zagubiony promyk.

Słyszał mruczenie starego katarzyniarza, który stał zawsze w tym samym miejscu, nieco na uboczu, tuż obok stoiska, gdzie sprzedawano za kilka groszy torebki z pieczonymi, gorącymi kasztanami. Lekko orzechowe czy, jak twierdziła Marynka, kartoflane w smaku owoce kasztanowca zjeść można było dopiero po obraniu ze skórki, co wcale nie było prostym zadaniem. Ale

ile było przy tym śmiechu i pisków, gdy parzono sobie palce gorącym przy-smakiem! I tylko kataryniarz nieodmiennie wydawał się smutny, gdy tak stał otoczony zewsząd wesołością, pomrukując melodie wygrywane przez podniszczoną katarynkę. Na jego ramieniu siedziała tresowana małpka przyodziana w miniaturową kraciastą czapeczkę. Czasem dawała susa na bruk i podskakiwała w takt melodii. Przymykała przy tym oczy, jakby dawała się ponieść muzyce. Rozbawieni przechodnie przystawali popatrzeć, a wtedy rezolutne zwierzątko, szczerząc bielutkie ząbki, które na tle jej ciemnego futerka wydawały się jeszcze bielsze, zdejmowało swoje maleńkie nakrycie głowy i wyciągało w kierunku widzów, energicznym kiwaniem zachęcając, by wrzucili jakiś grosz. Wkrótce do małpki przyłączał się także kataryniarz. Kłaniał się publiczności z galanterią i zamaszystym ruchem wodził w koło, zbierając brzęczące wyrazy uznania do swojej czapki, również kraciastej. On jednak nigdy się nie uśmiechał.

Marynka uwielbiała tę małpkę i melancholijnego kataryniarza, który na jej widok zawsze wygrywał *Umówiłem się z nią na dziewiątą*, szlagier Eugeniusza Bodo z filmu *Piętro wyżej*. Piotr uśmiechnął się delikatnie na wspomnienie oburzenia, jakim nieodmiennie reagowała jego żona, gdy kilka razy próbował jej wyjaśnić, że kataryniarz gra tę popularną piosenkę każdej napotkanej panie, o ile jest wystarczająco młoda i urodziwa. Na to Marynka nadymała swoje piękne policzki, fukała, że Piotr nic nie wie, i przypominała, nie bacząc na brak ścisłego związku z omawianą sprawą, że to właśnie ta małpka wyróżzyła jej przed laty wielką miłość. A Piotr słuchał kolejny raz tej samej opowieści, z przyjemnością obserwując grę emocji na promiennej twarzy Marynki, wsłuchując się w jej skrzący wigorem głos.

Teraz tę krainę barw i wesołości, namiętności i humoru trawiły pomarańczowe płomienie. Wiał silny wiatr i obawiano się, czy ogień nie rozniesie się na teren parku. Gdyby tak się stało, również zoo mogłoby znaleźć się w niebezpieczeństwie.

– Piotrze! – czyjeś wołanie wyrwało go z zamyślenia.

W jego stronę biegł Staszek, jeden z dwóch młodych chłopców, którzy w tych dniach pomagali mu podtrzymać pozory normalnego życia w zoo.

– Piotrze, szybko.

Żołądek Piotra zacisnął się ze strachu.

– Marynka? – spytał natychmiast. – Coś z dzieckiem?

Staszek pokręcił głową, usiłując złapać oddech.

– Kaśka – wydyszał.

Krzyczał coś jeszcze, ale Piotr już go nie słyszał. Jednym susem przesadził uszkodzone ogrodzenie lunaparku i pobiegł w stronę zoo.

Gdy dotarł na wybieg dla słoń, zobaczył leżącą na boku Kaśkę ugodzoną pociskiem artyleryjskim. Jej gruba, zawsze lekko brudnawa skóra, która zdawała się tak twarda i mocna, była teraz rozerwana jak podarty z wściekłością materiał. Lśniące od krwi strzępy mięsa zwisały smętnie z rany.

Przy niej stała Tuzinka. Piotr skrawkiem świadomości skonstatował, że słoniczka jest cała i zdrowa. Wszystkie jego uwaga skupiła się więc na Kaśce, jego ukochanej słonicy. To ona była ucieleśnieniem jego dziecięcych marzeń, pierwszym słoń, którego zobaczył, najdroższą przyjaciółką, której z czasem powierzał wszystkie swoje sekrety. Wśród ludzi uchodził za człowieka milczącego, choć w rzeczywistości taki nie był. Nie potrafił jednak przed nikim otworzyć się tak jak przed Kaśką. A mądra słonica, choć nie mogła mu odpowiedzieć, zdawała się rozumieć każde jego słowo.

O tym, że to majestatyczne zwierzę jeszcze żyje, świadczyły ledwo dostrzegalne ruchy podbrzusza. Każdemu wdechowi towarzyszył głośny świst. Piotr podszedł bliżej, by sprawdzić, czy może ją uratować. Jedno spojrzenie w głąb rany, w której tkwił ciemny odłamek pocisku, wystarczyło, żeby Piotr był pewien, że jego ukochana słonica nie ma żadnych szans. Mimo to Kaśka próbowała uparcie trzymać się pozostałych jej namiastek życia.

Czeka, żeby się pożegnać – pomyślał Piotr i był dziwnie pewien, że się nie myli.

Przysiadł przy pysku słonicy, wprost na piasku, pomiędzy Tuzinką a jej matką. Ujął w dłonie trąbę Kaśki. Sapnęła ciężko, wypuszczając z nozdrzy obłok ciepłej pary. Piotr uśmiechnął się, a po jego policzkach popłynęły łzy. Tyle razy bawili się w tę zabawę. Piotr wdrapywał się na grzbiet Kaśki i chuchał jej do ucha, a ona szukała trąbę jego głowy i usiłowała zrobić to samo. Wspom-

mnienie zakłuło go boleśnie. – Nie zostawiaj mnie samego – szepnął prosto w wielkie ucho. – Proszę cię, Kaśka. Nie zostawiaj mnie. Nie teraz. Tak bardzo cię potrzebuję.

Położył się obok niej na zimnym piasku. Kaśka z wysiłkiem uniosła trąbę i opuściła na ramiona mężczyzny. Patrzyli sobie w oczy, a Piotr śpiewał *Bal na Gnojnej*, ulubioną piosenkę Kaśki, tę samą, którą miał zwyczaj nucić jej, gdy raczyła się w świąteczne dni swymi ulubionymi sfermentowanymi owocami.

Bez jedzenia i bez spania,

Byle byłoby co pić,

Kiedy na harmonii Feluś zaiwania,

Trzeba tańczyć, trzeba żyć...

Śpiewał tak długo, aż oczy Kaśki wyblakły i na zawsze przesłoniła je mgła śmierci. Miała prawie dwadzieścia lat, tyle samo co on, a już wiedziała, co jest po drugiej stronie. Jemu przyszło żyć dalej. Musiał jeszcze trochę zaczekać, by poznać odpowiedź.

5.

Kilka godzin później Piotr wolnym krokiem wracał do domu. Był niehumanie zmęczony. Śmierć Kaśki wydawała mu się jednak tak nierzeczywista, że nie czuł ani żalu, ani smutku, nie tęsknił, nie rozpaczał, jakby to wszystko działo się gdzieś obok niego. Był tylko znużony i senny. Chciał wtulić się w miękkie piersi Marynki, położyć dłoń na brzuchu, w którym biło serce ich dziecka, poczuć życie wśród powodzi śmierci zdającej się pochłaniać wszystko wokół. Pragnął zasnąć otulony ich ciepłem.

Sen, na który jeszcze nie tak dawno żał mu było czasu, w ostatnich dniach stał się największą przyjemnością, jakiej mógł zaznać. Miał nadzieję, że i tym razem Morfeusz go nie zawiedzie i wymaże spod jego powiek obraz umierającej w ciszy Kaśki i Tuzinki bezgłośnie oplakującej matkę. Wiedział, że słonie były ze sobą bardzo związane, nierozłączne. Mała słoniczka chodziła za matką krok w krok. Nieporadnie naśladowała ją we wszystkim. Piotr wielokrotnie podglądał, jak obdarzały się nawzajem czułością, bawiły się, dzieliły przysmakami. Nieraz sam przyłączał się do tych igraszek. Czasem miał wrażenie, że obie słonice traktują go jak członka stada, o tyle dziwnego, że nieprawdopodobnie niskiego, chudego i nieposiadającego trąby.

Było późne popołudnie. Rozsądek nakazywał mu wracać do domu, ale nie mógł się zdecydować na pozostawienie Tuzinki samej. Słoniczka nadal nie ruszyła się od zwłok matki. Przez cały dzień nic nie jadła ani nie piła.

– Idź, Piotrze – usłyszał za sobą głos Antoniny, która nie wiadomo kiedy pojawiła się przy nim. Dyrektorka starała się raz na jakiś czas wpaść do zoo, choć nie było to sprawą łatwą, lecz zawsze pojawiała się dokładnie wtedy, gdy była najbardziej potrzebna, tak jak teraz.

Gdyby wierzył w cuda, uznałby, że jej nadejście w tej właśnie chwili jest jednym z nich, ale już nie wierzył.

– Nic tu po tobie – powtórzyła, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Idź. Rysio jest bezpieczny u Hanny. Ja zostanę z Tuzinką.

Obecność Żabińskiej przyniosła mu ulgę. Skinął głową. Głos uwiązł mu gdzieś głęboko w gardle, odbierając mowę.

Chciał jeszcze tylko przed wyjściem zaprowadzić Tuzinkę do boksu, odciągając od leżącej w kałuży krwi matki, ale zwierzę nie ruszyło się ani o centymetr. Zobojętniała, nieczuła na wszystko wokół Tuzinka stała przy Kaście ze zwieszoną głową i raz po raz głaskała zwłoki matki trąbą. Z jej głęboko osadzonych oczu płynęły łzy, najprawdziwsze łzy. Piotr nigdy wcześniej nie widział płaczącego słonia i ten widok rozerwał mu serce.

Po kilku nieudanych próbach Żabińska nakazała, by zostawił Tuzinkę w spokoju.

– Dajmy jej przeżyć żałobę – powiedziała smutno. – To jest dziecko, które dziś straciło matkę.

Piotr chciał mimo wszystko zostać przy niej na noc, ale Antonina się nie zgodziła.

– Idź do domu, do Marynki – powtórzyła. – Jesteś jej potrzebny. Dla Tuzinki nie możesz teraz nic zrobić. Jedynie czas zdoła zagoić jej rany.

Niechętnie ustąpił.

Gdy dochodził już do swojej ulicy, usłyszał wycie syren alarmowych. Ostrzeżenie przeciwlotnicze. Przyspieszył kroku. Miał nadzieję, że zdąży sprowadzić Marynkę do piwnicy, nim rozpoczną się naloty. Wybiegł zza zakrętu. Widział już wejście do kamienicy, w której dzięki pomocy dyrektorostwa Żabińskich udało im się wynająć izbę. W tej samej minucie usłyszał świst. Padł na ziemię i nakrył głowę rękoma. Potężny wybuch wstrząsnął ulicą. Syreny zamilkły. Wszystko wokół spowiała mgła kurzu. Odłamki szkła niesione wiatrem szeleściły jak kryształowy zyrandol. Potem zapadła cisza.

Parę chwil później Piotr wstał. Splunął na ziemię, by pozbyć się pyłu z ust. Przetarł oczy i spojrział w stronę kamienicy.

Wejście do bramy było zasypane gruzem. Budynek wyglądał jak wielki tort, z którego odkrojono spory kawałek. Można było zajrzeć do wnętrza mieszkań pozbawionych ścian. Odruchowo spojrzął na drugie piętro, gdzie ulokowana była ich izba. Dojrzał jedyny solidny mebel, jaki posiadali, rozkładaną kanapę, podarunek od państwa Żabińskich. Spod warstwy pyłu wyzierał ciemnozielonkawy plusz. Na tej kanapie spali, rozmawiali i kochali się z Marynką tak wiele razy. Mimo to teraz mebel wydawał mu się dziwnie obcy.

– Marynka... – szepnął nerwowo jak człowiek wyrwany ze snu i puścił się pędem w stronę zasypanego wejścia.

Nieopodal bramy zauważył dozorcę. Mężczyzna stał nieruchomo, wpatrując się w otępieniu w okaleczoną kamienicę. W jednej ręce trzymał miotłę do zamiatania podwórza, w drugiej wiadro.

– Widział pan moją żonę? – spytał, łapiąc mężczyznę za ramię.

Dozorca odwrócił się w jego stronę, ale nic nie odpowiedział. Jego oczy zionęły pustką. Piotr potrząsnął dorodnym mężczyzną jak kukłą.

– Marynka?! Czy widział pan Marynkę?!

Dozorca uśmiechnął się jak dziecko, które nie rozumie, co się do niego mówi, i zaczął cichutko nucić. Piotr rozluźnił uścisk, zrozumiał, że niczego się nie dowie. Mężczyzna najwyraźniej był w szoku.

Mieszkańcy sąsiedniej kamienicy wysypywali się na ulicę. W parę chwil wokół Piotra i dozorca zrobiło się gwarnie i tłoczno.

– Czy ktoś był w piwnicy?! – krzyczał jakiś tęgi jegomość, który stał w samym podkoszulku i gaciach za kolana, z bosymi stopami, jakby wybiegł prosto z łóżka.

– Ludzi! Trzeba ratować ludzi! – emocjonowała się rudawa wychudzona kobiecina. – Biada! Biada! – wołała, wznosząc ręce ku górze.

Ludzie kłębili się bezładnie. Część pospieszyła odgruzowywać wejście. Inni szukali bliskich, jeszcze inni zeszli do piwnic, by sprawdzić, czy podziemne przejście łączące obie kamienice jest całe i czy uda się tamtędy przedostać do budynku. Niektórzy zaś pędzili do bram domów po przeciwległej stronie ulicy, by spróbować znaleźć schronienie w tamtejszych piwnicach, zanim rozpocznie się kolejny nalot.

Piotr rozglądał się wokoło z nadzieją, że wśród rozgorączkowanego tłumu odnajdzie żonę. Naraz w morzu głów dojrzał białowłosą przykurczoną postać starej Agaty, akuszerki. Przecisnął się w jej stronę.

– Marynka? Widziała ją pani?

Agata pokręciła głową.

– Nie było mnie w domu – dodała, jakby chciała się usprawiedliwić.

Piotr skinął w podzięcie i odszedł. Czuł narastający niepokój. Przyłączył się do grupy mężczyzn odgruzowujących światło bramy. Zza zwaliska cegieł dobiegały krzyki spanikowanych ludzi uwięzionych w środku.

– Marynka – szepnął i począł odrzucać cegły ze zdwojoną siłą.

Wreszcie sześciu mężczyzn uniosło wielki kawał ściany. Tuż za nim ukazała się szpara, a w niej czarno--biała posadzka korytarza. Jakaś ręka usiłowała przecisnąć się przez powstałą dziurę. Szczupłe palce poruszały się, jakby grały na niewidzialnym instrumencie.

– Uwaga! – wrzasnął ktoś.

– Ostrożnie! Całość może się zawalić! – To emerytowany, blisko osiemdziesięcioletni inżynier, mieszkaniec sąsiedniej kamienicy, ostrzegał przed niebezpieczeństwem. – Przynieście deski. Jak najdłuższe. Wszystko się chyboce. Trzeba wzmocnić strop. Prędko – zasuszony staruszek wydawał polecenia z energią, o jaką nikt by go nie podejrzewał.

– Powoli, spokojnie – mówił, gdy już przyniesiono co było trzeba, powiększono wejście i zabezpieczono na tyle, by umożliwić uwięzionym wyjście. – Powoli.

Jednak tym razem nikt go nie słuchał. Uwięzieni dotąd ludzie cisnęli się i przepychali w wąskim przejściu, chcąc jak najszybciej wydostać się z budynku, który mógł stać się ich grobowcem. Kilka kamieni po lewej stronie osunęło się. Pozostali w kamienicy ludzie zaczęli piszczeć przerażeni. Piotr z paroma innymi mężczyznami przynieśli długą belkę i usiłowali wsunąć ją tak, by dodatkowo wzmocnić prowizoryczny strop. Jednak na niewiele się to zdało. Wkrótce osypała się kolejna warstwa kamieni. I wtedy Piotr dostrzegł skrawek czarnej chusty w czerwone grochy. Zachwiał się.

– Marynka! – zawył i niepomny grożącego mu niebezpieczeństwa rzucił się na kolana rozgrzebywać kamienie.

Oczy wszystkich zwróciły się w jego stronę.

– W chwili wybuchu musiała znajdować się dokładnie w wejściu – powiedział inżynier sam do siebie i zdjął z głowy czapkę. Pochwycił spojrzenie starej Agaty i smutno pokręcił głową.

Agata powoli podeszła do Piotra i położyła mu rękę na ramieniu. Piotr nie przestawał odwalać kamieni. Nie zważał na krew spływającą mu z palców dłoni, na połamane paznokcie, które piekły go niemiłosiernie. Szkło z witryny okiennej, jeszcze tego rana zdobiącej wejście do kamienicy, kaleczyło mu kolana. Szary pył wokół niego znaczyła karminem stale rosnąca smuga krwi.

– Zostaw – powiedziała Agata. – Zostaw.

– Muszę ją stamtąd wydostać! – wrzasnął, nie odwróciwszy nawet wzroku w stronę akuszerki.

Pracował jak w transie. Gdy odrzucił kolejny kamień, ukazała się dłoń. Na białych palcach lśniła cieniuteńka złota obrączka.

– Neeee! – zawył. – Marynka!

Położył się na ziemi i ucałował lodowate palce. Zgromadzeni wokół ludzie przypatrywali mu się ze współczuciem.

– Wytrzymaj, kochana, jeszcze chwilkę wytrzymaj – szeptał, raz po raz składając pocałunki. – Jeszcze chwilę.

Nadgryziona pociskami ściana zachwiała się niebezpiecznie.

– Uważajcie! – wykrzyknął inżynier. – Zaraz się osunie!

Dwóch mężczyzn podniosło Piotra z ziemi i odciągnęło na bok. Chwilę później wielka ściana runęła, przykrywając kolejną warstwę gruzów ciało Marynki.

– Neeee! – wył Piotr, szamocząc się w uścisku mocnych rąk. – Nie! Błagam! Puśćcie mnie, puśćcie! Muszę ją uratować!

– Ratować trzeba żyjących, a nie umarłych – odpowiedział mu bezwzględnie mężczyzna w gaciach i podkoszulku.

Piotr zamilkł. Przestał się też poruszać, więc mężczyźni ostrożnie go puścili. Opadł na kolana. Patrzył to na mężczyznę w podkoszulku, to na rumowię

sko. W głowie miał absolutną ciszę.

Stara Agata podeszła i chciała go objąć ramieniem, pocieszyć, ale Piotr wyrwał się jej i nagle ruszył przed siebie. Biegł na oślep. Nogi same poniosły go prosto do bramy ogrodu zoologicznego. Coś w jego wzroku sprawiło, że wojskowy wartownik stojący przy bramie nie zatrzymał go i po raz pierwszy od dwóch tygodni nie zażądał przepustki.

6.

Piotr wszedł do opustoszałej willi dyrektorostwa Żabińskich. W domu zawsze pełnym głosów ludzi i zwierząt było teraz przeraźliwie cicho. Wszechobecna ciemność zdawała się jeszcze pogłębiać wrażenie pustki. Antonina wróciła już zapewne do Rysia na Kapucyńską.

Tylko on nie miał już dokąd wracać.

Minął korytarz, jadalnię i wszedł do kuchni. Wiedział, że Antonina trzymała leki za szkłem, na najwyższej półce okazałej białej serwantki. Emocje tego dnia, przeżycia, od których jego umysł konsekwentnie się odcinał, sprawiły, że czuł się chory. Miał wrażenie, że płonie od środka. Czuł, że musi natychmiast zażyć coś, co złagodziłoby ból. Przed oczami cały czas widział poszarzałą od pyłu dłoń Marynki, na której połyskiwała złota obrączka. Miał ochotę wyc jak dzikie zwierzę, wyrzucić z siebie żal, rozpacz i wściekłość, ale ból brzucha rozlewający się na wszystkie mięśnie sprawiał, że ledwo mógł oddychać. Cały ból pozostał więc wewnątrz, pałac mu trzewia. Wzrok mu się zamglił. Rzeczywistość przestała być czymś realnym, jakby jego wnętrze rozdzieliło się na dwoje. Część pozostała przy gruzach domu, przy Marynce, część gnała zaś do jedynej pozostałej przy życiu istoty spośród tych, których kochał. Jedynej, dla której teraz starał się pozostać przy życiu, choć wcale tego nie pragnął.

– Tuzinka..., Tuzinka... – mruzczał, szukając po omacku wśród fiolek i buteleczek czegoś, co mogłoby mu przynieść ulgę, ukrócić cierpienie, sprawić, że znów będzie mógł oddychać.

Nie było dyrektorostwa Żabińskich, a ktoś przecież musiał zająć się Tuzinką. Nie mógł jej zostawić samej wśród tego koszmaru. Był przy jej narodzi-

nach, kiedy omal nie umarła. Powinien być także teraz. Ta jedna myśl utrzymywała go przy zdrowych zmysłach.

– Muszę iść do Tuzinki – szeptał raz po raz jak magiczne zaklęcie. – Muszę być przy niej.

Jego dłoń odnalazła dużą, brązową butelkę, która zawierała krople Inoziemcewa.

– Zaburzenia pokarmowe, niestrawność... – przeczytał, mrużąc oczy, by zogniskować wzrok na etykiecie.

Pociągnął duży łyk, a potem jeszcze jeden. Nozdrza wypełnił mu mocno ziołowy zapach. Zakaszłał. Po chwili poczuł ciepło rozlewające się wewnątrz ciała. Zrobiło mu się jakby odrobinę lepiej. Wziął jeszcze jeden haust.

– A teraz do Tuzinki – rzekł sam do siebie i wyszedł z butelką w dłoni.

Gdy dotarł do wybiegu dla słońi, świat wirował mu przed oczami. Widział Tuzinkę, która nadal stała nad ciałem swej matki. Krew zdążyła już skrzepnąć, a na ranie w otwartym boku Kaśki próbowały siadać muchy. Tuzinka jednak odpędzała je. Ospale, bez złości, jakby mechanicznie wykonywała należący do niej obowiązek, stojąc na straży przy zwłokach matki. Na ten widok Piotr nagle poczuł, że opada z sił.

– To zbyt wiele, zbyt wiele... – powtarzał, klękając obok słońiczki i ukrywając twarz w dłoniach. – Nie wytrzymam...

Tego dnia stracił żonę, dziecko i najbliższą przyjaciółkę. Milczące cierpienie Tuzinki, apatia w jakiej pogrążyła się słońiczka, przepelniło czarę goryczy. Dopił resztę zawartości butelki. Miał wrażenie, że medykament działa kojąco nie tylko na żołądek, lecz łagodzi także ból duszy. Świat zawirował. Przed oczami mężczyzny tańczyła roześmiana Marynka ze złotymi warkoczami i Kaśka podrzucająca czerwoną piłkę ku uciesze dziesiątek, setek, tysięcy małych dzieci zgromadzonych tuż za ogrodzeniem. Korony powoli żółknących i brązowiejących drzew kręciły się coraz szybciej i szybciej, zatracając kontury. Nieboskłon zakotłosał się ponad głową Piotra. Coś szarpnęło go w dół.

Tuzinka nawet nań nie spojrzała, gdy osuwał się na piach u jej stóp. Pogrążona w żałobie nie odrywała wzroku od martwej matki.

7.

Najpierw usłyszał szum krwi w uszach. Dudniący, niepokojący dźwięk wdarł się do wnętrza jego umysłu, przywracając przytomność. Piotr ocknął się zlany potem. Mimo to było mu gorąco, straszliwie gorąco. Zdawało mu się, że jego ciało paruje, choć słyszał uderzenia deszczu o szyby. W ustach zamkniętych wysuszonymi wargami czuł smak popiołu.

– Wody... – jęknął.

Czyjaś mocna, niezbyt czysta dłoń uniosła mu głowę i przyłożyła do ust kubek. Piotr pociągnął łyk, zdążył jeszcze poczuć, jak chłodny płyn przepływa przez przelyk, po czym obrócił się na bok i gwałtownie zwymiotował. Gdy jego żołądek się opróżnił, Piotr opadł na poduszki.

– Mogłeś zginąć, głupcze – usłyszał dobrze znany głos niegdysiejszego pomocnika tresera lwów.

Piotr pierwszy raz widział go tak wzburzonego. Zwykle nieśmiały i cichy Staszek płonął teraz z wściekłości, a może po prostu tak okazywał strach. Ciemne obwódki pod oczami chłopaka wydawały się jeszcze ciemniejsze, twarz bielsza, a wargi niemal przezroczyste.

– Coś ty sobie myślał! Czytać nie umiesz? – gorączkował się chłopiec, nie bacząc na złe samopoczucie chorego. – Przecież te krople to mieszanka czystego eteru i opium! Mała łyżeczka, owszem, lecz niestrawność, ale cała butelka?! Chciałeś zrobić sobie krzywdę?

Piotr spróbował zaprzeczyć gestem, ale głowa, która wydawała mu się okropnie ciężka i obca, jakby nie należała do jego ciała, bujnęła się tylko swobodnie na boki, powodując kolejny atak mdłości.

– Leż spokojnie! – rozkazał sucho Staszek. – To by się dyrektorowa ucieszyła, gdyby się dowiedziała. Miałeś opiekować się zwierzętami, a nie doprowa-

dzać się do takiego stanu. Pomyślałeś chociaż przez chwilę, co tu się będzie działo bez ciebie? Dyrektora nie ma, dyrektorowej też, z nieba sypią się bomby, a biednymi, bezbronnymi zwierzętami nie ma się kto zająć! Mało nam tragedii? Rozum postradałeś?

– Marynka... – szepnął Piotr. – Marynka...

Gniew w oczach Staszka przygasł w jednej chwili.

– Wiem... Wczoraj była tu stara Agata. Szukała cię – wyjaśnił, zwiesiwszy głowę. – Nie mogłem cię dobudzić. Belkotałeś coś, miałeś gorączkę.

– Wczoraj?

– Przespałeś dwie doby – rzekł Staszek, po czym dodał jeszcze łagodniejszym tonem: – Piotrze... bardzo mi przykro. Tak bardzo mi przykro.

Piotr miał ochotę się roześmiać. Stracił żonę i nienarodzone dziecko, najbliższą przyjaciółkę, dom i wszystko co posiadał, zawalił się cały jego świat, a Staszekowi jest bardzo przykro. Miał ochotę wykrzyknąć mu w twarz cały swój ból, ale nie znajdował odpowiednich słów. Milczał. Jakaś część jego świadomości wiedziała, że chłopiec pojmuje ogrom tragedii, jaka spotkała Piotra, a określenie „bardzo mi przykro” oddaje jedynie niedoskonałość słów, niezdolnych opisać okrutnej rzeczywistości, która stała się ich udziałem.

– Musisz żyć – powiedział cicho Staszek. – Nie możesz zostawić nas samych. Nie możesz zostawić Tuzinki samej. Ona cię teraz potrzebuje bardziej niż kiedykolwiek.

A może to ja potrzebuję jej – pomyślał Piotr, ale nim zdążył wypowiedzieć na głos swoje przypuszczenia, zasnął.

8.

Resztę września Piotr przeżył jak w letargu. Stolica walczyła zażarcie, jakby nikt nie dostrzegał, że nie mają szans. Siedemnastego września zapłonął zbombardowany Zamek Królewski. Kwadrans po jedenastej na zawsze zatrzymały się wskazówki zegara na wieży zamkowej. Dwudziestego drugiego i dwudziestego trzeciego września przypadało Jom Kippur. Gdy żydowska ludność miasta pokutowała i płakała nad własną grzesznością, przypuszczono zmasowany atak na należące do niej sklepy, bożnice, szkoły, domy, synagogi. Warszawiacy wyznania mojżeszowego ginęli od pocisków ze słowami skruchy na ustach i łzami przebaczenia na policzkach. Od dwudziestego czwartego dnia miesiąca w stolicy nie było już prądu, światła, wody. Zamilkły prasa i radio. Brakowało żywności. Dwudziesty piąty września został obwołany lanym poniedziałkiem. Przez blisko dwanaście godzin czterysta bombowców zrzucało na Warszawę kolejne ładunki, by ostatecznie wykrwawić to irytujące miasto, które nie chciało uwierzyć w swoją przegraną.

Działania wojenne przerwano w słoneczne południe po dwudziestu siedmiu dniach zacieklej walki najnowocześniejszej i najlepiej wyszkolonej armii ówczesnego świata z nieustępliwym duchem ukochanego miasta Polaków.

Piotr spędził cały ten czas w słoniarni, z Tuzinką. Spali i jedli razem. Mężczyzna gryzł jabłko i oddawał resztę słończce. I tak zjadali worek owoców. Słyszeli dochodzące z oddali odgłosy walki, wybuchy bomb, krzyki ludzi, wycie syren, lecz tu gdzie przebywali, pachniało ciepłem, słomą i tą nieuchwytną, trudną do opisania wonią słoni dającą obojgu poczucie bezpieczeństwa.

Po pożarze, który strawił budynek zajmowany przez dozorców zwierząt i magazyn z zapasami zoo, stacjonujący na terenie ogrodu żołnierze postanowili urządzić w jednym z opustoszałych kopców dla słoni prowizoryczny skład

żywności ofiarowanej przez wojsko na potrzeby mieszkańców ogrodu. Ten jeden jedyny raz wojna wdarła się brutalnie do zamkniętego w ścianach słoniarni świata Tuzinki i Piotra.

Mężczyzna unikał towarzystwa ludzi. Nie przyjmował zaproszeń Żabińskich, którzy w ostatnich dniach września powrócili do domu. Staszek i Władek przywitali ich z ulgą i opowiedzieli, co wydarzyło się podczas ich nieobecności. Zorientowawszy się w sytuacji, Antonina zaczęła nalegać, by Piotr choć na chwilę opuścił słoniarnię, wyspał się w normalnym łóżku, zjadł ciepły posiłek, pobył w towarzystwie innych ludzi, umył się w łazience, zmienił ubranie. Jednak on konsekwentnie odrzucał wszystkie jej propozycje. Nie potrzebował niczyjej opieki, troski ani uwagi. Chciał, żeby zostawiono go w spokoju. Pragnął zniknąć ze świata ludzi kojarzącego mu się wyłącznie z cierpieniem. Teraz liczyli się już tylko oni: słoniczka, której niezrozumiała wojna zabrała rodziców, i mężczyzna, który stracił żonę i dziecko. Zjednoczeni w bólu i tęsknocie za tymi, którzy mieli już nigdy nie powrócić, przepływali ospale przez kolejne dni i noce, głusi i ślepi na wszystko, co działo się wokół nich. Byli tylko oni.

Piątego października Hitler przyjął paradę swych wojsk w Alejach Ujazdowskich. Nad Warszawą zasklepiło się stalowe niebo, zatrzasnęły się kraty niewoli. Przeminał październik i listopad. Pierwsza okupacyjna jesień dobiegała końca. Czasami wczesnym rankiem, gdy Tuzinka jeszcze spała, a działa artyleryjskie milczały, Piotr wymykał się z zoo. Szedł do ruin swego domu, by złożyć kwiatek, kłos zboża czy kolorowy liść na grobie żony i syna, a potem znów popadał w odrętwienie, zanurzał się w rzeczywistości, której jedynym celem i sensem była opieka nad pogrążoną w żalu Tuzinką.

9.

Był zimny i wietrzny listopadowy poranek. Antonina weszła cicho do słoniarni. Dłuższą chwilę patrzyła na Tuzinkę i Piotra, którzy spali wtuleni w siebie. Wysoki, postawny mężczyzna wydawał się przy słońcu tak kruchy i mały, jakby to on potrzebował jej ochrony, podczas gdy w rzeczywistości było odwrotnie. To ona była dzieckiem, a on jej najczulszym opiekunem. Pozbawiona matki słończka całą sobą przyłgnęła do Piotra. Gdy wychodził, co ku zmarwieniu Antoniny zdarzało mu się nadzwyczaj rzadko, słończka stawała w progu i nie ruszała się stamtąd, dopóki znów się nie pojawił. Nie chciała opuszczać słoniarni i wychodzić na wybieg, jeśli jej kornak nie szedł obok niej. Nie przyjmowała jedzenia ani picia od kogokolwiek innego. Zamknęli się we własnym świecie wypełnionym milczeniem i smutkiem. Antonina wiedziała o tym i dlatego to, co musiała teraz zrobić, wydawało jej się tak trudne.

Obudzili się niemal jednocześnie, jakby wyczuli, że ktoś ich obserwuje. Spojrzeli na nią dwiema parami niebieskich oczu, lekko zamglonymi snem.

– Piotrze, przyjechał Lutz Heck – bez wstępu oznajmiła Antonina, starając się, by głos jej nie zadrżał.

Piotr patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

Antonina westchnęła. Miała świadomość, że niełatwo będzie jej przekazać złe wieści Piotrowi, ale dłużej nie sposób było odkładać tej chwili. Stojąc w sinawym świetle poranka, patrząc na śpiących w nieświadomości Piotra i Tuzinkę, odniosła wrażenie, że i tak zbyt długo zwlekali z Janem z decyzją o powiedzeniu młodemu kornakowi prawdy. Liczyli, że czas zagoi rany, złagodzi ból, wyciszy rozpacz, sprawi, że łatwiej będzie mu się pogodzić z tym, co nieuniknione.

– Tylko nieuchronność przemijania zdoła go uleczyć – stwierdził smutno Jan, gdy Piotr po raz kolejny odmówił przyjęcia na obiad. – Wraz z upływem dni powróci życie. Taka jest natura człowieka, że prędzej czy później zapomina i o radościach, i o bólu, i o stracie, choćby największych.

Postanowili więc dać Piotrowi czas, by mógł dojść do siebie po przeżytej tragedii. Pozwolili mu żyć, jak chciał. Nie zasypywali go informacjami, nie dzielili się niepokojami i trudami dnia codziennego. Choć był dorosły, traktowali go tak, jak zwykle obchodzili się z chorymi zwierzętami przebywającymi w ich domu – z cierpliwością, troską i wyrozumiałością. Nie powiedzieli mu o tym, że Hitler postanowił zrobić z Warszawy prowincjonalne miasto, w związku z czym podjęto decyzję o likwidacji ogrodu zoologicznego. Nie wiedział też o zwolnieniu wszystkich pozostałych przy życiu pracowników, o problemach z zaopatrzeniem ani o tym, że Antonina zaczęła parać się handlem, by jakoś podreperować rodzinny budżet. Nie wiedział, że cała Warszawa – okaleczona, wymizierowana, poobijana, nędzna i wygłodniała – robiła, co mogła, by wspierać zoo, popękane, lecz wciąż żywe wspomnienie dawnego świata, czasów piękna i wolności.

Wreszcie nie wspomnieli mu ani słowem o pierwszej wizycie dawnego kolegi Żabińskich, dyrektora ogrodu zoologicznego w Berlinie, Lutza Hecka, wiernego syna Hitlera, obecnie wysokiego urzędnika Rzeszy do spraw przyrodniczych. Heck pofatygował się do nich osobiście, by oznajmić w słowach pełnych kurtuazji i lichy udawanego żalu, iż podjęto decyzję o konfiskacie wszystkich pozostałych przy życiu zwierząt warszawskiego zoo i przewiezieniu ich do ogrodów zoologicznych Rzeszy. Hipopotamy miały zostać przetransportowane do Norymbergi, wielbłądy do Hanoweru, samica konia Przevalskiego wraz z urodzonymi tuż przed wojną źrebiętami i resztą stada miała wzbogacić zasoby zoo w Hamburgu. Zebry, w tym głośno opisywana kilka lat wcześniej krzyżówka uznana za nowy gatunek, pojechały z żubrami do ogrodu, któremu dyktował Heck, do Berlina. Antonina, która od lat obserwowała zazdrość, jaką Lutz żywił wobec Jana, wiedziała, że to koniec.

– Zajmę się nimi – głos Lutza znów rozbrzmiał w uszach Antoniny. Gotowała przysięg, że słyszała w nich wibrujące nutki złośliwości i kpiny.

Po raz pierwszy w życiu Żabińscy poczuli się naprawdę bezradni. Nie mogli zrobić nic, by ocalić istoty, którym poświęcili bez reszty ostatnią dekadę swojego życia. Byli przy urodzeniu większości z nich. Patrzyli, jak rosną i dojrzewają. Jan był wielkim orędownikiem nowego kierunku w zoologii, uznającego za niewystarczające badanie zwierząt jedynie poprzez obserwacje, z dystansu. Głęboko przekonani o słuszności tej tezy starali się być zawsze jak najbliżej swoich podopiecznych. Ze znakomitą częścią z nich, na różnych etapach rozwoju, żyli nawet pod jednym dachem, zgodnie twierdząc, że nie jest to bynajmniej objaw szaleństwa czy dziwactwa, a jedyna możliwość, by naprawdę poznać obyczaje, zachowania, emocje i psychikę dzikich zwierząt. Teraz zaś mieli pozwolić, aby te, które ocalały z wrześniei pożogi, zostały uwieszone w nieznane – do ogrodów o innym klimacie, innej roślinności, odmiennym stopniu wilgotności, a nade wszystko otoczone obcymi ludźmi. Oboje drżeli na myśl o tym, jaki wpływ będą miały tak wielkie zmiany na ich podopiecznych. Wciąż szukali też odpowiedniej sposobności, by powiedzieć o wszystkim Piotrowi. Odkładali ten moment z dnia na dzień, na kolejne i kolejne jutro. Teraz nie mieli już wyboru. Musiał się dowiedzieć, choć dobry czas wciąż jeszcze nie nadszedł.

– A może nigdy nie ma dobrego czasu na przekazywanie złych wieści – pomyślała.

Piotr patrzył na nią obojętnie jak zwykle. Nazwisko Heck znał wyłącznie z opowieści Żabińskich o zjazdach dyrektorów i z grzbietów książek w bibliotece Jana. Toteż gdy padło teraz z ust Antoniny, nie wzbudziło w nim żadnych emocji.

– Doktor Heck zabierze dziś Tuzinkę do ogrodu zoologicznego w Królewcu – wyrzuciła z siebie Żabińska, wyjawiając Piotrowi prawdziwy cel przybycia Hecka.

Mężczyzna zamrugał, ale nic nie odpowiedział. Antonina zastanawiała się, czy dotarł do niego sens jej słów, mimo to postanowiła mówić dalej:

– Musisz nam pomóc odprowadzić ją do ciężarówki.

– Nie – uciął krótko.

Już wiedziała, że zachował jasność umysłu i zrozumiał wieści, które mu przekazała, choć nie chciał ich zaakceptować.

– Piotrze, musisz – powiedziała, starając się brzmieć stanowczo. – Nikt nie dał wyboru ani nam, ani tobie – dodała po chwili, spuściwszy wzrok.

– Nie – powtórzył głucho.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Tuzinka, która natychmiast wyczuła niepokój swojego kornaka, wstała i zrobiła się wyraźnie czujna, jakby szykowała się do ucieczki.

– Zrób to dla niej – poprosiła w końcu Antonina, patrząc na dumę i chlubę warszawiaków, dwuipółletnią Tuzinkę. – Pomóż jej przez to przejść. Twoja obecność ją uspokoi. Może będzie się mniej bała. Piotrze, oni i tak ją zabiorą.

– Mogę pojechać z nią? – spytał ledwo słyszalnym szeptem.

Antonina pokręciła głową.

– Heck zaznaczył, że do Niemiec jadą wyłącznie zwierzęta i tylko te, które zechce.

– Nie zabiera wszystkich?

– Nie, tylko najcenniejsze.

– A co z pozostałymi?

– Nie wiem... Obawiam się jednak, że nie spotka ich nic dobrego.

– Rysiczki?

– Heck powiedział, że osobiście się nimi zajmie. Zabierze je do rezerwatu w Schorfheide – głos Antoniny zadygotał, a łzy jedna po drugiej zaczęły spływać po jej policzkach, szyi, dekolcie, mieszając się z cętkami na jasnej koszuli. – Obiecał, że odda mi je całe i zdrowe... że odda wszystkie zwierzęta, że to tylko na przechowanie, taki depozyt na czas wojny. Dla ich dobra. Tu nie są bezpieczne. Ach, Piotrze, kiedy to wszystko się skończy?

Błękitne oczy Tuzinki spoglądały to na zalaną łzami twarz Antoniny, to na ściśniętą, zastygłą niczym maska twarz kornaka. Nie rozróżniając słów, pojęła sens ich nieuchronności.

Gdy po południu tego dnia nadjechały ciężarówki, które miały zabrać zwierzęta do niemieckich ogrodów zoologicznych, Tuzinka była spokojna, jak człowiek świadom, że jego los został przypieczętowany i nie ma już po co wyrażać

sprzeciwu, walczyć, buntować się. Piotr przez cały ranek siedział przy niej i szeptał wszystkie słowa miłości, jakie znał. Łamiącym się głosem opowiadał o dalekiej podróży, którą odbędzie, o krajobrazach, jakie zobaczy, nowym wspaniałym wybiegu dla słoń, gdzie zamieszka. Mówił czule i radośnie, niczym rodzic wysyłający swe dziecko pierwszy raz na letni wypoczynek za miasto. Jednak tak jak odprawiane na lotnisko dzieci, tak i Tuzinka wyraźnie wyczuwała przerażenie i smutek swojego opiekuna.

Około piętnastej do słoniarni przyszedł Jan.

– Już czas – rzekł.

Piotr nic nie odpowiedział. Skinął tylko głową i wstał z kolan. Żabiński wyszedł.

– Już czas, Tuzinko – szepnął Piotr, czule gładząc trąbę słończki. – Już czas, moja mała.

Tuzinka dmuchnęła mu w ucho ciepłym powietrzem, tak jak kiedyś, podczas ulubionej zabawy z kornakiem, robiła to jej matka. Od śmierci Kaśki ani razu nie przypomniała mu o tej zabawie. Nie wiedział nawet, że pamiętała. Zrozumiał, że tym prostym gestem mądry słoń chciał go pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze, jak kiedyś, gdy żyła Kaśka i Jasio, a zoo było najwspanialszym miejscem na ziemi, jedynym, jakie kiedykolwiek znała. Jej domem, ich domem.

Piotr przywarł do wielkiej nogi Tuzinki i długo tulił się do niej, a potem razem, w kompletnej ciszy, opuścili swój świat, oboje przeczuwając, że już nigdy doń nie powrócą.

Nie musiał jej krępować, prowadzić za kantar. Słończka szła obok niego potulna i posłuszna. Piotr wprowadził Tuzinkę na trap, a potem do wnętrza doczepionej do samochodu, specjalnie wzmocnionej budy pojazdu. Dwie pary błękitnych oczu spojrzały na siebie po raz ostatni, nim rozległo się szczekliwe: – *Raus, aussteigen!*

Na bezdechu wyrzucono go z przyczepy. Gdy żołnierz zatrzasnął klapę ciężarówki, Piotr uświadomił sobie naraz, że już nic nie ma znaczenia. Nie był smutny ani przygnębiony, nie tęsknił. Nie odczuwał już żadnych emocji ani panującego wokół chłodu, jakby nie tylko dusza, lecz i jego ciało całkiem osty-

gło. Zobojętniał na wszystko, co mogłoby go zranić, ponieważ nie miał już nic do stracenia. Patrzył za odjeżdżającą ciężarówką bez żalu. Nic nie miało już dlań znaczenia.

– To koniec – szepnęła Antonina, gdy samochody zniknęły im z pola widzenia. Jeden z nich uwoził jej ukochane rysiczki.

Odwróciła się i szybkim krokiem weszła do domu, otoczonego opustoszałym, cichym ogrodem.

Myliła się jednak. To nie był koniec. Symfonia agonii zoo, której preludium śmierć zagrała podczas obrony Warszawy, musiała mieć także równie krwawą kodę.

W sylwestra urządzono safari. Zaplanowano huczne zwieńczenie zwycięskiego roku walk nieustraszonych wojowników Hitlera – ekskluzywne polowanie na dzikie zwierzęta, zorganizowane we wspaniałej scenerii zimowego ogrodu zoologicznego, wprost stworzonej do zabawy w iście germańskie łowy. Żołnierzom, przyodzianym w płaszcze podbite skórami, rozdano strzelby i rogi zwierzęce wypełnione mocnym trunkiem. Zwyczajem pradawnych przodków czyniących to samo przed wiekami w dzikich puszczach Germanii, hitlerowcy rozpalili wielkie ogniska, których płomienie zdawały się dotykać nieba. Potem zaczęła się rzeź. Wśród śmiechów i salw radości mordowano zwierzęta ocalałe z bombardowań i wywózki. Wybrzmiały ostatnie nuty pieśni zagłady.

Kilkadziesiąt metrów od piekła, w murach niewielkiej, otynkowanej na biało modernistycznej willi, Piotr siedział przy łóżku Rysia i słuchał, jak Antonina czyta synowi o przygodach Robinsona Crusoe. Nie miał już nic do zrobienia. Nie miał dokąd pójść. Nie miał żadnych marzeń ani planów. Trwał więc w domu Żabińskich, a czas lizał niewidoczne rany jego duszy.

Przez całą sylwestrową noc zza oklejonych dyktą okien dobiegały odgłosy strzelaniny, pijackie śpiewy, okrzyki triumfu i ochryple wrzaski wściekłości. Tylko ginących zwierząt nie było słyhać. Nawet kruki i wrony zamilkły w tę noc.

W pierwszy poranek tysiąc dziewięćset czterdziestego roku na skrzącym się białym śniegu lśniły czerwone plamy krwi. Zwierzęce zwłoki żołnierze za-

brali ze sobą, by przez kolejne lata chwalić się łupem z tego nietypowego polowania. Skóry rzucone na podłogę miały mile grzać zimą stopy, a poroża zawieszane nad kominkiem napełniać germańskie serca dumą.

W warszawskim ogrodzie zoologicznym zapadła martwa cisza.

Ada

Jaskrawe światło słońca nagle wdziera mi się pod powieki. Budzę się zaskoczona i oszołomiona jasnością. Biorę głębszy wdech, by ożywić rozespiane członki. Moje ciało jest odrętwiałe. Dopiero po chwili dostrzegam, że stoję. Spoglądam w dół. Świat jest rozmazany, wszystko wokół przybliża się i oddala, jakbym jechała w wagoniku kolejki górskiej. Wiem, że gdzieś tam w dole są moje nogi, a jednak gdy na nie patrzę, wydają mi się jakieś obce, nieostre. Na kolanach mam rany. W karminowych wgłębieniach pozbawionych naskórka widać wypukłe ciemniejsze plamki. Czyżby drobne kamyczki? Skąd się tam wzięły? Nie wiem.

Nie czuję bólu, choć rany wydają się świeże. Z jednej wciąż sączy się krew. Przyglądam się gęstniejącemu strumyczkowi leniwie spływającemu po mojej nodze. W okolicy kostki wreszcie zastyga. Prostuję się, rozglądam. Wszędzie wokół mnie cisną się ludzie, żwir chrzęści pod ich stopami. Jestem na ulicy. Coś jest nie w porządku. Wciąż otumaniona snem nie potrafię dopasować fragmentów układanki, ale wyraźnie czuję niepokój innych. Sama zaczynam się bać, choć nie wiem czego. Strach przed nieznanym jest jeszcze bardziej przerażający. Nienazwana groza wsącza się w duszę o wiele silniej, paraliżuje, przenikając do głębi. Jakaś kobieta tuż obok szlocha głośno i rozpaczliwie. Jej sąsiadka klęczy i wyje, kiwając się na boki. Przyglądam się kolejnym ludziom i dostrzegam, że inni też płaczą. Nie wiem dlaczego. Czuję ich smutek, ale sama go nie odczuwam, nie pojmuję. Jest ciasno, zbyt dużo ludzi ciśnie się w wąskiej uliczce. Słońce znika za szarą chmurą, którą przywiał lodowaty wiatr. Drzę. Otulam się ramionami. Na jednym z nich są ślady zębów. Widoczne, lekko zsiniałe odciski na skórze układające się w niedużą elipsę.

Mój wzrok wędruje w górę ramienia. Spostrzegam, że mojej bluzce, brudnej i obszarpanej, brakuje kawałka rękawa. Ktoś rozszarpał tkaninę? Ugryzł mnie? Kolejne pytania bez odpowiedzi. Ciepło ramion nie wystarczy, by mnie ogrzać. Chłód, który przenika moje ciało, bierze się z wewnątrz. W okrytej cieniem uliczce zdaje się jeszcze ludniej. Mam wrażenie, że ściany kamienic zaczynają przybliżać się do siebie. Wiem, że to złudzenie, a mimo to zaczyna mi być duszno. Coraz wyraźniej czuję, że brakuje mi powietrza, ale wciąż nie

mogę się zdecydować na podjęcie jakiegoś działania, nie ruszam się z miejsca. Nie jestem pewna, w którą stronę miałabym się udać.

Zdezorientowana rozglądam się na boki. Moją uwagę przyciąga grupa ludzi krzątających się po przeciwnej stronie uliczki. Zaszklone łzami oczy wszystkich także zdają się patrzeć właśnie w tamtą stronę. W pierwszej chwili nic nie widzę. Świat w oddali jest zamglony, nieostry, stracił kontury. Czuję, jakby chciano coś przede mną ukryć. Skupiam całą siłę woli, by zogniskować wzrok. Wreszcie widzę, widzę wyraźnie. Postawny mężczyzna w ciepłym płaszczu i ocieniającej oczy czapce ozdobionej trupa czaszką wrzeszczy coś w kierunku trzech wychudzonych, bosych mężczyzn, którzy układają pod zbryzganą krwią ścianą stos z ciał. Małych ciał. Rzucają bezwładne zwłoki dzieci, jedno na drugich.

Nagle jeden z nich odwraca głowę i wymiotuje gwałtownie. Mężczyzna w płaszczu wyciąga pistolet i strzela. Oddech nieszczęśnika zamiera w połowie torsji. Pada twarzą we własne wymiociny. Tłum wstrzymuje oddech. Patrzę w martwe, jakby szklane oczy nieżyjącego, ale nie odczuwam żadnych emocji. Słyszę silnik samochodu. Zawodzenie ludzi wokół mnie zostaje przerwane głośną salwą z karabinu. Ktoś pada od razu, ktoś inny wydaje z siebie zwierzęcy skowyt bólu. Ktoś głośno się śmieje. I nagle wiem, że muszę uciekać. Wszystko inne przestaje się liczyć. O niczym już nie myślę, działa instynkt.

Biegnę przed siebie. Gdy w końcu się zatrzymuję, nie wiem, gdzie jestem. Przystaję. Oddycham chrapliwie. Pytam przechodzącą obok kobietę, jak mam wrócić, ale nagle uświadamiam sobie, że nie pamiętam dokąd. Nieznajoma obrzuca mnie stekiem wyzwisk.

– Kolejna szalona – prycha pogardliwie i odchodzi, mamrocząc do siebie. – Nie wiadomo, kogo się trzeba bardziej bać w tym przeklętym getcie, esesmanów czy wariatów.

– Getto? – pytam na głos, choć wiem, że nikt mi nie odpowie.

Kobieta zdążyła już odejść poza zasięg głosu, niby mojego, a jednak dziwnie obcego.

Stoję w miejscu, sparaliżowana brakiem świadomości celu.

– Dobrze się pani czuje? – odzywa się głęboki, męski głos.

Przede mną stoi niewysoki, zupełnie łysy człowiek. Ma szerokie ramiona, okazały, szeroki nos i dobroć w spojrzeniu lekko wyłupiastych, mocno podkrążonych oczu. Czy ja go znam? Widziałam go już kiedyś?

Kiwam głową, na znak, że wszystko jest w porządku, choć w rzeczywistości wcale nie jest.

Mężczyzna obrzuca mnie szybkim, dyskretnym spojrzeniem, ale milczy. Ja także milczę. Nie wiem, co powiedzieć. W głowie mam pustkę, ale już się nie boję, bo nieznajomy ma w sobie spokój, który udziela się i mnie.

– Proszę mi wybaczyć... – zaczyna, ale urywa nagle, gdy jego spojrzenie pada na coś na mojej głowie.

Unosi rękę, jakby chciał mnie dotknąć. Naraz zatrzymuje się w pół ruchu.

– Przepraszam, czy mogę? – pyta, a ja znów kiwam, zgadzam się.

Gdy znów opuszcza rękę, widzę na jego palcach ślady świeżej krwi.

– Nie ma czasu – mówi bardziej do siebie niż do mnie.

Mam wrażenie, że coś rozważa. Na jego czole, w przerwie pomiędzy brwiami, tworzy się głęboka bruzda. W oddali słychać uderzenia obcasów o bruk. Mężczyzna rozgląda się. Wyczuwam jego napięcie.

– Szybko – nakazuje, z pewną ulgą, jak człowiek, który już wie, co ma robić, i przystępuje do działania.

Chwyta mnie za rękę i wskakuje w światło pobliskiej bramy. Biegnę za nim, z trudem łapiąc powietrze. Czuję mdłości. Gdy jesteśmy już na drugim podwórzu niewysokiej kamienicy, mężczyzna przystaje. Otwiera ciemną, wypchaną teczkę i wyjmuje z niej sukienkę. Ładna. W groszki. Nawet się nie zastanawiam, czemu ma ją przy sobie, przyjmuję ten fakt jako coś oczywistego.

– Proszę to założyć – mówi, podając mi ubranie. Rzuca przy tym nerwowe spojrzenie w stronę bramy. – Prędko.

Odwraca się, by dać mi odrobinę prywatności. Jest dyskretny. Posłusznie zdejmuję ubranie, a raczej strzępy odzieży, które mam na sobie, i zakładam sukienkę. Materiał jest przyjemnie miękki i pachnie mydłem.

– Ładnie? – pytam wiedziona niezrozumiałym odruchem, mimo iż czuję, że sukienka jest wyraźnie za szeroka w ramionach.

Mężczyzna uśmiecha się niepewnie. Jest skrępowany.

– Musi wystarczyć – odpowiada.– Teraz zajmiemy się głową.

Gestem dłoni wskazuje przewróconą beczkę leżącą nieopodal. Siadam na niej i w tej samej chwili dostrzegam własny brzuch. Duży brzuch. Muszę lekko rozchylić uda, by mógł się na nich miękko usadowić. To brzuch utrudniał mi oddychanie. Dziwne, że dotąd go nie zauważyłam.

– Czy jestem w ciąży? – pytam głośno, chyba tylko po to, by usłyszeć te słowa.

Mężczyzna przytakuje.

A zatem będę miała dziecko. Zaskakujące. Kładę rękę na brzuchu, niby moim, a jednak jakimś obcym. Czekałam, aż coś się wydarzy, ale nie czuję nic. Nie ma we mnie żadnych macierzyńskich odruchów.

Siedzę i dotykam brzucha, zastanawiając się, czy naprawdę ktoś jest pod tą cienką zasłoną skóry. Nic się nie rusza. Czy dziecko w łonie matki nie powinno się ruszać? Tymczasem mężczyzna upina mi włosy. Jego ruchy są nieśmiałe, wyraźnie brak mu wprawy. Wydaje się także mocno zawstydzony nadmierną bliskością z obcą osobą, ale mnie ona wcale nie przeszkadza. Mam w sobie niepewność, ale i spokój. Dziwny, nienaturalny wręcz spokój. Usiłuję przywołać jakieś obrazy, cokolwiek, co pozwoliłoby mi znaleźć punkt zaczepienia w rzeczywistości. Nie udaje mi się. Wciąż widzę tylko kawałki szkła z rozbitego lustra, w których odbijają się fragmenty niezrozumiałych obrazów.

– Musimy ukryć ranę – mówi mężczyzna, zwijając mi kosmyki włosów nad czołem.

Tłumaczy, choć nie zadaje pytań. W końcu uznaje swoje dzieło za skończone. Zdejmuje z szyi bordową apaszkę i podaje mi ją.

– Proszę spróbować jakoś elegancko przykryć to wszystko.

Zawiązuję chustkę na głowie.

– Dobrze. A teraz proszę obmyć twarz, ręce i nogi, byle prędko – mówi, wskazując na niewielką pompę. – Mamy mało czasu, niedługo zamykają urzę-

dy.

Chętnie posiedziałybym jeszcze trochę, ale czuję, że nie powinnam. Mężczyzna nerwowo spogląda to na zegarek, to w światło bramy. Nic nie mówi, nie pośpiesza mnie już więcej, ale wyczuwam jego obawę. Myję się więc szybko i wycieram starym ubraniem.

Gdy wracam, jest wyraźnie zadowolony.

– Całkiem nieźle – podsumowuje zwięźle. – A teraz proszę mnie uważnie posłuchać. Musi pani pójść ze mną. Ta rana wymaga natychmiastowego oczyszczenia i zszycia. Szczególnie w pani stanie...

Odchrząkuje lekko, po czym znów mówi tym swoim niemal żołnierskim, rozkazującym tonem, uprzejmym i kategoriycznym zarazem.

– Znam kierownika żydowskiego Arbeitsamtu, urzędu pracy, niejakiego Zieglera, wielkiego miłośnika owadów. Mniejsza z tym. Nie czas teraz, by wyjaśniać okoliczności naszego poznania. Ważne jest to, że Ziegler nieświadomie udostępnił mi możliwość wychodzenia z getta bramą nieobsadzoną przez żandarmów niemieckich, esesmanów czy choćby granatowych policjantów. Jest to wyjście przeznaczone dla pracowników urzędu, ich gości i wezwanych interesantów. Budynek Arbeitsamtu mieści się na następnej przecznicy, na rogu Leszna i Żelaznej.

Słucham uważnie. Rozumiem pojedyncze słowa, choć znaczenie całości pozostaje po drugiej stronie otaczającej mnie mgły. Podoba mi się jednak ton głosu mężczyzny. Mimo pewnej surowości jest on jasny i ciepły.

– Spróbuję cię wyprowadzić, ale musisz mi zaufać i robić dokładnie to, co ci każę.

Odnotowuję, że nagle, bez uprzedzenia, bez zapytania o zgodę, zaczął zwracać się do mnie mniej formalnie. Poczucie zagrożenia najwyraźniej wzmacnia w ludziach potrzebę wspólnoty, większej bliskości, choćby komunikacyjnej.

– Jeśli popełnimy błąd, zginiemy oboje – dodaje ciszej.

Kiwam głową na znak, że rozumiem.

– Wejdziemy w bramę i dalej na dziedziniec Arbeitsamtu. Musisz się wyprostować, iść swobodnie z podniesioną głową, dużo się uśmiechać – instru-

uje, patrząc mi prosto w oczy.

Nie rozumiem, dlaczego wykonywanie tak prostych czynności budzi w nim takie napięcie. Z czym miałabym sobie nie poradzić? Z uśmiechem? Przecież to proste, dziecinnie proste. Wyczuwam grozę, ale jej nie pojmuję. Mimo to słucham dalej, na tyle uważnie, na ile pozwala mi mój otumaniony umysł.

– Gdyby ktoś nas zatrzymał, nie odzywaj się. Pozwól, że ja będę mówił. To bardzo ważne. Jeśli jednak ktoś zwróci się bezpośrednio do ciebie, pokaż to – to rzekłszy, wyciąga z kieszeni dokument i podaje mi. – I uśmiechnij się. Koniecznie, się uśmiechnij.

Czytam. Jest to przepustka na okaziciela dla pracownika Wydziału Ogrodnictwa Magistratu Warschau. Patrzą na niego pytająco, ale nie udziela mi odpowiedzi, kręci tylko przecząco głową.

– Teraz nie pora na wyjaśnienia. W razie potrzeby, pokaż i nic nie mów, zrozumiałaś?

– Tak – odpowiadam krótko.

Dobrze się czuję, gdy ten niski mężczyzna wydaje mi polecenia. Uczucie zagubienia nie jest wówczas tak silne. Podaje mi ramię.

Wchodzimy do bramy, a stamtąd idziemy na niewielki placik pokryty nierówno ułożoną kostką brukową. Wszystko jest dokładnie tak, jak mi opisał. Z otwartych, zapewne dla ochłody, okien budynku dobiegają rozmowy prowadzone po niemiecku. Nagle ktoś wybucha głośnym śmiechem. Przestraszyłam się tak bardzo, że przystaję. Nie mogę zrobić kroku. Męski śmiech brzmi w moich uszach, a ja czuję, że ogarnia mnie wewnętrzne zimno, jak wtedy w tłumie. Trzęsę się. Mam mdłości. Chcę krzyknąć, choć nie wiem czemu.

– Chodź – szepcze mężczyzna. Musiał dostrzec, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Kładzie swoją dłoń na mojej lodowatej ręce. Czuję bijące z niej ciepło. – Już blisko. Jeszcze chwilę. Wytrzymaj. Zaraz będziesz bezpieczna.

Mówi łagodnie i spokojnie, jakby przemawiał do małego dziecka. Władczy ton gdzieś znika. W jego głosie wyczuwam troskę. Podziwiam opanowanie mężczyzny. Twarz nieznanego zdobi promienny uśmiech przywdziany dla potencjalnych podglądaczy, ale w oczach dostrzegam ślady lęku. Powoli, cią-

gnąc za sobą nogi tak ciężkie, jakby zrobiono je z ołowiu, ruszam dalej. Staram się myśleć tylko o jednym kroku, kolejnym kroku, który mam wykonać.

Gdy jesteśmy przy bramie, wychodzi ku nam dozorca kamienicy.

– Uszanowanie, panie Żabiński – mówi, zdejmując czapkę.

– Dzień dobry, Michale – odpowiada mój towarzysz, muskając niedbałym, eleganckim ruchem dłoni lekko podwinięte, na modłę tyrolską, rondo homburga, który przywdział w bramie.

Robi krok naprzód, chce przejść, ale dozorca, który najwyraźniej dopiero teraz mnie zauważył, zastępuje nam drogę.

– A ta pani to... – mężczyzna teatralnie zawiesza głos i przygląda mi się podejrzliwie.

Uśmiecham się najpiękniej, jak potrafię, ale nie jestem pewna, czy wyraz mojej twarzy go przekonuje. Uśmiechu nie da się przecież udawać. Prawdziwy wychodzi ze środka człowieka, rozświecła twarz, zmiękcza rysy, udawany przeciwnie, zmienia oblicze w woskową maskę. Dozorca zdaje się to wiedzieć. Prości ludzie często mają doskonałą intuicję. Czują i widzą więcej.

– Ach, faktycznie – śmieje się mój towarzysz, pan Żabiński. Udaje, że nie dostrzega napięcia pomiędzy mną a dozorcą. – Zapomniałem. Panie Michale, to moja pracownica Krystyna Krawczuk.

– Pracownica? – dozorca podchodzi bliżej. Mam wrażenie, że słyszy bicie mojego serca. Patrzy mi głęboko w oczy. – Jak pracownica, to niech pokaże papiery.

– Panie Michale, będziemy marnować czas na formalności? – zagaduje żartobliwym tonem mój opiekun. – Ja wiem, że jest wojna, ale czy naprawdę trzeba tak podejrzliwie do ludzi podchodzić? Pan Ziegler wezwał nas...

Na dźwięk nazwiska przełożonego dozorca prostuje się i rzuca zaleknione spojrzenie w stronę bramy, jakby spodziewał się, że stanie w nich nie tylko Ziegler, ale i sam Hitler.

– Ach, herr Ziegler, oczywiście. Tak, tak, oczywiście, proszę. Przepraszam bardzo, ale sami państwo rozumieją, taka praca – mówi pospiesznie. Nie patrzy na mnie. Otwiera szlaban. – Do widzenia, panie Żabiński. Do widzenia pani.

– Do widzenia, do widzenia – odpowiada mój towarzysz i jakby chcąc podkreślić to, że nie ma nic do ukrycia, tuż za szlabanem przystaje w niedbalej pozie, wyjmując z kieszeni posrebrzaną papierośnicę i powoli, ze spokojem człowieka o czystym sumieniu, zapala.

Dozorca, który nadal ukradkiem nam się przygląda, widząc nonszalancję Żabińskiego, odchodzi wyraźnie uspokojony. Gdy tylko znika nam z pola widzenia, mój towarzysz rzuca niedopałek na bruk i zgniata butem.

– A teraz prędko w kierunku Wolskiej – szepcze, podając mi ramię. Podróż jest nużąca. Nie wiem, dokąd zmierzamy, przez co czas zdaje się rozciągać w nieskończoność. Ogarnia mnie senność. Obrazy przepływają za oknem tramwaju. Zieleń w rozkwicie. Dużo zieleni rozochoczonej pełnią lata, obficie skropionej deszczem. Patrząc na lśniące kałuże, w których woda marszczy się przy najmniejszym powiewie. Nie pamiętam, żeby padało. Turkotanie kół o szyny usypia mnie. Zapadam w krótką, niespokojną drzemkę, z której budzę się bez tchu. Otwieram oczy i biorę haust powietrza jak tonący wyłowiony z wody. Sen wypełnił się obrazami, tymi samymi, które widzę w tafli potłuczonego lustra wewnątrz mojej głowy, które mnie niepokoją, których nie rozumiem. Najgorsze są twarze. Nie znam ich. Nie wiem, kim są ludzie, którzy na mnie patrzą. Słyszę turkot kół tramwaju o szyny i szum rozmów prowadzonych przez współpasażerów, czuję zaduch panujący w wagonie. Wiem, że już nie śpię, a mimo to obraz małej, ślicznej czarnookiej dziewczynki z włosami związanymi niebieską wstążką nie chce zniknąć spod moich powiek. Tej twarzy boję się najbardziej i nie rozumiem dlaczego. Kim jest dziewczynka z niebieską wstążeczką we włosach? To pytanie nie daje mi spokoju. Potrząsam głową, by odpędzić niepokojące wizje.

– Wsiadamy – w tej samej chwili słyszę nad głową męski głos.

Żabiński. Spotkanie z nim jest jedynym klarownym i pełnym wspomnieniem, jakie mam. Posłusznie wstaję. Kręci mi się w głowie. Mężczyzna najwyraźniej dostrzega to i czym prędzej podtrzymuje mnie za ramię.

– Na świeżym powietrzu poczuje się pani lepiej.

Znów zwraca się do mnie per pani. Zatem niebezpieczeństwo minęło, a tym samym ustała nasza prowizoryczna więź. Pozorna bliskość prysła.

Idziemy długą ulicą, dalej przez most i znów chodnikiem. Mam wrażenie, że znam wiele mijanych miejsc, ale nie potrafię ich nazwać. A może to tylko złudzenie, może tak naprawdę nigdy tu nie byłam.

Znajdujemy się w jakimś dziwnym miejscu. Poczucie, że kiedyś już je widziałam, jeszcze się wzmacnia. Wyteżam myśli, ale nie potrafię przywołać żadnego konkretnego wspomnienia. Widzę mnóstwo lejów po bombach, które rozryły niegdyś zapewne piękne kwietniki i równiutkie alejki. W wielu miejscach leżą przewracane klatki z powyłamywanymi prętami, w których tańczą unoszone wiatrem pierwsze suche liście. Wokół nie ma ludzi. Szumią wielkie, stare drzewa. Świat ciemnieje. Jest późno. Po kilku schodach wchodzimy do nowoczesnego, niewysokiego budynku z oknami pozaklejanymi folią. Wewnątrz jest ciepło i przytulnie. Słychać muzykę. Pachnie kawą i... czyżby zwierzęcymi odchodami? Gdy idziemy korytarzem, o moją nogę ociera się coś miękkiego.

– Wicek! Zaczekaj! – woła biegnący z naprzeciwka chłopiec, na którego ramieniu siedzi... Czyżby... kogut?

– Mój syn, Rysio – mówi mężczyzna i uśmiecha się, patrząc za chłopcem. – I jego dwaj przyjaciele, jak widać niezbyt dobrze wychowani. Wicek, potomek znakomitych, niezwykle cennych królików francuskich, oraz Kuba, kogut przekonany, że jest papugą.

Przechodzimy przez kilka mniejszych pomieszczeń i wreszcie docieramy do jasno oświetlonego salonu. Mrużę oczy. Zbyt dużo tu światła. Czuję się nagle bardzo, bardzo zmęczona. W kącie pokoju lśni fortepian. Na nasz widok siedząca przy nim dość młoda kobieta zatrzymuje palce ponad klawiaturą. Muzyka milknie.

– Gdzie doktorowa Tenenbaum? – pyta bez przywitania. Głos jej drży, a z twarzy w jednej chwili odpływa cała krew. Kobieta wstaje.

– Następnym razem – odpowiada cicho mój towarzysz i spuszcza głowę.

Blondynka opada znów na krzesło. Jej dłonie przypadkiem uderzają w klawisze, powodując dziwnie żalospny hałas. Ona jednak chyba nawet go nie słyszy. Dłuższą chwilę wpatruje się w czarno-białe klawisze, już milczące. Oboje nic nie mówią.

– Znalazłem ją kompletnie zdezorientowaną – odzywa się wreszcie mężczyzna, a w jego głosie pobrzmiwa usprawiedliwienie. Już wiem, że zawiniłam, że w czymś mu przeszkodziłam. – Wydaje mi się, że ma zaburzenia funkcji pamięci – dodaje Żabiński.

Chyba specjalnie używa medycznego terminu, by ukryć przede mną znaczenie swoich słów. Ale ja i tak rozumiem. Jego słowa tylko potwierdzają moje przeczucia. Straciłam pamięć. Mam w głowie rozsypane elementy układanki, ale nie widzę obrazka. Nie potrafię nikogo i niczego zidentyfikować. Nie wiem, kto jest ojcem dziecka, które noszę w łonie. Nie wiem, kim jest dziewczynka z niebieską kokardką nawiedzająca mnie we śnie. Nie wiem, skąd przyszłam ani dokąd zmierzałam, jakby moje życie zaczęło się w chwili, gdy spotkałam pana Żabińskiego. A jednak nie jestem niezapisaną tablicą. Pamiętam słowa, nazwy przedmiotów, rozumiem znaczenie gestów, wiem, jak należy się zachować, wiem, jak wygląda kogut, i wiem też, że zazwyczaj zwierzęta te nie siadają na ramionach swoich właścicieli. Nie zapomniałam, jak funkcjonuje świat, zapomniałam tylko samą siebie i moją historię.

– Amnezja? – pyta kobieta. Nie jest ładna, ale czuję do niej sympatię.

– Nie jestem pewien, ale nie ma wątpliwości, że powinien ją obejrzeć lekarz. Ma brzydką ranę na głowie. Na moje oko nie obędzie się bez szycia.

– Dobrze. Poślę Piotra z prośbą o przysłanie kogoś zaufanego.

Rozmowa wydaje się zakończona.

– Puniu, ja nie mogłem, nie mogłem jej... ich tam zostawić – odzywa się ponownie Żabiński, cicho i smutno. Już wiem, że zależy mu na tej kobiecie. Jest mi przykro, że to przeze mnie sprawił jej zawód.– Po prostu nie mogłem postąpić inaczej.

Jasnowłosa kobieta powoli kiwa głową.

– To prawda, Janie, nie mogłeś – przytakuje, po czym odwraca się w moją stronę. – Jestem Antonina. Jak ci na imię?

Milczę. Dezorientacja, która chwilowo ustąpiła, gdy wykonywałam polecenia mężczyzny, powraca. Dlaczego nie potrafię odpowiedzieć na tak proste pytanie? Przecież powinnam wiedzieć, jak się nazywam.

– W getcie działały się dzisiaj straszne rzeczy. Niemcy szaleją. Akcja wysiedleńcza zdaje się pobudzać ich do jeszcze większego bestialstwa... – by ukryć zakłopotanie, mężczyzna zaczyna relacjonować blondynce wydarzenia dnia, ale nie daje mu dokończyć.

Nagle moje myśli porządkują się i jednej rzeczy jestem absolutnie pewna.

– Ada. Mam na imię Ada.

1942

1.

Wojna zdawała się nie mieć przystępu do białego, kwadratowego domku z dużymi oknami, z rozległym tarasem na piętrze i zupełnie płaskim dachem. Nieduży budynek, w którym na parterze, oprócz sieni i niewielkiego hallu, mieściła się jadalnia, gabinet biblioteczny oraz salon z kuchnią, na piętrze zaś trzy sypialnie i łazienka, skryty był wśród drzew, krzewów i kwiatów. Pod ziemią znajdowała się rozległa piwnica złożona z kilku osobnych pomieszczeń, z których część mogła służyć za schron. Jan, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, kiedy zdobył swoje pierwsze odznaczenie i doświadczenia piętnujące na całe życie, wiedział, że historia lubi się powtarzać, i chciał być pewien, że w razie wybuchu kolejnego konfliktu międzynarodowego zdoła zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie. Osobiście dopilnował, by fundamenty zostały specjalnie wzmocnione, tak że podstawy jednopiętrowej willi mogłyby udźwignąć aż pięć kondygnacji. Oczywiście nie chodziło tu o wysokość samego budynku, a o grubość ścian powstałego w podziemiach bunkra, do którego doprowadzono prąd i wodę.

W pomieszczeniu najbardziej oddalonym od przejścia do mieszkania znajdowało się wejście do tunelu. Ów podziemny korytarz, wąski i nierzucający się w oczy, prowadził aż do piwnic znajdujących się pod wolierą pobliskiej bażaniarni, teraz niestety pozbawionej ptaków.

Z daleka obraz białej willi wśród krzewów zdawał się czymś nienaturalnym, a w zestawieniu z toczącą się wokół wojną, której oznaki i tu były wyraźnie widoczne, niemal baśniowym. Oto w niegdyś tętniącym życiem, dziś wymarłym, milczącym ogrodzie zoologicznym, gdzie alejkami poprzecinany mi lejami po bombach, zamiast paw, saren i zajęcy, spacerowali teraz nie-

mieccy żołnierze pilnujący ulokowanego tu składu amunicji okolonego solidnymi zasiekami z drutu kolczastego – spośród drzew wyzierała oaza spokoju i dobra, roznosił się zapach pieczonego chleba, słychać było rozmowy, śmiech i muzykę. Zza uchylonych okien o każdej porze dnia i nocy płynęły radosne dźwięki fortepianu, które życzliwe echo roznosiło po całym ogrodzie.

W modernistycznym budynku było nieustannie gwaro i wesoło. Za dnia także nigdy nie zaciągano zasłon, toteż każdy przechodzień, życzliwy czy nie, bez względu na powód swej ciekawości, mógł swobodnie zajrzeć do wnętrza domu, by przyjrzeć się codzienności jego mieszkańców i gości, którzy codziennie odwiedzali Żabińskich, wciąż tytułowanych dyrektorstwem, choć nie mieli już czemu dyktować.

Wizyty składali członkowie rodziny, niezliczone rzesze kuzynów i kuzynek, których stopnia pokrewieństwa, o ile w ogóle takowy istniał, nie sposób było ustalić ze zbyt dużą dokładnością. W odwiedziny wpadali zaprzyjaźnieni artyści plastycy, równie wygłodniali i równie beztroscy jak przed wojną, kiedy rozkładali na trawnikach swoje sztalugi lub przysiadali na ławeczkach ze szkicownikiem i ołówkiem w dłoni, by malować dzikie zwierzęta. Na choćby krótką pogawędkę zaglądali poeci, dziennikarze, osobowości ze świata nauki, koledzy Jana z różnych uczelni i wreszcie najrozmaitsi przyjaciele domu – od byłych dostawców warzyw i owoców do zoo poczynając, na adwokatach i lekarzach kończąc.

Było też w tym domu pełno zwierząt, choć nieco mniej egzotycznych niż niegdyś. Pomędzy nogami gości biegały, w różnych konfiguracjach, oswojone i w pełni udomowione – królik, kurczak, kot, pies, piżmak i chomik. Wchodziły na stół i dopraszały się o podzielenie się z nimi co smaczniejszymi kęsami, panoszyły się po wszystkich pokojach ku wielkiemu niezadowoleniu gospodyni Pietrasi, a nawet zażywały kąpieli, który to ludzki zwyczaj szczególnie upodobał sobie piżmak, nazywany czule Szczurciem.

W willi przy Ratuszowej urządzano wieczorki karciane, pogadanki przyrodnicze, koncerty fortepianowe o nietypowych porach, gdyż wszyscy słuchacze musieli znaleźć się w domu przed godziną policyjną. Spotykano się na podwieczorkach i herbatkach, podczas których z cieniutkich porcelano-

wych filiżanek o złożonych brzegach popijano napar z suszonych poziomek lub obierek jabłek, gdyż prawdziwa herbata była w tym czasie luksusem niedostępnym przy skromnej pensji Jana, nawet zasilanej wynagrodzeniem wykładowcy uniwersyteckiego uczącego na medycynie, farmacji i zoologii oraz przez skromne opłaty za nauczanie młodzieży na tajnych kompletach i kursach przygotowujących do egzaminu dojrzałości.

Hucznie obchodzono wszelakie święta, rocznice i imieniny, kiedy serwowano iście królewskie, jak na warunki okupacyjne, dania: potrawkę z królika, pieczone kurczęta oraz pieczone z dziczyzny, pod którą to szumną nazwą skrywały się zawekowane gawrony, szpaki i wrony, do jakich z upodobaniem strzelali znudzeni niemieccy żołnierze. Żabińska z synem zbierali upolowane w ten sposób ptactwo, a następnie podawali gościom. Odpowiednio przyprawione, często myłone było z delikatnym mięsem kuropatwy czy bażanta. Wielbiono wówczas zaradność i zdolności gospodarskie Antoniny, która wszystkie te, niezasłużone jej zdaniem, komplementy przyjmowała z serdecznym uśmiechem i proponowała obecnym dokładkę.

Zawsze było tu też pod dostatkiem dobrego humoru i wielce zajmujących gawęd, szczególnie o tematyce zwierzęcej, co sprawiało, że iście niewojenny nastrój domu Żabińskich udzielał się wszystkim odwiedzającym. I nawet gdyby podejmowano ich jedynie szklanką gorącej wody i tak przybywaliby równie tłumnie i pozostawali w gościnie zawsze o wiele za długo, naruszając poważnie zasady dobrego wychowania. Ten dom przyciągał jak magnes. Chciało się w nim przebywać, odpocząć, zapomnieć. Chciało się choć przez chwilę być częścią barwnej i słonecznej rzeczywistości, tak różnej od tej, która była udziałem warszawiaków pod okupacją.

Mało kto wiedział jednak, że pod tą radosną, towarzyską, niezwykle otwartą i odsłoniętą z każdej strony powierzchnią kryje się coś jeszcze, że płynie drugi nurt życia, zakryty przed oczami wszystkich, zarówno przyjaciół, jak i wrogów.

– O tym wszystkim nie może się dowiedzieć nikt, komu nie oddałbyś własnego życia, rozumiesz? – pouczył Piotra Jan, gdy po raz pierwszy wtajemniczył go w swoją podziemną działalność.

W pierwszej chwili Piotr poczuł się przede wszystkim wyróżniony. Jan był człowiekiem zupełnie odmiennym od Antoniny. Nie miał jej wycucia ludzi i zwierząt, choć owe braki w tym drugim przypadku nadrabiał niebotyczną wiedzą. Był skryty, wymagający i chłodny w obyciu nawet dla najbliższych. Rzadko okazywał czułość żonie i synowi, rzadko obdarzał kogoś miłym słowem, nieczęsto się uśmiechał. Był zwykle zamyślony, pogrążony w rozważaniach, do których nikt nie miał dostępu. Zaufanie Jana było wielkim wyrazem uznania, toteż oczy Piotra rozbłysły, a usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– To nie zabawa, Piotrze – upomniał go natychmiast Jan i wyraz dumy w jednej sekundzie zniknął z twarzy młodzieńca. – Zrozum, to wszystko jest śmiertelnie poważne – kontynuował Żabiński. – Piętnastego października ubiegłego roku, na miesiąc przed zamknięciem bram getta, Hans Frank wydał rozporządzenie, że wszystkim, którzy ośmielą się udzielić pomocy Żydom, ukrywać ich, wspierać materialnie, pomagać w ucieczce, w jakiegokolwiek formie zaopiekować się współrodakami wyznania mojżeszowego, grozi kara śmierci. Nie więzienie, nie grzywna, nie kary cielesne, a śmierć, Piotrze. Śmierć.

Piotr skinął głową na znak, że rozumie.

– Nawet Rysio wie tylko tyle, ile jest niezbędne. Punia ma na głowie całe gospodarstwo. Wyżywienie tak wielu osób, z których większość nie ma żadnych źródeł utrzymania, nie jest prostym zadaniem. O ile na wykarmienie ukrywanych żołnierzy czy harcerzy z Szarych Szeregów znajduje się zwykle parę groszy z różnych konspiracyjnych działalności, o tyle Gości z getta musimy wykarmić sami.

– Gości z getta?! – zapytał zdumiony Piotr, wywołując uśmiech na twarzy Jana.

Młodszy z mężczyzn nie wiedział, co bardziej nim wstrząsnęło. To, że na terenie zoo, w miejscu, które znał jak własną kieszeń, gdzie mieszkał i pracował, każdego dnia przemierzając jego teren wzdłuż i wszerz, gościł ktoś, o kim nie wiedział, czy też to, że Jan się uśmiechnął.

– Widzisz, Piotrze, podstawą konspiratorstwa jest umiejętność dochowania tajemnicy przed wszystkimi, nawet przed najbliższymi – pouczył go z niekła-

maną satysfakcją Żabiński. Zdjął okulary, przetarł je chustką do nosa i podjął znów poważnym tonem: – Odkąd udało nam się zdobyć możliwość wyprowadzania ludzi z dzielnicy żydowskiej przez bramy Arbeitsamtu, Gośćmi nazywamy przybyłych z getta i inne ukrywające się osoby. A potem nadajemy im zwierzęce przydomki. Nikt się nie dziwi, gdy rozmawiamy o potrzebach szpaka czy zaopatrzeniu dla chomika. Gości pojawia się coraz więcej. Zwykle, jak dotąd, przebywają u nas krótko. Kilka dni, tydzień, tyle, ile potrzeba odpowiedniej komórce podziemia, żeby przygotować dla nich mocne papiery, załatwić pracę tym, których wygląd na to pozwala, a bezpieczniejszą kryjówkę tym z nazbyt charakterystycznymi rysami twarzy.

– Czemu nie mogą zostać tutaj, w ogrodzie? – spytał skonfundowany Piotr. – Po co ryzykować, gdzieś ich przenosić, skoro u nas jest tyle doskonałych kryjówek?

– Ogród pełni wiele funkcji. Niektóre są bardzo ważne. Nie możemy narażać pozostałych prowadzonych tu działań na dekonspirację.

Piotr nic z tego nie rozumiał, ale Jan najwyraźniej nie zamierzał mu na razie niczego więcej wyjaśniać.

– Wkrótce rozpocznie się szkoła – podjął, zmieniając temat. – Ryś będzie miał więcej zajęć, ja znów podejmę nauczanie, ktoś musi pomóc Antoninie.

Piotr natychmiast skinął głową, ale Jan chciał powiedzieć coś jeszcze.

– Wiem, że narażamy cię na niebezpieczeństwo, ale nikomu spoza rodziny nie ufam tak jak tobie, Piotrze. Jestem pewien, że udźwigniesz to niekoniecznie dobrowolne brzemie.

Od tamtej pory Piotr został wtajemniczony przez Żabińskich w podskórne funkcjonowanie domu. Z zaskoczeniem przyglądał się, jak sprytny i precyzyjny był to system. Posiadając stosowną wiedzę, wyrzucał samemu sobie wcześniejszy brak spostrzegawczości. Każdego dnia odkrywał jakiś nowy szczegół konspiracyjnej działalności prowadzonej w domu Żabińskich. Któregoś dnia odważył się spytać Jana, co znajduje się w puszkach, które dyrektor regularnie znosi do domu. Żabiński bez słowa uchylił wieczko trzymanego w ręku pojemnika.

– A, to tylko śrubki – westchnął Piotr i poczuł się zawstydzony, że się wygłupił, przekroczył granice dopatrywania się we wszystkim drugiego dna.

– W tej puszcze są śrubki, w pozostałych inne części niezbędne do stworzenia zapalnika, skonstruowania granatu lub złożenia pistoletu – odparł Jan. – Osobno wyglądają niegroźnie, ale razem są niezwykle przydatne w walce ze szkopami.

W jakiś czas potem odkrył, że w niewielkim budyneczku tuż obok domu Żabińskich, gdzie przed wojną odseparowywano zwierzęta, które przechodziły choroby zakaźne, wymagające troskliwszej opieki i izolacji, stoi ogromna beczka. Zapytana przez Piotra Antonina, ku swojemu zdziwieniu, odpowiedziała, że nie ma pojęcia, co jest w środku.

– To chyba jakiś nawóz – przypomniała sobie po chwili. – Któregoś razu student, nie pamiętam jego imienia, taki wysoki, ciemnowłosey, barczysty, przywiózł tę beczkę na taczce i powiedział, że to jakaś sztuczna pożywka do użyźnienia warzywników. Tak, tak, już pamiętam.

Piotr zdawał się usatysfakcjonowany tą odpowiedzią, ale w samej Antoninie nagle zrodziły się wątpliwości.

– Nawóz do warzywnika... – powtórzyła z namysłem. – Tylko że Jan zakazał mi go używać. Nie mogę sobie jednak przypomnieć dlaczego.

Jeszcze tego samego wieczoru Piotr zakradł się do zwierzęcej izolatki i przyświecając sobie kopczą karbidówką, zajrzał pod pokrywę. Beczka wypełniona była grudkami soli o zielonkawej barwie.

– Zabierz ogień! – krzyknął Jan, który wyrósł nagle jak spod ziemi przy boku Piotra. – To trójklorek żelaza. Jest silnie higroskopijny i nawet wilgoć z otoczenia wystarczy, by zmienił się w łatwopalną substancję. Musisz bardziej uważać, bawiąc się w szpiega.

Gdy wracali do domu, Żabiński wytłumaczył Piotrowi, że połączony z wodą proszek wlewano do panewek osi wagonowych. Najmniejsza iskra wystarczyła, by wywołać eksplozję. W ten sposób podpalano niemieckie pociągi i uszkadzano tory.

System bezpieczeństwa, stosowany w przypadku Gości i żołnierzy podziemia, był niezwykle precyzyjny. Ukrywający się nie mogli wiedzieć o sobie nawza-

jem, chyba że któryś z nich otrzymywał dobre papiery i miał na dłużej pozostać w willi. Takie sytuacje nie zdarzały się jednak często. Wyjątkiem była tu rzeźbiarka Magdalena Gross, nazywana Szpakiem, serdeczna przyjaciółka Żabińskich.

Przeważnie każda kryjówka zajmowana była przez tylko jedną osobę, w niezwykle rzadkich, awaryjnych sytuacjach przez dwie lub trzy. Gdy ktoś opuszczał kryjówkę, musiało minąć kilka tygodni, nim to miejsce zostało ponownie wykorzystane jako czyjeś schronienie.

Tylko w wyjątkowych przypadkach ktoś mógł przebywać w domu. Najczęściej były to osoby jakoś szczególnie związane z Żabińskimi, na których dyskrecji można było bezwzględnie polegać, bo choć willa wypełniona był doskonałymi skrytkami, jak choćby wielkie szafy umieszczone wewnątrz ścian, schowki czy piwnica z kilkoma osobnymi pomieszczeniami, wodą i światłem, konstrukcja domu sprawiała, że każdy dźwięk z dołu był doskonale słyszalny na górze. A w domu, zwłaszcza w ciągu dnia, pełno było ludzi nie zawsze sprawdzonych, toteż pojawiała się niebezpieczeństwo, że kogoś z mniej życzliwych czy po prostu ciekawskich, zainteresują dźwięki spod podłogi. Wówczas wszyscy mogliby znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie.

Niekiedy, gdy noce były chłodne, zostawiano otwarte wejście do tunelu, na wypadek, gdyby któryś z ukrywających się zmarzł i chciał się ogrzać w ciepłe piwnicy domu. Piwnicę należało jednak opuścić przed świtem.

Przez tunel także Jan wprowadzał do domu nowo przybyłych Gości, by nie musieć tłumaczyć, kim są, zwłaszcza pocziwej i niezwykle pracowitej gospodyni, której sami Żabińscy nie byli do końca pewni. Jako że Pietrasia spędzała całe dnie, pracując w willi i dopiero wieczorami udawała się do swojego mieszkania na Brukowej, musieli nieustannie zachowywać czujność, niczym zwierzęta zagrożone atakiem drapieżników, które z daleka potrafią wywęszyć niebezpieczeństwo.

2.

Tego sierpniowego wieczoru Piotr i Antonina przebywali w kuchni, pomagając gosposi selekcjonować, oczyszczać i segregować plody trzeciego okupacyjnego lata – owoce i warzywa wyhodowane w przydomowym ogródku, by przygotować z nich zapasy na zimę. Pochłonięci pracą nie usłyszeli szurania kół na podjeździe. Zaraz potem trzasnęły drzwiczki samochodu. Klucz zgrzytnął w zamku drzwi wejściowych. Siedzący przy stole Piotr i Antonina bacznie spojrzeli po sobie.

– Najdroższa żono, oto jestem! – usłyszeli jowialny okrzyk Jana.

Te słowa i dziwne zachowanie, zwykle nieskorego do prawienia komplementów i powściągliwego Żabińskiego, wystarczyły, by zaalarmować wszystkich domowników. Jan nie był sam. Skoro zaś ostrzegał ich od wejścia, musieli mu towarzyszyć Niemcy.

Antonina natychmiast wyszła z kuchni i pobiegła do fortepianu, po drodze wycierając ręce i rozwiązując fartuch, który następnie rzuciła za fotel w gabinecie Jana. Przechodząc obok oszklonej biblioteczki, poprawiła włosy i potarła policzki, by nieco się zaróżowiły.

Piotr tymczasem wstał, by uchylić okno. Muzyka musiała być słyszalna w każdej kryjówce.

– Duszno się nagle zrobiło, nie uważa pani, Pietrasiu?

Gospodyni machnęła nieuważnie ręką, zajęta obrzynaniem końcówek żółciutkiej fasolki szparagowej.

– Niechże Piotrek otwiera, jeśli mu gorąco, byle przeciągu nie było.

Chwilę później dom i ogród tonące w srebrzystej poświacie księżycyca napęłniły się radosnymi nutami.

– Jedźmy, jedźmy na Kretę, Heleno... – wył po francusku Jan, idąc przez przedsiónek i dalej do jadalni.

Tupot ciężkich, podkutych butów potwierdził ich przypuszczenia.

– Oho, goście idą – powiedział Piotr, jakby dopiero teraz zwrócił uwagę na fakt, że Jan przyjechał w towarzystwie.

– Toż to ja nie mam czym ich podjąć! – wykrzyknęła Pietrasia, załamując ręce.

Porzuciła fasolkę i ruszyła wstawiać wodę na herbatę. W tej samej chwili w uchylonych drzwiach do kuchni stanął Jan.

– Piotrze, skocz do piwniczki – zawołał, rzucając w stronę młodzieńca niewielki klucz. – Może znajdzie się tam jakaś przykurzona butelka, która umieli nam wieczór?

Ich oczy spotkały się. Piotr dostrzegł grozę w pozornie spokojnym spojrzeniu Żabińskiego. Zrozumiał natychmiast. W piwnicy musiał być ktoś nowy, ktoś kto nie zdążył jeszcze poznać wszystkich procedur bezpieczeństwa. Kto nie wiedział, że gdy Antonina gra fragment operetki *Piękna Helena*, należy czym prędzej wejść do tunelu, opuścić dom i skryć się w krzakach lub w wolerze bażanciarni. Skinął głową.

– Wszystko trzymam pod kluczem – zwrócił się Jan do towarzyszącego mu niemieckiego oficera, konfidencjonalnie przykładając dłoń do ust. – Nigdy nie wiadomo, komu można zaufać, zwłaszcza gdy idzie o dobry alkohol.

Niemiec zarechotał jak zarzynany wieprz. Widać było, że już wcześniej tego wieczoru zdążył uraczyć się wysokoprocentowym napojem.

– A pani, Pietrasiu, skoczy do kurek – zarządził Jan ku bezbrzeżnemu zdziwieniu gosposi. – Gardła nam wyschły, a że będziemy śpiewać, świeże żółteczko ukręcone z cukrem będzie jak znalazł. Jak wy to tam u was nazywacie, panie oficerze...

Obersturmbannführer popatrzył na towarzysza maślanym, tępowym wzrokiem.

– *Zuckerei!* – wykrzyknął Jan, jakby doznał nagłego olśnienia.

– *Zuckerei!* – powtórzył wyraźnie uradowany Niemiec. – *Goggelmoggel.*

Pietrasia pokręciła z niedowierzaniem głową i wyszła do kurnika, a Jan prowadził gościa do jadalni.

Antonina zagrała utwór do końca, po czym dołączyła do mężczyzn.

– Moja małżonka, Antonina – dopełnił prezentacji Żabiński.

– Bardzo mi przyjemnie – wydukał Niemiec łamaną polszczyzną i uklonił się dyrektorowej, a ona zmusiła się, by odpowiedzieć mu bladym uśmiechem.

– Czy to Mozart? – zagadnął oficer, chcąc zaimponować uroczej blondynce. – Tak, to musi być on. Wszędzie poznam czysto niemieckiego kompozytora.

Jako że Offenbach, którego grała, był wprawdzie Niemcem, ale wyznania mojżeszowego, kpiący uśmiech satysfakcji zadrgał na wargach Żabińskiej. Zaraz jednak się opanowała.

– Owszem, widzę, że doskonale zna się pan na muzyce – odparła spokojnie. – Wszak czyż sam Rossini nie nazwał Jacques’a Offenbacha Mozartem Champs Élysées?

Niemiec nie wyczuł czającej się w jej głosie ironii. Mile polechtany komplementem chciał coś odpowiedzieć, otworzył usta, lecz zamiast wyrazić swoją opinię, tylko głośno czknął.

Antonina odwróciła się natychmiast w stronę okna, udając, że niczego nie zauważyła, a Jan zaproponował, że oprowadzi gościa po domu i pokaże mu swoją niemieckojęzyczną biblioteczkę.

Piotr w tym czasie wyjął w pośpiechu z kredensu butelkę araku i napełnił wodą kryształową karafkę. Umieścił to wszystko na okrągłej, posrebrzanej tacy i postawił na kuchennym stole, obok cukinii, ogórków, kopru i słoików, których nie zdążyli zawekować. Był pewien, że Antonina odpowiednio załatwi sprawę. Następnie otworzył kuchenne drzwi i wszedł na schody prowadzące do piwnicy. Na wszelki wypadek zamknął za sobą drzwi od wewnątrz, żeby przypadkiem Pietrasi nie przyszło do głowy zejść do niego z jakimś zapytaniem. Niemal bezszelestnie zszedł po schodach. Wiedział, że każdy dźwięk dochodzący z piwnicy był doskonale słyszalny wewnątrz domu. Miał mało czasu i musiał być bardzo ostrożny.

Nie pomylił się. Dobrze rozeznał intencje Jana. Ktoś był w wagonowym pomieszczeniu z niezwykle szerokim parapetem, pod którym można było się skryć przed spojrzeciami z zewnątrz. Powoli, uważnie stawiając stopy, przesuwając się po kilka centymetrów wzdłuż ściany, dotarł do końca korytarza i zajrzał do środka. Światło księżyca wnikało do wnętrza przez cieniuteńkie szpary w zaciemnieniu. W sieni poświacie ujrzał ciężarną kobietę w ciemnej sukni w białe groszki. Świat zawirował mu przed oczami, a serce zadudniło mu ze strachu w piersi jak oszalałe. Oto miał przed sobą ducha swojej zmarłej żony.

– Marynka... – szepnął, czując narastające mdłości. – Marynka, to naprawdę ty?

Na dźwięk jego głosu postać drgnęła lekko i szybko się odwróciła. Jedno spojrzenie na kredowobiałe oblicze mężczyzny wystarczyło, by zjawa wciągnęła głośno powietrze i rzuciła się do ucieczki.

Z pomieszczenia było jednak tylko jedno wyjście, a w jego progu stał Piotr. Biegająca w ciemności postać wpadła na nieprzytomnego ze strachu mężczyznę. Piotr poczuł silne uderzenie, a potem dotyk ciepłego ciała. To nie był duch. Trzymał w ramionach drobniutkie ciało bez wątpienia żywej kobiety.

Ku jego zdziwieniu kobieta, zamiast odskoczyć i uciekać dalej, na chwilę zastygła w bezruchu, przyciskając ucho do jego klatki piersiowej, jakby wsłuchiwała się w dudnienie serca mężczyzny. Po chwili zadarła głowę i popatrzyła na Piotra, a potem znów wtuliła się w jego pierś.

– Wiedziałam, że przyjdiesz. Wiedziałam, że mnie odnajdziesz – szeptała. Przyciskała się do niego mocno i ufnie, jakby był od dawna oczekiwanym przyjacielem. Zdezorientowany Piotr stał bez ruchu, nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Jak to jest możliwe, że pojawiaasz się zawsze wtedy, gdy najbardziej cię potrzebuję? – zapytała i obejmując go w pasie, popatrzyła mu w oczy. – Cieszę się, że już jesteśmy razem.

Piotr nadal milczał. Wreszcie odchrząknął zakłopotany i wysunął się z objęć nieznajomej. Zaszła tu jakaś oczywista pomyłka, ale uznał, że nierozsądnie

byłoby roztrząsać jej istotę, mając nad głową niemieckiego oficera i wścibską gospodynię, która na pewno zdążyła już wrócić z kurnika.

– Może wyjdziemy na górę? – zaproponował. – Jest taki piękny wieczór. Porozmawiamy na spokojnie. Tu nie jest bezpiecznie.

Słyszał dobiegające z jadalni dźwięki patefonu. Jan przezornie włączył muzykę, ale Piotr wiedział, że i tak nic nie jest w stanie całkowicie zagłuszyć odgłosów z piwnicy. Wiedział też, że najcichszy nawet dźwięk mógł wzbudzić podejrzenia biesiadującego na górze Niemca, którego nigdy wcześniej nie widział.

Wielu dziwiło się i oburzało na fakt, że Żabińscy zapraszają do swego domu niemal wszystkich poznanych przy różnych okazjach niemieckich oficerów, urzędników i co ważniejsze osobistości. Że podejmują ich zimnymi kolacjami, kawą i likierami francuskimi lub chociażby śledzikiem i kieliszkiem wódki – wiktuałami, którymi nie częstowali swoich znajomych, zachowywaniymi specjalnie na takie okazje. Że organizują dla nich recitale fortepianowe w kameralnym gronie, rozgrywki karciane czy inne modne gry towarzyskie. Że z kurtuazją przyjmują każdego Niemca chcącego złożyć im wizytę, a doktor Żabiński nie pomija żadnej okazji, by prezentować gościom swoje zbiory biblioteczne, na które w znakomitej większości składały się niemieckojęzyczne książki.

Piotr znał jednak prawdziwą przyczynę takiego zachowania dyrektorostwa. Wiedział, że Żabińscy musieli to robić dla dobra wszystkich ukrywanych przez nich ludzi, dla dobra sprawy, której służyli.

Żandarmi niemieccy stacjonujący na terenie zoo widywali co jakiś czas ciemne samochody opatrzone swastyką, zatrzymujące się przed drzwiami wili i żywili głębokie przekonanie, że były dyrektor zoo wraz z małżonką są wielkimi przyjaciółmi Rzeszy.

Nic bardziej mylnego.

To była jedynie gra. Szalona, ryzykowna gra pozorów. Jeden fałszywy ruch, nieszczęśliwy traf, przypadkowe spojrzenie niezyczliwej osoby, chwila nieuwagi, zaniedbanie szczegółu drobniejszego niż źdźbło wiosennej trawy, nieopatrzenie wypowiedziane słowo, cięższe westchnięcie, którakolwiek z tysięcy

rzeczy, które mogły wydarzyć się w każdej sekundzie zwyczajnego domowego życia, wystarczyła, by skazać na śmierć nie tylko ukrywających się w podziemiach willi i ogrodzie Gości, lecz także Żabińskich i wszystkich ich domowników. To nie była równa gra, a szala zwycięstwa stanowczo zbyt łatwo mogła przechylić się na złą stronę.

Choć Piotr wciąż nie mógł strząsnąć z siebie dziwnego uczucia przerażenia po zobaczeniu, choćby w wyobraźni, mary zmarłej żony, musiał zebrać się w sobie i jak najszybciej wyprowadzić z domu tę kobietę. Być może pod wpływem przeżytej tragedii postradała zmysły, być może wciąż była w szoku, jednak żadna z tych okoliczności nie miała teraz dla niego znaczenia. Zamierzał zaprowadzić ją do woliery i jak najszybciej znaleźć się z powrotem między ludźmi, strząsnąć z siebie upiorne wrażenie, choćby mu przyszło do rana łuskać bób czy fasolę.

– Wyjdziemy? – powtórzył pytanie.

Dziewczyna uśmiechnęła się, skinęła głową i złapała go za rękę, jakby to było coś zupełnie zwyczajnego, nieodłączny element ich relacji, która wszak nie istniała.

– Chodźmy zatem – powiedziała wesoło, choć tak cicho, że on sam ledwie mógł rozróżnić wypowiedane przez nią słowa. Pomyślał, że przywykła do ukrywania się. – Zgłodniałam i skostniałam okropnie, siedząc cały dzień w tej wilgoci. Trochę ciepła letniego dnia dobrze mi zrobi.

Piotr uznał, że rozsądniej będzie nie protestować. Poprowadził dziewczynę korytarzami wzdłuż piwnicy, a potem z jednego z pomieszczeń wprowadził ją do tunelu wiodącego prosto do woliery w bażanciarni.

– Zostaniesz tutaj do czasu, gdy w domu znów zrobi się bezpiecznie – wyjaśnił.

– A wieczorny spacer? – spytała zawiedziona.

Piotr z trudem powstrzymał zniecierpliwienie.

– Innym razem pójdziemy – rzekł szorstko. – Dziś jest już zbyt chłodno – dodał nieco łagodniej, przypomniawszy sobie, że nie powinien jej rozdrażniać.

Z nadmiaru emocji zapomniał nawet zapalić latarkę, ale kobiecie zdawało się to nie przeszkadzać. Szła za nim w ciemnościach tak gęstych, że z trudem dostrzegali zarysy swoich ciał. Poruszała się zadziwiająco szybko i zwinnie, zważywszy na stan, w którym się znajdowała. Przez cały czas mocno ścisnęła jego dłoń.

Wreszcie znaleźli się poza obrębem willi, w dawnej bażanciarni zamieszkiwanej obecnie przez króliki. Zagrożenie minęło. Piotr odetchnął z ulgą. Nie było już usprawiedliwienia dla ich splecionych dłoni, więc delikatnie wysunął swoje palce z jej uścisku.

– Coś się stało? – zapytała natychmiast lekko urażonym tonem.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Zapomniał już, jak postępować z kobietami, zresztą po prawdzie nigdy nie miał w tej materii zbyt dużego doświadczenia.

– Uraziłam cię czymś? Zachowałam się jakoś niestosownie?

– Nie, nie – zaprzeczył natychmiast. – Tylko bardzo mi się spieszy. Proszę nie wychodzić...

– A może: nie wychodź, moja ukochana Ado? – zasugerowała, uśmiechając się miło.

Ada. Ładne imię. Pasuje do niej – pomyślał.

– Tak, tak. Zatem, droga Ado, zachowuj się cicho. Gdy w domu znów będzie bezpiecznie, ktoś po ciebie przyjdzie. Nie wolno ci się stąd ruszać. Pamiętaj, to bardzo ważne. Pod żadnym pozorem nie wychodź na zewnątrz.

– Już jest ciemno. Nikt nas nie zauważy. Może jednak moglibyśmy się przejść po ogrodzie, choć na chwilę? – spytała przymilnie.

– Mówiłaś, że jest ci zimno...

– Już nie jest – odparła prędko. – Rozgrzałam się w tunelu.

Piotr pokręcił głową.

– Dziś to zbyt niebezpieczne. W willi są Niemcy, nie możemy ryzykować.

– To co mam robić sama w tych ciemnościach pachnących słomą i króliczymi odchodami? – zapytała wyraźnie naburmuszona.

– Najlepiej będzie, jak położy się pani, to znaczy... jak położysz się spać, Ado – powiedział i sięgnął po leżący za stertą narzędzi koc. – Króliki nie po-

winni ci przeszkadzać. Możesz sobie wziąć jednego do przytulenia, są niezwykle miłe w dotyku i grzeją.

Dziewczyna ziewnęła.

– Może ta drzemka to rzeczywiście dobry pomysł – stwierdziła, układając się na prowizorycznym posłaniu.

Piotr skinął głową i już chciał wychodzić, gdy dziewczyna zatrzymała go.

– Nie pocałujesz mnie na dobranoc? – zapytała, jakby jej prośba była czymś najzwyczajniejszym w świecie.

Czuł, że się czerwieni, i z ulgą pomyślał, że w panujących w bażanciarni ciemnościach dziewczyna nie może dojrzeć jego twarzy. Nie wiedział, co ma zrobić z jej prośbą. Myśli pędziły mu przez głowę. Brała go za kogoś innego, to pewne. Jeśli jednak była niezdrowa na umyśle, odmowa mogłaby spowodować jakiś atak hysterii, a wówczas kto wie, jak by się zachowała, jakich szkód by narobiła. Już raz zdarzył się podobny wypadek, gdy chora umysłowo żona żydowskiego adwokata w napadzie szału postanowiła wyskoczyć z okna na piętrze willi, wykorzystując okazję, że Antonina zabrała ją do domu na farbowanie włosów. Wówczas ocalił ich jedynie szczęśliwy przypadek. Dziś, gdy w gościnie przebywał niemiecki oficer, nie można było liczyć na korzystny zbieg okoliczności. Prościej i bezpieczniej było spełnić prośbę kobiety.

Nachylił się więc i zawstydzony musnął ustami jej włosy, po czym wyprostował się prędko, jakby ów dotyk co najmniej go sparzył. Dziewczyna mruknięła zadowolona, a delikatny uśmiech wyrzeźbił urocze dołeczki na jej policzkach.

– A jutro pójdziemy na spacer – wyszeptała jeszcze, nim zapadła w sen.

3.

Gdy niemiecki oficer opuścił wreszcie willę, Żabiński opowiedział Piotrowi historię ciężarnej dziewczyny z amnezją, którą wczoraj wyprowadził z getta.

– Wydaje mi się, że jest niewiele od ciebie starsza. Może od czasu do czasu zszedłbyś dotrzymać jej towarzystwa? – zasugerowała Antonina.

Piotr, z początku niechętny, wkrótce stwierdził, że choć nowo przybyła rzeczywiście nie pamięta niczego ze swojej przeszłości, dokonuje niezwykle celnych obserwacji, ciekawie opowiada o najprostszych rzeczach, a nade wszystko – pięknie rysuje. Musiał jedynie znacznie ograniczać czas wizyt i unikać tematów osobistych, ponieważ dziewczyna nabrała przekonania, że Piotr jest jej mężem.

Pewnego wieczoru, gdy przyniósł jej kolację, zastał Adę szkicującą.

– Pani Antonina przyniosła mi nowe ołówki – odpowiedziała z uśmiechem na jego niezadane pytanie. Często się jej to zdarzało, zupełnie jakby miała jakiś dar.

Gdy po skończonej wizycie zbierał się do wyjścia zwykle zatrzymywała go w progu, pytając:

– A czy jutro pójdziemy na spacer? – Po czym upominała się o pocałunek.

Z każdym dniem obowiązek ten sprawiał Piotrowi coraz więcej przyjemności, choć nie był jeszcze gotowy się do tego przyznać, nawet przed samym sobą. Z każdym dniem też coraz trudniej przychodziło mu myślenie o tym, że powinien wyjaśnić dziewczynie zaistniałą pomyłkę. Ponieważ wciąż nie potrafił dobrać odpowiednich słów, odkładał tę chwilę z dnia na dzień.

Kilka dni po przybyciu do domu Żabińskich Ada nie bez trudu urodziła dziecko.

Szczęśliwym zrzędzeniem losu poprzedniego ranka Pietrasia wyjechała na kilka dni na wieś do rodziny. Obiecała przywieźć bezcenne tłuszcze i mięso. Antonina, korzystając z jej nieobecności, zarządziła, by tymczasem położyć Adę w nieużywanym pokoju gościnnym na piętrze, by mogła choć przez kilka dni po porodzie dojść do siebie w bardziej komfortowych warunkach niż jej schronienie w piwnicy.

– Zanim Pietrasia wróci, zdążymy zdobyć niezbędne dokumenty. Wtenczas będziemy mogli przedstawić jej Adę jako daleką kuzynkę Jana, która przyjechała w odwiedziny, ale niespodziewanie przedwcześnie powiła i musi teraz zostać u nas na dłużej z oczywistych względów zdrowotnych – Antonina przedstawiła domownikom swój plan, który zdawał się przemyślany w najdrobniejszym szczególe. – Takie postawienie sprawy nie powinno budzić żadnych podejrzeń.

Wszyscy uznali ten pomysł za wyjątkowo udany.

Pojawienie się niemowlęcia w domu ożywiło i napełniło nową nadzieją wszystkich jego mieszkańców. Chłopczyk, który z trudem przeżył własne narodziny, okazał się pogodnym i spokojnym dzieckiem. Dużo spał, a gdy akurat nie jadł lub nie drzemał, rozglądał się z zaciekawieniem wokoło. Wówczas na jego twarzy odmalowywał się bezbrzeżny zachwyty, cechujący niewinne istoty, które nie zdążyły jeszcze poznać trudów ani zła tego świata.

4.

Piotr zastukał cicho i nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę. Pchnął drzwi do pokoju wypełnionego słodkawym zapachem snu, otaczającym zwykle matki i ich nowo narodzone dzieci. Ada spała na wąskim łóżku, z małym zawiniątkiem ułożonym pod pachą. Podeszedł do nich i ostrożnie, by nie zbudzić śpiących, przysiadł na brzegu łóżka. Przyglądał się twarzy kobiety. Malujący się na jej obliczu sen jeszcze bardziej podkreślał nieregularność rysów. Nie była ładna.

Zastanawiał się, co zatem sprawia, że musi ją ciągle widywać. Bo tak właśnie było. Wykorzystywał każdą okazję, żeby znaleźć się w pobliżu tej dziwnej kobiety. Gdy kilka dni wcześniej rodziła i pojawiły się komplikacje, to Piotr, mimo godziny policyjnej, wybiegł poza teren zoo, narażając się na poważne niebezpieczeństwo, by przyprowadzić do rodzącej akuszerkę. To on nosił gorącą wodę do piwnicy i wynosił wiadra pełne krwi. To on przygotował naprędcę gruby fragment skóry ze starego siodła, by mogła je zagryzać podczas skurczów, żeby nie krzyczeć. Nie potrafił zrozumieć, czemu to robił. Nie miał żadnego celu. Niezauważenie zrodziła się w nim niejasna potrzeba usuwania przeszkód na drodze dziewczyny, której odebrano wszystko, nawet ostatnią siłę i ostatnie pocieszenie więźniów, starców, chorych i umierających, czyli wspomnienia. Zostały tylko dwa życia, oba osadzone w terażniejszości, czujnie spoglądające w przyszłość, jedno i drugie bez bagażu tego, co minęło. Matki, która go utraciła, i syna, który nie zdążył go jeszcze zgromadzić. A on sam czuł, nie rozumiejąc, czemu tak jest, że musi się nimi zaopiekować.

Zielonkawy kosmyk opadał na twarz kobiety. Eksperymenty Antoniny z farbowaniem włosów Gości przynosiły niekiedy doprawdy zaskakujące rezultaty. Włosy Ady miały zostać ufarbowane na blond, tymczasem mimo kil-

kakrotnych prób ich kolor z czekoladowego, prawie czarnego, zmienił się w zielonkawy. Antonina zapowiedziała, że za kilka dni spróbują znowu, po czym przyniosła Adzie chusteczkę, by mogła przykryć włosy barwy pleśni.

Zdjęty dziwnym rozczeniem Piotr wyciągnął rękę, by odgarnąć kosmyk z policzka Ady. Nie zdążył, gdyż w tej samej chwili dziewczyna otworzyła oczy. Speszony cofnął dłoń.

– To ty – powiedziała cicho, a w jej spojrzeniu nieśmiała radość natychmiast zastąpiła zwierzęcą czujność samicy broniącej młodych. Uśmiechnęła się przyjaźnie, jak nie uśmiechała się do nikogo innego, nawet do Antoniny. Piotr znów poczuł się niezręcznie, jakby kradł uśmiech przeznaczony dla kogoś innego, świadom, że Ada bierze go za kogoś, kim nie jest.

– Dopiero się poznaliśmy, prawda? – spytała, jakby znów odgadła jego myśli. – Tamtego wieczoru, gdy wyprowadziłeś mnie z domu do bażanciarни, widzieliśmy się po raz pierwszy, tak?

Zszokowany spojrzał jej w oczy. A zatem wiedziała! Nim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, Ada znów się odezwała:

– Nie jesteś też moim mężem ani ojcem Franka?

Po chwili wahania pokręcił przecząco głową. Choć wmawiał sobie, że oczekuje okazji, by wyznać wszystko, czeka na dzień, gdy ujawni dziewczynie prawdę, teraz ulga mieszała się w jego sercu z dziwnym żalem. Zaczął się bać, że teraz Ada odsunie go od siebie, że będzie miała żal, poczuje się oszukana, wykorzystana. Wątpliwości kłębiły się w głowie Piotra, ale myśli Ady zdawały się krążyć gdzie indziej.

– A czy wiesz o mnie cokolwiek? Wiesz, kto jest moim mężem? Czy on... czy on w ogóle żyje? A może ja wcale nie mam męża? Może nigdy go nie miałam?

Piotr zastanowił się przez chwilę, ale nie zdołał znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. Ada jednak najwyraźniej jej nie oczekiwała. Spojrzała Piotrowi prosto w oczy.

– Dlaczego tu przychodzisz? – zadała kolejne pytanie, jakby nowa myśl wpadła jej do głowy, wymazując poprzednie rozważania. – Dlaczego się nami opiekujesz?

Piotr nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiał. Może chodziło o odkupienie win? Czasem miał wrażenie, że Bóg zesłał mu Adę i jej dziecko, by mógł naprawić zaniedbania, jakich dopuścił się wobec Marynki. Nie było dnia, w którym nie zadawałby sobie pytania, czy zdążyłby ją uratować, gdyby – zamiast opiekować się pogrążoną w żałobie Tuzinką – wcześniej wrócił do domu? Czy zdołałby wyprowadzić żonę z kamienicy? Osłonić ją? Zrobić cokolwiek, by żyła?

Zanim pojawiła się Ada, często zapętleł się w tych rozmyślaniach tak bardzo, że doprowadzały go na skraj rozpacz. Czuł, że nie zasługuje na to, aby żyć, że nie jest godzien nawet powietrza, którym oddychał. Często myślał o sobie jak o złodzieju. Przecież powinien być wtedy z Marynką i dzieckiem, uratować ich albo zginąć razem z nimi. Powinien tam być. Powinien był zginąć. A jednak z niezrozumiałych przyczyn jego życie zostało wykradzione śmierci.

Czasem, gdy patrzył na Adę, kobietę bez przeszłości, i jej dziecko, nie mógł powstrzymać myśli, że została mu dana druga szansa.

– Niczego nie pamiętam – wyznała. – Albo nie, to nieprawda, pamiętam świat. Trudno to wytłumaczyć. Gdy czuję zapach gotującej się kawy, wiem, że to kawa. Potrafię nawet przywołać jej smak. A jednak nie mogę odtworzyć żadnej wizyty w kawiarni czy porannego śniadania, podczas których ja sama piłabym kawę.

Piotr skinął głową, by dać jej znak, że rozumie.

– To nie do zniesienia – kontynuowała Ada. – Zdaje mi się czasem, że moja pamięć przypomina kredens z dziesiątkami szufladek, z których ktoś powyrzucał zawartość. Do rozbitych skorup filizanek przyczepiają się strzępy papieru, kawałki rozszarpanych tkanin, odpryski kryształowych wazonów, ochłapy jedzenia. Wszystko to miesza się ze sobą, tworząc niezrozumiałą całość. Widzę fragment, ale nie potrafię zrozumieć całości. Jestem, ale nie wiem kim. Człowiek bez przeszłości niby jest, ale jakby go nie było. Nie mam wspomnień. Nie pamiętam nawet imienia swojej matki. Wiem, że Jan wyprowadził mnie z getta. Skoro tam byłam, pewnie jestem Żydówką, ale ten fakt nadal niczego mi nie wyjaśnia – tłumaczyła gorączkowo. – Nawet nie wiesz, jak trud-

no jest widzieć niewyraźnie samego siebie. Jestem potłuczonym lustrem, które odbija rzeczywistość, ale nie sposób się w nim przejrzeć, nie ma jak dojrzeć odbicia własnej twarzy. To przerażające przebywać cały czas z kimś, o kim nic się nie wie.

– Potrafisz rysować – podpowiedział Piotr, tknięty nagłą myślą.

Ada uśmiechnęła się słabo.

– Moja ręka potrafi. Powtarzam nieświadomie jakieś wyuczone dawniej ruchy, ale nie wiem, kto, gdzie i po co mnie ich nauczył. Rysuję, ale nie czuję niczego wzniosłego. Nie przynosi mi to ulgi ani radości. Rysuję, żeby zabić czas. Rysuję, bo zajęcie czymś rąk pozwala mi nie myśleć, nie pogrążyć się w setkach pytań mnożących się w mojej głowie. Wodzenie węglem czy ołówkiem po papierze uspokaja mnie, choć ssania w duszy nie koi. To wszystko.

– A próbowałaś narysować samą siebie? – zasugerował Piotr.

Kobieta spojrzała na niego zdziwiona, ale nic nie powiedziała.

– Wiem, to pewnie niemądre, ale może i w tym przypadku twoja ręka zapamiętała coś więcej, mogłaby ci coś podpowiedzieć?

Ada przyglądała mu się spod rzęs i zastanawiała się, skąd w ogóle przyszło mu do głowy pytanie o coś, co ona sama trzymała w sekrecie, uważając za wielce osobliwe, skrywała przed innymi, by nie być posądzona o dziwactwo.

– Narysowałam – wyznała w końcu. – Ale nie odnalazłam w tym rysunku samej siebie. Widziałam po prostu szkic kobiecej twarzy. Brzydkiej kobiecej twarzy.

– Może mógłbym zobaczyć? – poprosił Piotr, udając, że nie słyszy słów samokrytyki.

Policzki Ady spurpurowiały. Zawahała się. Spojrzała znów na Piotra i odwróciła się, by spod sterty papierów leżących na szafce nocnej przy jej poślaniu wyciągnąć niewielki rysunek. Przypatrywała mu się intensywnie, lecz po chwili z głębokim westchnieniem wypuściła kartkę z rąk. Delikatny powiew jesiennego wiatru wpadł przez uchylone okno. Niechciany rysunek opadał powoli, niesiony chłodnym podmuchem, aż zatrzymał się u stóp Piotra.

– Mogę? – spytał, schylając się, by podnieść kartkę.

Ada skinęła głową, ale nie patrzyła na niego. Nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy, gdy spojrzy na rysunek.

– Ja widzę raczej twarz smutnej kobiety – rzekł cicho po chwili.

– Smutek jest świadectwem przeżytych historii. Nikt nie rodzi się smutny. Bez pamięci nie ma się prawa do smutku. Ani do radości...

– ...bo bez smutku nie ma radości – wszedł jej w słowo Piotr w głębokim zamyśleniu wpatrujący się w naszkicowany naprędce portret. – Ta teoria wydaje się spójna, ale tuż obok ciebie leży jej zaprzeczenie. Spójrz na Franka.

Ada uśmiechnęła się.

– Wiesz, czasem, gdy na niego patrzę, mam wrażenie, jakbyśmy narodzili się dla świata niemal jednocześnie. Jakbyśmy nagle, nieoczekiwani przez nikogo, zostali wetknięci w toczącą się już historię...

Mojego życia – dopowiedział w myślach Piotr i dyskretnie schował kartkę do kieszeni marynarki.

5.

Za oknem prószył śnieg. Drobne jak kaszka manna płateczki migotały w powietrzu w świetle księżycy, by po chwili opaść na płaski dach willi dyrektorostwa Żabińskich, przykrywając ten przyjazny dom puszystą, miękką zimową kołderką. Wszyscy domownicy siedzieli razem przy rozpalonej kuchni. Za szybką z miki czerwienił się ogień. Zniesiono koce i kołdry, a każdy wdział na plecy wszystkie cieplejsze części garderoby, jakimi dysponował. Od kilku dni zmagali się z poważnym problemem. Czwarta okupacyjna zima była bardzo mroźna, a im brakowało opału do ogrzania większości domu i co gorsza, nie było funduszy na jego zakup.

Wiosną kończącego się właśnie roku, gdy cały świat zdawał się pogodzony z myślą, że Polska znów zniknęła z mapy zmieciona hitlerowską nawałnicą, której nikt nie mógł zatrzymać, nad opustoszałym ogrodem zoologicznym i jego mieszkańcami zawisła groźba likwidacji. Wyposażenie jeszcze do niedawna najnowocześniejszego zoo w Europie miało zostać przeniesione do Poznania, by posłużyć tamtejszej niemieckiej placówce. SA-Oberführer Ludwig Leist, który od objęcia w roku czterdziestym funkcji starosty Warszawy zdążył się już mocno zaangażować w powierzoną mu rolę – do tego stopnia, że czuł się niemal panem, właścicielem i ojcem miasta – decyzję tę odebrał bardzo osobiście. Uznał próbę pozbawienia Warszawy nadziei na odrodzenie ogrodu zoologicznego, za poważny krok ku umniejszeniu roli miasta, a co za tym idzie, ku niewątpliwej utracie wpływów jego zarządcy, co potraktował jako osobistą zniewagę. Postanowił zatem podjąć działania mające na celu zapobieżenie urzeczywistnienia owych planów.

Zaraz następnego dnia wezwał do siebie Żabińskiego i nakazał mu przygotować szczegółowy projekt odbudowy warszawskiego zoo wraz z kosztorysem

niezbędnych inwestycji. Jan stał niemal ogłuszony tą tyleż niecodzienną, co niespodziewaną propozycją. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak usłyszeć znów śpiew ptaków w wolierach, wyremontować baseny, wypełnić je wodą i wpuścić tam wesołe foki. Chciał słyszeć tętent kopyt na wybiegach, ryk drapieżników w klatkach, obserwować figle człekokształtnych w małpiarni. A nade wszystko marzył o tym, by móc powrócić do poważnej pracy naukowej. Prowadzić badania i obserwacje zoologiczne, krzyżować i rozmnażać zwierzęta, ratować ginące gatunki. Był pasjonatem, badaczem, naukowcem, zoologiem z zamiłowania, duszącym się od trzech lat. Był typem człowieka, któremu niedostatek, zimno czy inne niedogodności doskwierają mniej niż niemożność wykonywania pracy, którą się kocha i której głęboki sens i celowość odczuwa się całym sobą.

Nic więc dziwnego, że prośba Leista sprawiła, iż w pierwszej chwili serce podskoczyło mu do gardła z radości. Nie odpowiedział jednak od razu. Obiecał tylko przemyśleć sprawę, pożegnał się z dystansem i wyszedł. Gdy wracał na Ratuszową, przed oczami widział już odbudowany ogród. Nie liczył na wiele. Stan posiadanej menażerii na początku z pewnością nie byłby znaczący i zapewne niezbyt ciekawy, ale dzięki pomocy wykwalifikowanych pracowników, z których znakomita większość wciąż przebywała w mieście, z pewnością udałoby się szybko rozwinąć inwentarz. Wystarczy spojrzeć, jak świetnie poradzili sobie na początku okupacji z rozmnażaniem tuczników w utworzonej na terenie zoo świniarni, nim przez głupotę i zaniedbanie nowych władz żywiec nie pomarł na czerwonkę.

Zanim jednak dotarł na Ratuszową, wiedział już, że będzie musiał odrzucić propozycję Leista. W okupowanej Warszawie ogród, taki, jakim pragnąłby go widzieć Jan, zgodny z zasadami współczesnej zoologii, nie miał racji bytu.

Obecnie w mieście osiągnięta została pewna, niewielka stabilizacja, ale stan taki nie mógł trwać zbyt długo. Zwłaszcza młodzi, z którymi Jan często się spotykał podczas tajnych zajęć uniwersyteckich, ludzie, którzy urodzili się w wolnej Polsce, nie byli w stanie nawet próbować pogodzić się z zaistniałą sytuacją. Wrzała w nich krew, a pogarszająca się sytuacja zaopatrzeniowa i wielka akcja likwidacyjna warszawskiego getta, tylko jeszcze bardziej ich

rozjuszala. Jedyne autorytet profesorów, zastępowych czy dowódców powstrzymywał ich przed rzuceniem się na Niemców tak, jak stali – bez broni, z gołymi pięściami. Ci ludzie kochali Polskę, pragnęli widzieć ją wolną za wszelką cenę. Jan, wychowywany od dziecka w duchu patriotycznym, w czasie tych ostatnich lat ani razu nie stracił wiary w to, że pewnego dnia okupacja się skończy, stalowe chmury rozproszą się i znów rozbłyśnie słońce nad Najjaśniejszą Rzeczpospolitą. Pragnął i musiał w to wierzyć. Gdyby nie ta myśl, już dawno popełniłby samobójstwo.

Skoro jednak Warszawę znów miały czekać walki, bombardowania, pożary, kolejne zniszczenia, nie mógł pozwolić na odbudowę zoo. Podejrzewał również, że niezłomni warszawiacy, z żelazną konsekwencją bojkotujący wszelkie inicjatywy niemieckie, nie przekroczą także bramy przy Ratuszowej. Zoo miało być wszak darem Leista, prezentem wspaniałomyślnie ofiarowanym z tego, co uprzednio zostało Warszawie odebrane. Nie wolno też było zapominać, że sam darczyńca, Leist, starszy od Żabińskiego o niecałe sześć lat, jakkolwiek uznawany za nieszkodliwego, był mimo wszystko nieodrodnym synem III Rzeszy, wiernym wyznawcą Hitlera, a z kimś takim nie należało się układać nigdy, nawet gdy stawką było ukojenie najgłębszej tęsknoty serca. Prosząc Leista o cokolwiek, będąc zdany na jego łaskę, Jan czułby się splamiony, brudny, jakby współpracował z wrogiem.

A z pewnością nadszedłby dzień, w którym musiałby prosić. Sytuacja zaopatrzeniowa Warszawy była bardzo trudna. Racje żywieniowe ustalono tak, by nie zaspokajały głodu. Za przydziałowe kartki można było dostać gliniasty, kwaskowaty, kruszący się chleb, szumnie nazywany przez Niemców razowcem, choć Janowi bardziej trafne wydawało się określenie jednego z przyjezdnych Gości ich domu. Miał dobre papiery. Mógł zasiąść z nimi do stołu. Z zaopatrzeniem i pieniędzmi, szczególnie zimą, było ciężko, przepraszała więc, że podejmują go tak skromnie. Poczęstunek składał się tylko z talerza zupy i właśnie kartkowego razowca.

– Razowiec? To ma być razowiec? – zaśmiał się serdecznie Gość, rozpryskując wokół okruszki chleba. – W naszych stronach nazywamy go „dźwiękowcem”.

– Dźwiękowcem? – spytała grzecznie Antonina, czego wkrótce miała pożłować.

– Dźwiękowcem – przytaknął. – Bo jak się go człowiek naje, to dupskiem dźwięki wydaje – pospieszył z wyjaśnieniami i wybuchnął rubasznym śmiechem, a siedzące przy stole niewiasty zarumieniły się i spuściły wzrok.

Poza czarnym chlebem i ziemniakami, była też margaryna, która bardziej przypominała wosk świecy niż tłuszcz oraz marmolada wątpliwej jakości i składu, raz wodnista, innym razem tak twarda, że nawet nożem nie można jej było pokrajać. Racje mąki, cukru, kawy zbożowej czy jajek były wręcz śmieszne. Ludzie mieli być głodni, tak by brakowało im sił na cokolwiek poza pracą, a zwłaszcza na bunt przeciwko władzy. Na dodatkowe zaopatrzenie mogli liczyć tylko pracownicy instytucji, fabryk czy urzędów strategicznych z punktu widzenia okupanta. Pozostali musieli sobie radzić sami. I radzili. Każdy wolny skrawek ziemi zajmowały przydomowe ogródki. Uprawy prowadzono też w skrzynkach na parapetach okien i na balkonach. Od wiosny czterdziestego pierwszego roku na żyznych glebach i lessach nawiezionych przed wojną na teren zoo z różnych zakątków świata, warszawiacy zakładali ogródki działkowe. Hodowano kapustę, dynie, marchew, fasolę, a przede wszystkim ziemniaki.

Rozwijał się szmugiel, choć groziła zań kara śmierci, a gospodynie domowe dokonywały istnych cudów, by nakarmić rodziny smacznie i pożywnie, dostarczając możliwie najwięcej witamin. Z pomocą przychodziły im broszury wydawane w podziemnych drukarniach, na przykład *100 potraw z ziemniaków* czy *60 potraw z kapusty*. Najgorzej było w getcie. Tam ludzie nie mieli niczego. Przed wielką akcją wysiedleńczą matki nie zgłaszały nawet śmierci dzieci, gdyż to oznaczałoby pozbawienie rodziny tej nikłej ilości jada przysługującej na osobę. Niezgłoszonego zmarłego nie można było pochować. Nie grzebano zmarłych, by ocalić żyjących.

Nie był to czas ani dla ludzi, ani tym bardziej dla zwierząt, które nie potrafiłyby same zatroszczyć się o siebie. Gdyby nadszedł głód, Żabiński stanąłby przed wyborem – albo zebrać u Niemców o jedzenie dla zwierząt, albo patrzeć, jak umierają z brzuchami wzdętymi z głodu. I jak mógłby karmić zwie-

rzęta, wiedząc, że za ogrodzeniem zoo z wycieńczenia umierają ludzie. Nie, nie mógł tego zrobić.

– Kiedyś, gdy znów nadejdą dni wolności... – powiedział cicho Jan, zamykając drzwiczki jednej z klatek otwarte przez silny podmuch wiatru. Nienaolione zawiasy jęknęły żałośnie.

Dwa dni później na biurko Leista trafił niezwykle entuzjastyczny w treści raport przygotowany przez Jana. Z każdą minutą lektury SA-Oberführer coraz bardziej zapadał się w swój skórzany fotel. Gdy zobaczył kosztorys, jego zapal zgasł całkowicie. Pieniądze, które były potrzebne na – jak to określił Żabiński – najpilniejsze prace remontowe i inwestycje, przerosły wszelkie oczekiwania Leista. Westchnął ciężko, zamknął teczkę i włożył ją do jednej z licznych szuflad swojego masywnego biurka. Mimo to nikt nigdy więcej nie wspominał już o rozbieraniu majątku dawnego warszawskiego zoo ani o wysiedlaniu jego byłego dyrektora wraz z rodziną. Dom dyrektorostwa Żabińskich pozostał więc nadal cichą oazą, bezpieczną przystanią wśród wojennej zawiei.

Problemem stało się jednak utrzymanie domu. Pensja Jana była głodowa. Dzięki interwencji komisarycznego burmistrza Warszawy Juliana Kulskiego, zatrudniono go w Muzeum Pedagogicznym przy ulicy Jezuickiej. Praca w tym spokojnym, nikomu niepotrzebnym w tym czasie miejscu, była dla Jana błogosławieństwem. Miał dobre papiery urzędnicze, a jednocześnie mógł całą swoją energię przeznaczać na działalność konspiracyjną i angażowanie się w tajne nauczanie. O ile jednak czasem któryś z uczniów przyniósł Janowi coś do jedzenia, o tyle z opalem było już ciężiej. Dyrektorostwo Żabińscy, mając na utrzymaniu kilkanaście osób, nie dysponowali środkami wystarczającymi na wykupienie przydziału węgla dla domu w zoo.

Woda zamarzała w rurach, okna parowały, a na framugach od strony niektórych pokoi pojawiały się lodowe zacieki. Większość okien była pozbawiona szyb. Deski, papiery i kartony, którymi usiłowano je jakoś uszczelnić, spełniały swoje zadanie w minimalnym zakresie. W wietrzne i mroźne noce lodowaty wiatr wdierał się przez te marne zabezpieczenia i hulał po pokojach, odbierając resztki ciepła. Spalono już wszystkie połamane drzewa. Tego wieczoru do ognia trafił pierwszy mebel.

Siedzący przy piecu domownicy rozmawiali o nieprzyjemnym incydencie minionego dnia, podczas którego Antonina zachowała przytomność umysłu i wykazała się niezwykłą rozważą. Po południu na terenie zoo wybuchł pożar. Wracająca do domu Żabińska spotkała po drodze wermachtowca, który w ostrych słowach zaczął oskarżać mieszkańców willi o dywersję i działalność sabotażową. Wtedy Antonina, ze słodkim uśmiechem, niemiłosiernie pokaleczoną niemiecczyzną, gdyż język ten nigdy nie był jej najmocniejszą stroną, przybrawszy poufały ton, poleciała mu przepytać swoich podwładnych, który z nich po uciechach schadzki na stogu siana zapalił papierosa. Oficer najwyraźniej dobrze obeznany w zwyczajach swoich podwładnych natychmiast ruszył w stronę koszar.

Wszyscy śmiali się serdecznie, a Punia, której działaniami i słowami w tamtym momencie kierowały strach i adrenalina, teraz czerwieniła się po uszy, speszona własną bezpośredniością.

Ku wielkiemu zaskoczeniu domowników, nie wyłączając samej Antoniny, Jan nagle wstał i oświadczył, że pragnie podziękować żonie za jej cały trud. Mówił długo, czego nie miał w zwyczaju, przez co wieczór wydawał się wszystkim jakiś odmienny, czarowny.

– Na co dzień Punia nie szuka w ludziach winy, a dobra. Jednak, gdy wymaga tego sytuacja, zmienia się w lwicę. To niesłychane, jak ktoś, kto nigdy nie próbował ucłowieczać zwierząt, sam może przyjmować cechy innych gatunków, zwłaszcza drapieżników. Punia zawsze taka była i to właśnie podziwiałem w niej najbardziej w czasach, gdy zoo tętniło życiem. Potrafiła właściwie podejść do każdego zwierzęcia, choć jej działania ku rozpaczy treserów były zwykle niekonwencjonalne i niezgodne z zasadami dyscypliny – mówił, uśmiechając się ciepło do żony. – Nie rozumiałem, jak to możliwe, że ona zawsze stawia właściwą diagnozę, o wiele wcześniej niż pojawią się pierwsze widoczne objawy, choć przecież to ja jestem doktorem zoologii. Ona po prostu wiedziała, które zwierzę jest smutne, a które zaczyna być chore. Punia najwyraźniej urodziła się z wyjątkowym darem rozumienia zwierząt.

– Czy ty naprawdę rozumiesz zwierzęta, mamusiu? – spytał Rysio, wyraźnie zafascynowany opowieścią ojca.

Antonina przeciągnęła się delikatnie, by rozluźnić kark spięty od pochylania się nad szyciem. Szczelniej okryła ramiona kocem, oparła się mocniej o krzesło i zamyśliła głęboko, wpatrując się w czerwone płomienie za szybką.

– Tak, Rysiu – odpowiedziała wreszcie, patrząc z czułością na syna, który siedział oparty o ścianę pieca, opatulony w najgrubszą pierzynę. – Przynajmniej tak mi się wydaje.

– To dlaczego ty je rozumiesz, a ja nie? – dopytywał chłopiec.

– Może dlatego, że jesteś zbyt niecierpliwy – powiedział Piotr i zmierzwił mu włosy.

Rysio, który od początku wojny zrobił się bardzo drażliwy na okazywanie mu dziecięcej pobłażliwości, fuknął niezadowolony i wystawił do Piotra język.

– Dajże mu spokój – skarciła Piotra Antonina, po czym zwróciła się znów do syna. – Wiesz, Rysiu... zresztą, powiedz, czy ty naprawdę nie rozumiesz Wicka i Kuby? Mnie się zdaje, że nikt nie zna ich tak jak ty.

Ryś skinął głową.

– Tak, ich tak, ale to tylko królik i kurczak, a ty potrafiłaś jakoś zrozumieć lwy, żubry, papugi, a nawet słonia!

Piotr poczuł falę smutku zalewającą mu duszę. Od tylu tygodni nie myślał o słoniach. O pochowanych na wybiegu Kaśce i Jasiu ani o małej Tuzince wywiezionej w nieznane. Teraz poczuł, jak wzbiera w nim tęsknota. Zaraz jednak spojrzał w kąt pomieszczenia, gdzie Ada kołysała w ramionach Franka, usiłując skłonić go do zmrużenia zmęczonych oczu. W jednej chwili melancholia go opuściła, jak zawsze, gdy na nich patrzył.

– O nie, synku, nasze słonie rozumiał tylko Piotr – zaprzeczyła tymczasem Antonina. – Widzisz, wydaje mi się, że nie jest istotne, czy zwierzę jest małe, czy duże. Liczy się to, ile dajesz im z siebie. Zwierzęta to mądre stworzenia. Za serce zawsze odpłacą ci sercem.

– Ale ja dalej nic nie pojmuję – upierał się Rysio. – Czemu Piotr rozumiał słonie, a ja tylko króliki?

Antonina milczała przez chwilę.

– Pewnego razu, gdy byłam jeszcze mała, ojciec wrócił z wyjątkowo długiej podróży. Był zimny, wietrzny dzień. Zjedliśmy kolację, a potem usiedliśmy

obok siebie oparci plecami o piec kaflowy w mieszkaniu babki. Prawie jak my dziś, tu teraz. Mój ojciec miał wyjątkowy talent do snucia opowieści. Nie wiele z nich pamiętam, ale jedna zapadła wyjątkowo głęboko w moją duszę.

W tamten zimowy wieczór opowiedział mi o ludziach zamieszkujących pogranicze obecnego Związku Radzieckiego, Finlandii, Szwecji i Norwegii. Ludy te nazywają się Saamami. Długo opowiadał nam o ich zwyczajach. O tym, jak piją krew reniferów, a z poroża zwierząt przygotowują lekarstwa. Opowiadał o kobietach ubranych w wielkie kolorowe suknie, grających w piłkę nożną piłką zrobioną z futra renifera. Najciekawsze jednak było dla mnie opowiadanie o stosunku tych ludzi do zwierząt. Saamowie wierzą, że zwierzęta są pośrednikami pomiędzy światem ludzi a otaczającym nasz świat światem duchów. Każdy członek tego plemienia ma swoje zwierzę-opiekuna. Nazywają je totemem. Dusza takiego zwierzęcia jest w specjalny sposób złączona z duszą wybranego człowieka. Ma ją bronić przed niebezpieczeństwami, strzec przed złymi siłami. Człowieka i jego totem łączy niezwykła więź. Są sobie przeznaczeni. Może tak było z tobą i słoniami... – zwróciła się do Piotra. – Najbardziej nieszczęśliwi są nie ci, którzy utracili swój totem, lecz ci, którzy nigdy go nie rozpoznali. Utracony totem i tak żyje w tobie.

– I pani w to wierzy, pani Puniu? – spytał Piotr.

Antonina obdarzyła go jednym ze swych tajemniczych uśmiechów.

– Mamut, praprzodek słonia, uznawany był za szczególnie szczęśliwy totem, symbol siły, mądrości, ale także czystości i niewinności – odparła pozornie bez związku z pytaniem, patrząc Piotrowi w oczy. – Spytałeś, czy wierzę... Nie wiem. Wiem jednak, że czuję szczególną więź ze zwierzętami i wiem, że mnie rozumiesz, bo i ty to czułeś.

Miała rację. Nie potrzebował pełnego ukrytych znaczeń języka ludzi, by porozumiewać się z Tuzinką.

– I nigdy się nie bałaś, mamo, że tygrysy czy lwy mogą zrobić ci krzywdę? – dopytywał Rysio, dla którego wymiana zdań pomiędzy Antoniną i Piotrem była zupełnie niezrozumiała.

– Nie – przyznała. – Nigdy się nie bałam.

– Czy to nie dziwne? Przecież to były w większości ogromne, krwiożercze drapieżniki, a nie puchate kocury domowe.

– Ja nigdy ich nie dzieliłam. Rozpoławiałam jedynie mieszkańców świata na ludzi i zwierzęta.

– Wszak w każdym z tych „podświatów” jest jeszcze wiele pomniejszych podziałów... – zauważył Piotr. – Uogólnienie wydaje mi się tu niezwykle trudne, chyba że za kryterium podziału przyjmujemy kierowanie zachowaniami, to, czy dana istota kieruje się instynktem, czy rozumem.

– A może według dobra i zła? – podsunęła Antonina. – Zwierzęta zabijają, by żyć. Nie odczuwają przyjemności z okrucieństwa. Nie napawają się cierpieniem innych.

– W przeciwieństwie do ludzi – szepnął głucho Piotr, któremu stanęły przed oczami zwłoki Kaśki ugodzonej odłamkiem pocisku artyleryjskiego.

– Zważcie, że niemal wszystkie wielkie zbrodnie w historii świata noszą znamiona bezsensownego okrucieństwa, ale dokonywane są pod osłoną praworządności – wtrącił Jan, dotąd w milczeniu przysłuchujący się opowieści żony. – Ludzie chcą mieć przyzwolenie na poddanie się prymatowi zła, chcą powszechnego usprawiedliwienia dla własnego lenistwa, dla nienawiści, zazdrości, braku przebaczenia. Chcą wierzyć, że to zło, które jest ich udziałem, które dokonuje się ich rękami, nie pochodzi tak naprawdę od nich, nie jest częścią ich samych. Zaprzeczają samym sobie i ludzkiej naturze skażonej skłonnością do słabości i popełniania błędów.

Nikt nie ośmielił się mu przerwać.

– Powiadają, że ludzie są różni, a mnie się zdaje, że u początku wszyscy jesteśmy tacy sami – kontynuował Żabiński, lekko monotonnym głosem doświadczonego wykładowcy akademickiego. – Pochodzimy z jednego źródła i dopiero później rozlewamy się w świecie, jak rzeka. Jest w nas i groza, i piękno, śmierć i życie, gniew i łagodność. Jesteśmy trochę dzicy, choć usiłujemy to ukryć, stłamsić wszelkie nieuporządkowanie naszej natury, poruszając się w uregulowanym korycie cywilizacji. Jest to jednak jedynie pozór okiełznania zła w nas samych. Gdy woda wzbiera, przelewa się przez wały brzegowe, owe granice wyznaczone przez kulturę i rzeka...

– ...wylewa – szepnęła Antonina.

– I wylewa – powtórzył Jan. – Wówczas nie sposób zatrzymać jej niszczącej siły. Niweczy wszystko wokół. Na koniec zaś ogrom jej zbrodni uśmierca ją samą. Rozlewisko wysycha, poziom wody opada i rzeka znów powraca do uregulowanego koryta i płynie spokojnie, szemrząc łagodnie, marszczona delikatnymi powiewami wiatru. Nadal jednak nie przestaje być dzika, nadal kryje w sobie zagrożenie wirów czy ukrytej głębin, a kolejne opady mogą znów nieść śmierć.

Żabińscy wymienili łagodne uśmiechy ludzi rozumiejących się bez słów. Choć na co dzień zdawać by się mogło, że tych dwoje stanowi przeciwległe bieguny połączone niezrozumiałym zrządzeniem losu, w chwilach takich jak ta wyraźnie widać było, jak bardzo są do siebie podobni.

– Gdyby ludzie zdali sobie z tego sprawę, zaakceptowali czającą się w nich ciemność, być może dołożyliby starań, by nie pozwolić ziarnom zła zakwitnąć w swoich wnętrzach – podjął znów Jan. – Ale oni to negują, zaprzeczają swoim popędom, kwestionują namiętności, skłonność do popełniania haniebnych czynów. Wierzą, że zło jest czymś poza nimi. Dlatego z nim nie walczą, nie niszczą go w zarodku, w powijakach własnej duszy. Nierzadko myślą, że owo zewnętrzne zło jest jedynym wyborem. Usprawiedliwiają nikczemność, zdradę, kłamstwo czy łajdactwo, nadają im sens, aby zapewnić zwycięstwo jakiejś omamniającej ideologii. To jest największe oszustwo w dziejach ludzkości. Dobrowolny wybór zła nigdy nie ma sensu.

Zapadła cisza. Wszyscy pogrążyli się w rozmyślaniach natury egzystencjalnej, tylko myśli Rysia krążyły niziutko, tuż przy ziemi.

– Zimno... – marudził, patrząc na dogasający ogień.

– À propos! – wykrzyknął Jan. Słowa syna wyrwały go z filozoficznego nastroju i sprowadziły na grunt twardej rzeczywistości. – Byłbym zapomniał. Mam wam do przekazania dobrą nowinę.

Oczy wszystkich skierowały się w jego stronę.

– Wkrótce znów będzie nam cieplej – oznajmił uroczyście.

Wybuch entuzjazmu zagłuszył dalsze wyjaśnienia.

– Skoro tak, niczego się nie dowiecie – rzekł wreszcie, gdy kolejna próba opowiedzenia im wszystkiego skończyła się niepowodzeniem.

– Ależ prosimy, mów, Janie – zachęciła męża Antonina. – Już nie piśniemy ani słóweczka.

– Poproszono mnie o wynajęcie pokoju żonie i córce pewnego adwokata, a także o udostępnienie jeszcze jednej sypialni dla Lisiarza.

– Lisiarza? – zdziwił się Rysio. – Osobny pokój dla psa myśliwskiego?

Jan uśmiechnął się.

– Ach, skąd! Nadałem w myślach to przezwisko, skądinąd w moim odczuciu wielce trafne, panu Wróblewskiemu, przedsiębiorcy zajmującemu się hodowlą lisów i norek na futra. Lisiarz, to znaczy pan Wróblewski, otrzymał od magistratu przydział na dzierżawę kawałka ziemi na terenie naszego ogrodu, by rozwinąć swoją hodowlę. W służbie Rzeszy, oczywiście. Futra mają być przekazywane do ocieplania palt żołnierzy na froncie wschodnim.

– Była tuczarnia świń, może być i lisia ferma – przyklasnęła Antonina, której wyjątkowo przypadła do gustu wizja dodatkowych funduszy na zakup opału, a tym samym ocalenia mebli.

– Ponieważ prawidłowo przewidziałem twoją odpowiedź, Puniu, powiedziałem Lisiarzowi, że może wprowadzić się choćby zaraz.

– Pokój niesprzątnięty... – zmartwiła się Antonina, ale mąż zaraz ją uspokoił.

– Spokojnie, Puniu, spokojnie. Odparł, że wprowadzić się może nie prędzej niż pod koniec miesiąca, ale za wynajem zapłacił z góry. Zapytał także, czy nie przeszkadzałoby nam, gdyby sprowadził się z kotką i stadkiem papużek nierozłączek?

– Czuję, że prędko znajdziemy wspólny język – podsumowała Antonina, na co wszyscy wybuchnęli śmiechem.

6.

Wiosna przyszła niespodziewanie. Wytrysnęła feerią jasnych barw, w które przyoblekły się drzewa. Spomiędzy czarnej, jeszcze wczoraj zmarzniętej ziemi wyzierały pierwsze kielki traw i kwiatów. Świat budził się do życia i ludziom też jakoś bardziej chciało się żyć.

Pewnego marcowego wieczoru Franek został oddany pod czułą opiekę Rysia, zachwyconego faktem, iż powierzono mu tak odpowiedzialne, dorosłe zadanie, by Ada i Piotr mogli w spokoju przygotować kolację. Po raz pierwszy od kilku miesięcy zostali zupełnie sami. Dyrektorostwo Żabińscy spędzali ten wieczór u rodziny na lewym brzegu Wisły, skąd ze względu na godzinę policyjną mieli wrócić dopiero następnego dnia rano. Lisiarz pojechał odwieźć kolejną partię futer, a i rodzina adwokata zniknęła gdzieś, uprzedzając, że nie wrócą przed niedzielą. W willi w ogrodzie było cicho, spokojnie i sennie.

Siedzieli w ciepłej, nagrzaney kuchni. Na stole paliło się jedynie kilka świec, by zza zasłoniętych szczelnie okien nie wydostawał się na zewnątrz najmniejszy blask światła. Ada obierała ziemniaki. Wyciągała krągłe, brudne bulwy z wielkiego worka i powoli oddzielała skórkę od reszty warzywa. Piotr patrzył, jak błyszczące ostrze wydobywa spod błotnistej zasłony żółtokremowe wnętrze. Mógł godzinami przyglądać się dłoniom Ady wykonującym najprostsze czynności. Teraz także podziwiał jej długie, smukłe palce ubłocone mieszaniną ziemniaczanego soku i ziemi.

I nagle zrozumiał, że ją kocha.

To niespodziewane odkrycie sprawiło, że przez chwilę zabrakło mu tchu. Miłość. Było to słowo, które straciło dla niego znaczenie, zanim zdołał w pełni pojąć jego sens. Wiedział już, że to, co łączyło go z Marynką, nie było miłością. Gdy dokonał tego odkrycia, poczuł straszny żal. Marynka była tak pełną

życia i ciepłą kobietą. Może gdyby wtedy zastanowił się nad samym sobą, żyłaby teraz. Może ktoś inny potrafiłby jej zapewnić bezpieczeństwo i obdarzyć uczuciem, na jakie zasługiwała. Był zbyt młody, zbyt niedoświadczony. Nikt nie powiedział mu, czym jest miłość, toteż nie potrafił rozpoznać także jej braku. Pozwolił się nieść prądowi wydarzeń. Bez chwili zastanowienia utożsamiał miłość z zaspokojeniem żądz, spełnieniem pragnień.

Chciał czerpać, brać, niewiele dawał, rozrzutnym będąc jedynie w granicach własnego komfortu. Zapytany, z pewnością odpowiedziałby, że oczywiście, pragnie szczęścia swojej żony, podczas gdy tak naprawdę zawsze chodziło wyłącznie o usatysfakcjonowanie samego siebie. Chciał czuć się dobrze. Chciał mieć rodzinę. Chciał móc przechadzać się uliczkami pod ramię z piękną Marynką i kątem oka obserwować, jak inni mężczyźni odwracają się za nią, jemu rzucając nieprzyjemne spojrzenia. Na pierwszym miejscu był zawsze on, nikt inny. Dopiero z perspektywy czasu dostrzegł, jak niewiele potrzeb miała Marynka, jak bardzo niewymagającą i szczodłą żonę otrzymał w darze od losu. Nigdy nie powiedział jej, że ją kocha. Nigdy nie poczuł potrzeby wypowiedzenia tych dwóch słów, ale ona zdawała się wcale tego nie pragnąć. Założyła, że Piotr ją kocha, i to jej wystarczało. Proste, oddane serce Marynki nie potrzebowało deklaracji, wzniosłych słów, poetyckich zapewnień o dozgonnym uczuciu. Myśl o tym, że nigdy nie powiedział jej tych dwóch prostych słów, tylko pogłębiła wyrzuty sumienia po jej śmierci.

A potem niespodziewanie zjawiała się w jego życiu Ada. Nie była nawet w połowie tak piękna jak jego zmarła żona. Być może kiedyś w lepszych czasach jej twarz można by z uprzejmości nazwać interesującą, wyrazistą, lecz z pewnością i wówczas daleko jej było do ideału kobiecej urody. Ciało wyniszczone przez głód i ciężę w niczym nie przypominało rumianych, emanujących erotyzmem krągłości Marynki. Straciła nawet pamięć będącą podstawą tożsamości każdego człowieka. Ada nie mogła mu nic dać, ale dla niego nie miało to żadnego znaczenia. To on chciał jej dawać. Najpierw trochę towarzystwa, by nie czuła się tak bardzo samotna. Potem opiekę, gdy wydawała mu się taka bezbronna i słaba w połogu, i wreszcie czas, który spędzał z Frankiem, by mogła się zdrzemnąć, gdy była zmęczona.

A potem nagle jego bycie przy niej straciło jakiekolwiek uzasadnienie. Ada odzyskała siły, doskonale radziła sobie z opieką nad synem, a gdy udało się załatwić dla niej mocne papiery, oficjalnie zamieszkała w domu Żabińskich jako daleka kuzynka Jana. Mimo to Piotr trwał przy niej i dawał jej wszystko, co mógł. Każdego dnia więcej i więcej. Zaskakiwał w tym samego siebie. Zawsze gdy myślał, że już więcej nie może, że nie zdoła wykrzesać z siebie więcej cierpliwości, wyrozumiałości czy siły, okazywało się, że dawna granica jakimś niezwykłym sposobem, niemal bezboleśnie uległa przesunięciu. Nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, ale czuł, że każdego dnia łącząca ich więź zaciesnia się jeszcze odrobinę. Wzbraniał się przyznać do tej prawdy nawet przed samym sobą.

Gnębiło go poczucie, że ciąży nad nim jakieś fatum, że jest napiętnowany znamieniem samotności, którego nie można usunąć, mimo najszczerzych chęci i wysiłków. Na progu wojny stracił wszystkich, którzy coś dla niego znaczyli – żonę, nienarodzone dziecko i trzy słonie będące jego rodziną, odkąd tej prawdziwej zabrakło mu, gdy miał niecałe czternaście lat. Piętno, którego obecność od dawna przeczuwał, ostatecznie się objawiło, wyraźnie dało o sobie znać, nieodwołalnie pozbawiając go złudzeń. Wtedy, na wrześniowym progu wojny, stojąc obok oplakującej swą matkę Tuzinki, poprzysiągł sobie, że nigdy nie zbliży się już do nikogo, nie pokocha, nie przywiąże się tak, by nie móc znieść utraty tej osoby. Nie chciał już więcej cierpieć. Nie chciał się bać. Nie chciał żyć w poczuciu winy, że ktoś kochany musiał zniknąć z jego powodu. Niczego już nie oczekiwał.

I gdy już pogodził się z własną przyszłością, z życiem naznaczonym samotnością, gdy przestał pragnąć i zaakceptował pustkę w sercu, zjawiała się Ada. Wkraplała się w jego duszę, dzień po dniu, aż odkrył, że nie ma dla niego świata bez niej. W tej chwili pojął z całą jasnością, że ją kocha tak, jak nigdy nikogo nie kochał.

Ada wzdrygnęła się, czując na sobie intensywny wzrok Piotra. Spojrzała mu prosto w oczy. Było w nich coś, co sprawiło, że jej szczupłe ramiona zdrząły mocno. Nóż opadł miękko na stertę obierek. Wstała i Piotr wstał. Podszedł bliżej. Krew w jego żyłach pulsowała nieznośnie, gdy chwilę później trzymał

Adę w objęciach. Nigdy wcześniej nie dotykał jej w taki sposób. Teraz, czując jej kobiece ciepło, pragnął większej bliskości, ale nie chciał zrobić niczego wbrew niej. Miał wrażenie, jakby wszystko w jego życiu działo się tego wieczoru po raz pierwszy. Ta myśl zawstydziała go i krępowała.

Postanowił się przełamać. Przysunął twarz bliżej jej twarzy, chcąc ją pocałować, ale Ada odwróciła lekko głowę.

– Nie tutaj – szepnęła drżącym głosem.

Chwyliła go za rękę i poprowadziła w dół po schodach do piwnicy i dalej w głąb jednego z pomieszczeń, gdzie znajdowały się drzwi do niewielkiego schowka. Piotr nie wiedział, dlaczego chciała być właśnie tutaj, ale nie oponował. Wystarczyło mu to, że pozwalała trzymać się za rękę. Pomiedzy splecionymi palcami czuł drobinki ziemi pozostałe po obieraniu ziemniaków. Po drodze pociągnął ją więc w lewą stronę, gdzie na ścianie znajdowała się niewielka umywalka. W milczeniu delikatnie obmył zimną wodą ich ręce, wciąż nie wypuszczając jej dłoni ze swoich. Dziewczyna patrzyła na niego i drżała lekko pod wpływem tej czulej pieczyoty. W pewnej chwili zorientował się, że nie potrafił rozróżnić swoich palców od palców dziewczyny, jakby ich dłonie zlały się w jedno.

Gdy znaleźli się we wnętrzu skrytki, poczuł, że nie zdoła dłużej zwlekać i natychmiast przywarł wargami do jej ust. Nie pozostała mu dłużna. Bez cienia wahania czy zakłopotania wsunęła język w jego rozchylone wargi. Po chwili, nie przerywając pocałunku, rozwiązała troczki podtrzymujące sukienkę na szczupłych ramionach. W jej ruchach nie było wątpliwości, wahania, cienia nieśmiałości. Stała przed nim naga, chuda i blada, niemal przezroczysta, jakby pomimo miesięcy spędzonych w domu dyrektorostwa Żabińskich wciąż było w niej więcej śmierci niż życia. Mimo to, a może właśnie dlatego, wydawała mu się nieziemsko piękna.

Piotr ukląkł i zaczął całować jej ciało. Centymetr po centymetrze, ożywiając je swoim ciepłym oddechem. Chciał pocałunkami wtłoczyć w prześwitujące przez skórę błękitne żyłki krew życia, wyrwać Adę krążącym nad nią nieustannie cieniem śmierci, zachować ją dla siebie, tu, na ziemi. Całował wystające kości bioder, małą fałdkę pozostałej po porodzie skóry na brzuchu,

zębra, drobne piersi, których sutki stwardniały z podniecenia i chłodu panującego w piwnicy. Czuł, jak drżała coraz mocniej, gdy jego wargi wędrowały po jej ciele.

Ada westchnęła cicho, gdy zatarły się granice ich ciał. Przestali istnieć. Piotr nigdy wcześniej nie czuł czegoś tak intensywnego, jakby nowo odkryta miłość przydała blasku fizyczności. Gdy Ada wyslizgnęła się z jego ramion, poczuł się bezpański, niczyj. Uczucie było tak silne, że z trudem oddychał.

Smuga matowego światła, wpadająca z korytarza piwniczki przez szparę w drzwiach ich kryjówki, oświetliła twarz kobiety. Ada patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, w których lśniły łzy. Piotr poczuł, że robi mu się niedobrze ze strachu.

– Coś nie tak? – szepnął zawstydzony.

Kobieta powoli pokręciła głową.

– To nic – odparła równie cicho. – To nic. Jestem tylko taka szczęśliwa.

Nie powiedziała mu, że czuje, jakby żyła tylko dla niego, że całymi dniami czeka na jego przyście, a gdy znów znika, wypatruje go, karmiąc się wspomnieniami wspólnie spędzonych chwil, że czas rozłąki wlecze się niemiłosiernie, że bez niego wszystko wydaje jej się brzydkie, nierówne, bardziej niebezpieczne, niezrozumiałe. Milczała, nie dając sobie prawa do odczuwania tego wszystkiego. Skrępowana brakiem przeszłości.

7.

Słońce grzało coraz mocniej. Zapachy i barwy otaczającego ich świata z dnia na dzień stawały się coraz intensywniejsze. Dni mijały. Jeden podobny do drugiego, choć od owego marcowego wieczoru dla Ady i Piotra nic już nie było takie samo.

Dnie spędzali jak wcześniej, każde przy swoich obowiązkach, jednak noce należały do nich. I właśnie wtedy, gdy w Piotrze ugruntowało się przekonanie, że tak szczęśliwie i błogo będzie zawsze, Ada zaczęła znikać. Niedosłownie. Fizycznie wciąż trzymał ją w ramionach, czuł ciepło jej oddechu, miękkość dłoni wodzących po jego ciele, a jednak miał wrażenie, że jej samej tu nie ma, że jest gdzieś daleko, w miejscu, do którego on nie ma dostępu. Z początku starał się to ignorować, tłumaczyć gorszym dniem, złym samopoczuciem, ale gdy stan ten się utrzymywał, poczuł zazdrość o ten świat, w którym przebywała bez niego i strach, że może ją utracić. Postanowił porozmawiać z Adą, jednak rozmowa szybko przerodziła się w ich pierwszą kłótnię, równie gwałtowną jak uczucie, którym się darzyli.

– To powiedz mi, czego chcesz! – wykrzyknął nagle Piotr, tracąc panowanie nad sobą. – Czego chcesz?

Ada patrzyła na niego, zaciskając mocno usta. Milczała.

– Odezwij się! Powiedz coś! Cokolwiek! Daj mi jakiś znak, że na czymkolwiek ci zależy, że zależy ci na mnie, że w ogóle żyjesz!

– Nie wiem, czy żyję! – wrzasnęła rozdzierająco Ada. – Nie rozumiesz tego?! Nie mam pojęcia, kim jestem ani kim byłam! Nic nie wiem o samej sobie! Niepodobna tak żyć!

– Ale ja nie potrzebuję twojej przeszłości, by kochać cię tu i teraz!

– Ty, ty, ty i ty! Ciągłe tylko ty! – oczy Ady ciskały gromy. – Tylko ty się liczysz, prawda?! Ty jesteś najważniejszy!

Piotr poczuł wrzenie krwi. Zrobił duży krok, złapał Adę za nadgarstki i przycisnął ją własnym ciałem do ściany. Twarz dziewczyny na krótką chwilę wykrzywiła się z bólu, ale Piotr nic sobie z tego nie robił. Ada nie pozostała mu dłużna. Wychyliła się do przodu i ugryzła go z wściekłością w policzek. Piotr syknął, gdy twarz zapiekła go z bólu. Patrzyli na siebie, dysząc ciężko. Ich oczy zionące wzajemną niechęcią znalazły się naprzeciwko siebie, bardzo blisko.

– Uwierz, że nie chciałem tego wszystkiego – wycodził Piotr przez zaciśnięte zęby. – Nie chciałem, żeby zaczęło mi na tobie zależeć! Nie chciałem przywiązywać się do twojego dziecka. Nie chciałem znów lękać się o kogoś bardziej niż o własne życie. Nie prosiłem się o to! Rozumiesz?!

Urwał, by złapać oddech.

– Nigdy nie przypuszczałem, że można przyłgnąć do kogoś tak silnie, że własny los staje ci się obojętny. Ale stało się. Każdą chwilę spędzoną z dala od ciebie uważam za niewybaczalną stratę czasu. Nie chcę nikogo innego, Ado. Należę do ciebie całkowicie, choć ty najwyraźniej nie możesz tego pojąć. Moje życie bez ciebie nie istnieje, dlatego nie mogę znieść...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Wpiła się wargami w jego usta. Rozluźnił uścisk. Jej ręce powędrowały natychmiast wzdłuż jego ciała. Szarpnęły koszulkę. Małe guziki zadźwięczały o podłogę. Zniknęli skryci wśród przyspieszonych oddechów, oddania tak wielkiego, że aż przerażającego, dotyku niosącego rozkosz.

– Przepraszam – szepnęła, gdy chwilę później leżeli bez sił na podłodze zarzuconej ubraniami.

Piotr pocałował ją w głowę spoczywającą na jego piersi. Zamyślił się głęboko. Bał się tego świata, który oddzielał ich od siebie. Widział ciemność, jaka opanowywała Adę, a myśl, że być może nigdy nie zdoła jej rozproszyć, powodowała bolesny skurcz serca.

– Kocham cię – powiedział po raz pierwszy w życiu przez zaciśnięte z emocji gardło.

Odpowiedział mu tylko cichy, miarowy oddech. Ada spała.

8.

– No chodź! – syknął Piotr i uśmiechając się szeroko, podał dziewczynie rękę.

Ada, wciąż niepewna, odwróciła się w kierunku korytarza. Okna willi Żabińskich zgodnie z zarządzeniem o zaciemnieniu były szczelnie zasłaniane na noc czarnym papierem. Cały budynek widziany z zewnątrz tonął w ciemności, choć w środku było jasno i przytulnie. Prawdę rzekłszy, Ada nie miała by nic przeciwko temu, by wrócić do salonu. Z przyjemnością napiłaby się czegoś ciepłego i odpoczęłaby odrobinę, korzystając z chwili wytchnienia, gdy Franek pod czujnym okiem Rysia, który uważał się teraz za głównego opiekuna malca, bawił się z Balbiną, puchatą kotką Lisiarza. Z salonu dobiegały tłumione śmiechy, szcęk sztucców, uderzenia szkła. Po chwili rozbrzmiały też pierwsze takty *Wariacji na temat Corelliego* Rachmaninowa. Był to nieomylny znak, że przy fortepianie tego dnia zasiadł Lisiarz, którego niezwykle trudno było namówić do publicznego grania, nawet jeśli publicznością byli wyłącznie domownicy.

Ada przez chwilę walczyła z pokusą zejścia z drabinki, jednak jedno spojrzenie w jasne, błękitne oczy ukochanego wystarczyło, by rozwiać wszystkie wątpliwości. Podała Piotrowi dłoń, a on uścisnął ją mocno i pociągnął ku górze.

– Czy to aby na pewno bezpieczne? – spytała Ada z wahaniem, gdy znaleźli się tuż pod ciężką metalową klapą prowadzącą na dach.

– Wyjdziemy tylko na chwilę – zapewnił Piotr spokojnie. – Nikt nas nie zauważy.

Dziewczyna skinęła głową.

Po chwili wyszli na płaski dach. Pomiędzy obsypanymi wiosennym kwieciami koronami drzew przebijały pojedyncze światła lewobrzeżnej Warszawy

i wielki, jasno świecący księżyc odbijający się w spokojnej, niemal nieruchomej tafli Wisły. W oddali widać było pomarańczową lunę i szarą poświatę wznoszącą się coraz wyżej i wyżej ku niebu.

– Co tam jest? – spytała Ada owładnięta nagle niezrozumiałym, niewytłumaczalnym niepokojem, jakby złym przeczuciem.

Piotr w jednej chwili zdenerwował się na samego siebie, że zapomniał o przestrodze Antoniny, która surowo przykazała nie rozmawiać z Adą o powstaniu w getcie.

– Pamiętaj, że ona wie, że to stamtąd przywiózł ją Jan. To mógłby być dla niej wstrząs. Powinieneś ją chronić.

Wyrzucał sobie głupi pomysł zabrania Ady na dach willi akurat dziś. Po chwili wahania zdecydował się jednak powiedzieć jej prawdę.

– To getto płonie.

– Wygląda to zupełnie tak, jakby gdzieś tam, w oddali, pośród nocy wstał dzień – szepnęła, wpatrując się w plamę ognistego światła. – Nie potrafię zrozumieć... Nie wiem, dlaczego ci wszyscy ludzie pozwolili się zamknąć w getcie.

Dwoma palcami prawej dłoni pomasowała skronie, jak miała w zwyczaju, gdy coś ją martwiło.

– Dlaczego ja pozwoliłam się tam zamknąć? – szepnęła.

– Nie wiem – odparł szczerze Piotr. – Myślę, że ludzie do ostatniej chwili chcą wierzyć, że wszystko będzie dobrze, że jeśli posłuchają rozkazu, jeśli będą potulni, zapewnią sobie bezpieczeństwo, że oprawcy zostawią ich w spokoju. Stają się bierni, by przeżyć, choć zwykle owa beczynność staje się ich drogą do zagłady.

– Dlaczego Niemcy tak strasznie wszystkich nienawidzą? – spytała wyraźnie poruszona Ada.

– Nie wiem. Może nigdy nie nauczyli się kochać. Bo czyż nienawiść nie jest wyłącznie brakiem miłości?

Ada zadrzała. Choć za dnia można było ulec złudzeniu, że zima jest już dawno za nimi, noce wciąż były chłodne.

– Czasem mam wrażenie, że tego domu naprawdę nie ma, że on nie ma prawa istnieć wśród tych wszystkich okropności, wśród tej całej strasznej wojny. To wszystko jest nieprawdopodobne, to, co robią Antonina z Janem i mały Ryś, i... i ty.

Piotr milczał, choć słowa dziewczyny mile go polechtały.

– Ja widzę więcej, niż myślicie. Staracie się nic przy mnie nie mówić, lecz ja wiem, że Magda, to jest, że Szpak nie jest jedyną przebywającą tu osobą, o której nikt nie powinien się dowiedzieć. Czasem, gdy wieczorami wpatruję się w ciemność przez szparę w zaciemnieniu, zdaje mi się, że widzę cienie ludzi przemykających po ogrodzie. Wiem, że takich jak ja jest tu więcej, choć nigdy żadnego z nich nie spotkałam i nikt o nikim nie wspominał. Widzę znikające jedzenie i pranie ze sznurka, wczoraj powieszona, którego nikt nie szuka. Widzę spojrzenia, które wymieniasz z Janem, nim jeden z was przepada gdzieś na długie godziny. Widzę Rysia krążącego po ogrodzie z wiadrami nieczystości, które wylewa do obornika.

Piotr chciał coś powiedzieć, zaprzeczyć, wyjaśnić, opowiedzieć przygotowaną zawczasu wymówkę, że to niemieccy żołnierze zmieniający wartę krążą nocami po ogrodzie, a Rysio wylewa nieczystości po królikach, ale Ada nie dała mu dojść do słowa.

– Nie musisz nic mówić – powiedziała spokojnie. – Nie musisz mnie okłamywać. Nikomu nic nie powiem.

Piotr przypomniał sobie słowa Jana, przestrzegającego go, że w tych nieludzkich czasach nie można ufać nikomu, chyba że bez wahania powierzyłoby mu się własne życie. Czy tak właśnie było z Adą? Czy powierzyłby życie kobiecie bez przeszłości? Komuś, kto sam nie wiedział, kim jest?

– To dziwny dom. Pełen tajemnic. Nawet zwierzęta nie zachowują się tu tak, jak nauczyła je matka natura – ciągnęła Ada. – Wszystko tu jest całkowicie nierzeczywiste. Czasem mam wrażenie, że dzieją się tu czary. Jedzenia nigdy nie ma za dużo, ale nigdy też go nie brakuje. Niebezpieczeństwo zawsze jest tuż--tuż, lecz nie przechodzi przez próg. Śmierć zagląda w okna, ale nikogo nie zabiera. Pieniądze znajdują się zawsze, gdy są potrzebne, podob-

nie jak uśmiech i dobre słowo, których te ściany zdają się mieć niewyczerpane zapasy.

– To nie ściany. Ten dom to ludzie.

Ada skinęła głową.

– Ludzie tacy jak ty – powiedziała miękko.

– Ludzie tacy jak Jan i Antonina – sprostował z lekką chrypką, która nachodziła go niekiedy w chwilach, gdy emocje brały w nim górę. – Nieustraszeni. To im zawdzięczam wszystko. Oni mnie ukształtowali. Nauczyli, jak żyć, pracować, jak być przyzwoitym. Pokazali mi, według jakich kryteriów należy dokonywać wyborów, by podejmować jak najwięcej słusznych decyzji i zachowywać się jak należy. To oni uświadomili mi, co to znaczy być człowiekiem. Bez nich nie byłbym tym, kim jestem. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby ich zabrakło...

– Ludzie przemijają, ale dobro pozostaje – szepnęła. – Zostaje gdzieś głęboko w nas.

Piotr szarpnął głowę i spojrzał Adzie prosto w oczy.

– Zupełnie jakby oprócz żył i tętnic człowiek miał jeszcze jeden obieg, w którym...

– ...krąży dobro, którego doświadczyliśmy – dokończyła jego myśl. – I miłość – dodała cicho.

Oboje umilkli jakby wstrząśnięci kontrastem pomiędzy tym, co działo się wokół, a tym, co zachodziło w nich samych. Ada pierwsza przerwała ową przejmującą ciszę dwóch serc, jeszcze niepewnych, a już przeczuwających.

– Podoba mi się tu – oświadczyła nagle. – Czuję...

Zawahala się, jakby chciała precyzyjnie dobrać słowa.

– Wszystko widziane z góry wydaje się nagle o wiele mniejsze, niż jest w rzeczywistości. Nawet cienie rzucane przez drzewa nie są już takie straszne. Czuję się wolna, mniej skrepowana niepamięcią, gdy tak stoimy tuż pod sklepieniem nieba – wyjaśniła. – Ciekawe, czy dawniej też wychodziłam na dach, by oglądać ziemię z wysokości i nieboskłon z bliska? – spytała w zamyśleniu.

Nie lubił chwil, w których się nad tym zastanawiała. Drażniły go owe rozważania, zgadywanki, mnożenie pytań o to, co mogło na zawsze pozostać zakryte. A może gdzieś w głębi serca bał się tego, co może skrywać przeszłość Ady? Nie chciał, żeby zanadto skupiała się na minionym. Wolał, by była tu i teraz, z nim.

– A ja podziwiam piękno rozgwieźdzonego wiosennego nieba i cieszę się tym, co jest – przerwał jej rozmyślenia.

Naraz granat nieba przecięła cieniutka, świetlista smuga.

– Spadająca gwiazda – szepnęła Ada w uniesieniu.

Jasna wstęga zamiast opaść łagodnie parabolą, nagle zarysowała na firmamencie koślawy szlaczek.

– Chciałaś powiedzieć: zwariowana gwiazda.

Ada uśmiechnęła się, wciąż nie spuszczać oczu z nieba.

– Zwariowana gwiazda... – powtórzyła marzycielsko. – Pasuje.

– Nie rozumiem?

– Nazwa. Znalazłam właściwą nazwę dla tego domu. – A czując na sobie pytające spojrzenie Piotra, wyjaśniła: – Willa pod Zwariowaną Gwiazdą.

Piotr zaśmiał się głośno, zapominając o ostrożności. Ada szybko zakryła mu usta dłonią.

– Kocham cię – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy.

Piotr poczuł na policzku jej ciepły oddech mieszający się z wonią wiosny. Była tak blisko, kochała go. Była jego. Zapragnął nagle, by to, co było rzeczywistością w świecie Ady podczas ich pierwszego spotkania, ziściło się w prawdziwym życiu. Poczucie, że po długim czasie samotności jest się wreszcie kochanym nierzadko odbiera rozum, dodając skrzydeł naiwnej wyobraźni. Piotr zapragnął naprawdę zostać mężem Ady. Stać się ojcem dla Franka. Zasypiać, trzymając ją w ramionach, i budzić się, wdychając resztki jej snu. Przeszłość dziewczyny się nie liczyła. Było tylko owo teraz – sprzeczne z naturą czasów wojny, sielankowe, wypełnione dobrem i miłością życie w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą – i to, co przed nimi.

Daniel

Czy wiecie, jak to jest kochać kogoś całe swoje życie? Dosłownie całe. Ja nie pamiętam dnia bez choćby jednej myśli o niej.

Gdy ludzie próbują przywołać pierwsze obrazy swojego dzieciństwa, zwykle widzą twarz matki lub ojca, ulubioną maskotkę, pierwszą zepsutą zabawkę czy karuzelę z pozytywką, wygrywającą smutną melodię. Ja nie mam takich wspomnień. Nawet najwcześniejsze echa mej pamięci powtarzają jej imię.

Mieszkaliśmy w jednym domu pod numerem osiemnastym przy ulicy Daniłowiczowskiej. Była to niezbyt ładna, niewysoka kamienica wybudowana pierwotnie dla urzędników warszawskiej filii rosyjskiego Banku Państwa, którego siedziba, projektu znakomitego Leontija Nikołajewicza Benois, nadwornego architekta carskiego, znajdowała się nieopodal, przy ulicy Bielańskiej 10. Modernistyczny budynek przy Bielańskiej, wyłożony z zewnątrz żółtym i czerwonym piaskowcem, kilkakrotnie zmieniał właścicieli, nim ostatecznie został siedzibą prywatnego banku warszawskiego nazywanego oficjalnie Bankiem Polskim Spółką Akcyjną. W naszej kamienicy te zmiany nie czyniły jednak istotnych rewolucji. Większość urzędników – wysoko wykwalifikowanych, znających języki obce i bankowe sztuczki, kontystów, buchalterów, kasjerów czy rejentów – przechodziła płynnie z jednej instytucji do drugiej, zachowując swoje stanowiska, niekiedy nie zmieniając nawet biurka, przy którym pracowali. Jedynie ich pensje ulegały zwykle powiększeniu, fakt ten jednakowoż nikogo nadmiernie nie smucił.

Całe dzieciństwo i młodość spędziłem na Daniłowiczowskiej, uliczce położonej niemal w centrum miasta, a jednak dziwnie cichej i spokojnej, nieco prowincjonalnej, jakby żyjącej swoim życiem. Kiedyś ulicę tę zamieszkiwali głównie Żydzi, jednak z czasem ich wysiedlono, a Daniłowiczowska zyskała sławę porządnej i bezpiecznej, zamieszkiwanej głównie przez rodziny urzędników magistratu, bankierów, prawników, lekarzy i policjantów pracujących w tutejszym areszcie.

Mieszkaliśmy na tym samym piętrze, jej drzwi naprzeciwko moich. Nasze kroki zmieszane na schodach klatki schodowej, nakładające się na siebie ślady na poręczu.

Mój ojciec był lekarzem. Pracował w szpitalu, a po godzinach dyżurów prowadził prywatną praktykę dedykowaną specjalnie pracownikom banku. Jej ojciec pracował jako buchalter w Banku Polskim. Obaj byli żydami wyznającymi judaizm postępowy, a co za tym idzie, mieli dużo dystansu do nakazów prawa i tradycji rabinicznych. Ich praktyki religijne ograniczały się w zasadzie do całowania palców i dotykania nimi drewnianych mezuz, zawieszonych na prawej framudze drzwi, symbolicznego obchodzenia szabatu i odwiedzin w Wielkiej Synagodze na Tłomackiem przy okazji większych świąt żydowskich czy uroczystości państwowych, choć miałem wrażenie, że obaj chodzą tam wyłącznie po to, by w doskonałej akustyce posłuchać słynnego chóru śpiewającego pieśni religijne przy akompaniamencie instrumentów muzycznych, w tym organów. Obaj kochali muzykę sakralną i gry karciane.

Nasze matki, pochodzące spoza Warszawy, niepracujące żony dobrze zarabiających mężczyzn, zatrudniające gospodynie do pomocy w prowadzeniu domów, miały dużo wolnego czasu i chcąc nie chcąc spędzały go razem. Piły herbatki, szydełkowały, wspólnie angażowały się w różne akcje dobroczynne, wymieniały się przepisami i książkami. Obie były bardzo ładne. Łączył je także absolutny brak ambicji i pragnień wykraczających poza posiadanie. Materiały na suknie, nowe pantofelki czy wachlarze wyznaczały wąski, acz niewyczerpany zakres tematyczny ich rozmów. Lubiły przebywać we własnym towarzystwie i nigdy się ze sobą nie nudziły. Dzięki temu i my od dziecka byliśmy w zasadzie nierozłączni.

Pamiętam dzień, w którym się urodziła. Jest to moje pierwsze świadome wspomnienie. Moje, a nie wytworzone przez wyobraźnię czy pod wpływem opowieści innych. Był to rok, w którym po stu dwudziestu trzech latach zaborów Polska odzyskała swoją tożsamość. Jednak wówczas ten doniosły fakt nie miał dla mnie specjalnego znaczenia. Pamiętam za to, że w dniu moich trzecich urodzin ktoś zapukał do drzwi. Jeszcze dziś słyszę w uszach tamto kołatanie. Stałem na korytarzu i patrzyłem na drzwi wejściowe. Czas zwolnił. Niemal widziałem, jak dźwięk odbija się od ciemnych, masywnych drewnianych drzwi.

Przeczuwałem, że zaraz coś się wydarzy, coś wspaniałego i niepokojącego zarazem.

Gospoia szybkim kroczkiem przebiegła przez korytarz, jakby mnie wcale nie widziała. Otworzyła drzwi. W progu stał nasz sąsiad, pan Izaak Schultz. Z wielkich okien na korytarz wpadało jaskrawe światło dnia. Ubrany w ciemny surdut Schultz tworzył czarną plamę na tle świetlistego wejścia. Pamiętam dobrze wyraz dziwnego zadowolenia malujący się na jego twarzy. Na co dzień był poważnym, nieco surowym mężczyzną. Prawdę mówiąc, bałem się go, bo w niczym nie przypominał mojego miłego i jowialnego ojca. Nigdy wcześniej nie widziałem pana Schultza tak uradowanego. Wszystko to razem strwożyło mnie jeszcze bardziej.

Po chwili spostrzegłem, że sąsiad trzyma jakieś zawiniątko w zgięciu łokcia. Serce zabiło mi mocniej. Wtedy bowiem przypomniałem sobie, że od miesięcy wszyscy rozmawiali o jakimś dziecku. Dziecko to, dziecko tamto. Widziałem, jak brzuch pani Sary, żony Izaaka, rośnie jak balon. Patrzyłem na to wszystko z niekłamanym przerażeniem. Byłem malcem wychowywanym wśród dorosłych. Wiedziałem, że są na świecie inne osoby podobne do mnie, ale nigdy dotąd nie miałem z żadną z nich bliższego kontaktu. Nigdy też nie widziałem noworodka, a teraz złowrogie zawiniątko było w moim domu.

Padł na mnie blady strach. Nogi miałem ciężkie, jakby ktoś wsunął mi na stopy ołowiane buty. Mama wybiegła z salonu, wznosząc radosne okrzyki „Mazel Tow!”. I ona mnie nie zauważyła. Tuż za nią pojawił się ojciec. Podeszedł do pana Izaaka i chciał mu uścisnąć rękę, ale okazało się, że obie są zajęte trzymaniem zawiniątka. Panowie spojrzeli po sobie i roześmiali się. Przyglądałem się temu wszystkiemu z niezadowoleniem. Nikt mnie nie dostrzegał. Wszyscy zachowywali się tak, jakby poza tym zawiniątkiem nikt i nic się nie liczyło. Nie zauważyłem, kiedy pan Izaak przykląkł na jedno kolano, nieopodal mnie.

– Podejdz, Danielu – zagadnął, uśmiechając się przy tym miło.

Posłusznie podeszedłem i stanąłem tuż obok pana Izaaka, ale uparcie wpatrywałem się w swoje buty. Wiedziałem, że to niegrzeczne, że rodzice nie będą zadowoleni z mojego zachowania, ale nie mogłem podnieść wzroku. Coś

urościło mi w gardle i zacisnęło żołądek. Wydawało mi się, że choć to dziecko sąsiadów, coś w moim życiu zmieniło się bezpowrotnie.

Wtedy z wnętrza koronkowego becika wydobył się dźwięk podobny do miauknięcia kociątka. W każdym razie nie przypominał głosu ludzkiego. Szarpnąłem głową i spojrzałem zdziwiony na pana Izaaka, a zaraz potem na zawiniątko. Broda mężczyzny muskała małą twarzyczkę skrytą wśród białych tkanin, w które zawinięto szczelnie całą postać.

– Chce z tobą rozmawiać – roześmiał się znowu i podsunął zawiniątko bliżej mojej twarzy.

Twarzyczka była niewiele większa od dłoni mojej matki. Nosek, jak guziczek od surduta pana Izaaka, poruszał się nieznacznie, wciągając powietrze. Z usteczek przypominających połówkę truskawki wydobył się lśniący balonik śliny. Nie mogłem oderwać wzroku, jakby ktoś rzucił na mnie czar. Nagle dziecko otworzyło oczy. Serce znów podeszło mi do gardła, ale wtedy ona spojrzała na mnie i już znów czułem się spokojny. Patrzyliśmy i patrzyliśmy, a gdy panu Izaakowi ścierpły kolana i wstał, zabierając jej twarz sprzed mojej, poczułem się naraz straszliwie opuszczony. Odtąd jedynie jej obecność była w stanie wypełnić pustkę, którą poznałem tamtego dnia.

Nie pamiętam świata bez niej, lecz nawet dziś, po tylu przeżytych wspólnie latach, nie potrafiłbym określić jednoznacznie, jaka była.

Nigdy nie lubiła się bawić, udawać kogoś, przebierać się za bohaterki bajek czy biblijnych opowieści, księżniczki czy wróżki. Dorośli mówili, że jest smutnym dzieckiem.

– Dajcież jej spokój – żartował mój ojciec, zawsze skory do wesołości i dostrzegania jasnych stron życia. – Panna Schultz po prostu przyszła na świat jako dojrzały człowiek uwięziony w małym ciałku. Najwyraźniej nie odczuwa potrzeby bycia dzieckiem, więc i my porzucmy próby odmłodzenia jej.

Jej rodzice wtórowali mu śmiechem, ale po chwili ich zmartwione spojrzenia biegły ku zamyślanej, bladej twarzy córki, jedynej osoby w salonie, która się nie śmiała.

Od zawsze lubiła rysować. Najciekawsze wydawały jej się ludzkie twarze, a z braku chętnych do pozowania często szkicowała własne podobizny. Uwiel-

białem siadywać obok niej i obserwować, jak przypatruje się sobie w lustrze, zaznacza ciemną kredką kontury swego odbicia, a potem przerabia je. Wyszczupla lub poszerza, wyostrza kości policzkowe lub zupełnie się ich pozbywa. Rozmywa linię podbródka lub dorabia sobie kanciastą brodę. Domalowuje krzaczaste brwi lub zastępuje je wążutką kreską, jak zwykły to robić popularne aktorki.

Nie lubiła swojej fizyczności. Nigdy nie była też zadowolona z samej siebie ani z tego, co robiła. Była niespokojnym duchem. Wciąż chciała coś poprawiać, udoskonalać, zmieniać, by sprostać narzuconym sobie wymaganiom, choć odrobinę przybliżyć się do nieosiągalnego wzoru, wcielenia własnych marzeń i wizji samej siebie.

Dla mnie od zawsze była ideałem, najdoskonalszą istotą, jaka kiedykolwiek stąpała po ziemi. Gdy kiedyś, czerwieniąc się po uszy, odważyłem się jej to wyznać, roześmiała się głośno i powiedziała:

– Wydaję ci się ideałem, bo masz małe oczekiwania, Danielu. Nie pragniesz rzeczy wielkich.

Miała rację. W porównaniu z jej niespokojnymi marzeniami, moje plany na życie nawet mnie samemu wydawały się błahe, by nie rzecz banalne. Ona śniła o dalekich podróżach, wystawianiu swoich prac w Paryżu, projektowaniu strzelistych wież drapaczy chmur za oceanem, leżeniu na słonej tafli Morza Czarnego, lataniu samolotem, jako pilot oczywiście. Ja chciałem tylko zostać lekarzem, jak mój ojciec, i pracować na oddziale chirurgicznym w szpitalu na Czystym, który był moim drugim domem. Odkąd skończyłem dziesięć lat, często towarzyszyłem ojcu podczas wizyt u pacjentów. Nosilem mu torbę, podawałem potrzebne narzędzia, lekarstwa, środki opatrunkowe. Czasem musiałem biec po wodę, czasem po aptekarza, czasem do telefonu, by wezwać pogotowie, gdy sytuacja była zbyt poważna. Zawsze jednak widziałem ten sam błysk w oku chorego i jego bliskich, gdy mój ojciec pojawiał się w ich domu. Był źródłem nadziei. Chciałem, by kiedyś i na mnie tak patrzono.

Pragnąłem leczyć ludzi, nieść im ulgę w cierpieniu. Chciałem po prostu żyć, robić coś dobrego i uczciwie zarabiać na chleb. A nade wszystko marzyłem, by dzielić z nią moją codzienność, by było jak dotąd, już na zawsze. By-

łem gotów zaakceptować wszystkie niespodzianki, jakie przyniesie mi los, byle tylko ta jedna rzecz pozostała niezmienna, byle ona była przy mnie.

Oboje byliśmy jedynekami. Nigdy nie mieliśmy też innych przyjaciół poza sobą. Ja byłem nazbyt łagodny i nieśmiały, inni chłopcy raczej drwili ze mnie, niż szukali mojego towarzystwa. Ona zaś po prostu nie wzbudzała nigdy sympatii rówieśników. Być może dlatego, że nie potrafiła podporządkowywać się regułom, zawsze miała własne zdanie, była odważna i nieprzystająca do ram, jakie wyznaczano dziewczynom z dobrych warszawskich rodzin. Było jej w nich stanowczo zbyt ciasno. Poza tym zdaje mi się, że po prostu nigdy nie potrzebowaliśmy innych ludzi. Do szczęścia w zupełności wystarczaliśmy sobie nawzajem.

Była też jedyną kobietą, którą pokochałem. Rodzice od małego nazywali nas narzeczonymi, lecz gdy dla nich był to jedynie słodki żart, dla mnie była to rzeczywistość. Kochałem ją, gdy była małą dziewczynką obdarzoną niezwykłą wyobraźnią. Kochałem ją jako nieznaną nudy nastolatkę, wygłodniałą życia, która wszędzie musiała zajrzeć, wszystkiego dotknąć i spróbować, nieakceptującą granic, przez co wciąż pakowała się w coraz to nowe kłopoty. Towarzystwo jej było pełne niespodzianek i barw. Im bardziej stawiała się niezależna od wszystkiego i wszystkich, tym mocniej ją kochałem.

Pewnego dnia siedzieliśmy na dywanie w salonie jej rodziców, jedząc schłodzone truskawki, gdy nagle poczułem na ustach coś delikatnego, miękkiego i zimnego. Wokół unosił się słodkawy zapach truskawek.

– Przyjemne – stwierdziła krótko i wsunęła sobie w usta kolejny owoc. W całości. Zawsze jadła łapczywie, ku zgorszeniu naszych matek, odgryzając wielkie kęsy. – Musiałam sprawdzić, jak to jest, mam nadzieję, że się nie gniewasz. A może ci się podobało? Bo jeśli tak, to mogę cię pocałować jeszcze raz.

A więc to był pocałunek – pomyślałem wtedy i poczułem, że się czerwienię.

– Chcesz czy nie? – spytała niecierpliwie. Nie lubiła czekać. Jeśli czegoś chciała, musiała to dostać od razu.

Kilkakrotnie skinąłem głową, żeby się przypadkiem nie rozmyśliła. Nie zdążyła jednak znów mnie pocałować, bo w tej samej chwili do salonu wpadła gospodyni państwa Schultzów.

– A coś ty taki czerwony, kawalerze? – zagadnęła zaniepokojona. – To pewnie przez te truskawki! Mówiłam, żebyście nie jedli za dużo na raz.

Gospodyni wzięła mnie za ramię i poprowadziła do kuchni, by na wszelki wypadek zaaplikować mi krople na żołądek. Słyszałem za plecami jej stłumiony śmiech i czułem motyle w brzuchu na wspomnienie truskawkowego pocałunku.

Od szesnastego roku życia pomagałem w redakcji „Kwartalnika Klinicznego Szpitala Starozakonnych”. Po maturze i egzaminach wstępnych na studia medyczne przyjęto mnie, dzięki koneksjom ojca, na praktyki do szpitala na Czystem. To był szczęśliwy czas. Pracowałem w największym, a przede wszystkim najnowocześniejszym ośrodku leczenia zamkniętego w stolicy, mogłem przyglądać się pracy ponad setki lekarzy różnych specjalności, a gdy wracałem do domu, natychmiast pukałem do sąsiednich drzwi, by mimo zmęczenia, czym prędzej opowiedzieć jej o wszystkim. Moja praca, całe moje życie miało dla mnie znaczenie tylko wówczas, gdy mogłem je dzielić z nią. Byłem tak szczęśliwy, że nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do jej zmiennych nastrojów, a nade wszystko do smutku, który czasem oddzielał ją od wszystkich, także ode mnie. Potrafiła wówczas nie przyjść na umówione spotkanie albo siedzieć na parapecie i godzinami patrzeć przez okno, wcale mnie nie słuchając. Wówczas czekałem i tęskniłem do chwili, gdy znów do mnie wróci. Minęło kilka lat. Czas pędził i niepostrzeżenie byłem już samodzielny chirurgiem, mówili, że utalentowanym. Stałem się mężczyzną, który mógł przyjąć odpowiedzialność nie tylko za samego siebie. Zapragnąłem mieć rodzinę. Pewnego dnia zapytałem, czy nie zechciałaby zostać moją żoną. Dłuższą chwilę stała bez ruchu, patrząc mi w oczy, aż wreszcie odezwała się powoli, poważnym, uroczystym tonem:

– Dobrze, Danielu. Ważne decyzje czasem trzeba po prostu podjąć, choćby i z mało istotnych przyczyn. Tak, sądzę, że mogę to dla ciebie zrobić.

Nie była to może zwyczajna w takich okolicznościach odpowiedź przyszłej panny młodej, ale przez lata przyjaźni zdążyłem już przywyknąć do jej nietypowych zachowań.

Bóg nam błogosławił. W niecały rok po ślubie przyszła na świat nasza córka. Daliśmy jej na imię Rachel, czyli jagniątko. Było to imię jej nieżyjącej już babki, ale do naszej córki pasowało znakomicie. Była łagodna i spokojna, a do tego uwielbiała spać zwinięta w kłębuszek, otoczona szczelnie puchatą kołderką. Śmialiśmy się wtedy, że tak opatulona faktycznie przypomina małą owieczkę.

Macierzyństwo zdawało się jej służyć. Melancholia, która w przeszłości niekiedy oddzielała ją ode mnie murem nie do przebicia, zniknęła gdzieś wraz z pojawieniem się w naszym życiu tej malutkiej istotki. Obecność Racheli rozświetlała ciemności duszy mojej żony, koła jej lęki, łagodziła smutek. Spędzała wiele godzin, trzymając w ramionach naszą córkę. Siedziały tak w ciszy, patrząc sobie w oczy. Nie padało ani jedno słowo. Niektóre matki śpiewają swoim dzieciom, opowiadają im bajki, czy po prostu mówią do nich, nie oczekując odpowiedzi. Ona zaś milczała, a Rachel nie pragnęła chyba niczego więcej. Moja matka kręciła karcąco głową i powtarzała, że rozpieścimy dziecko, jeśli będzie cały czas na rękach, że później nie damy sobie z nią rady, ale żona pozostawała nieczuła na podobne uwagi. Zdawała się ciągle nienasycona obecnością córki. Nikomu nie pozwalała jej dotknąć.

Czasem, gdy wracałem z dyżuru, zastawałem ją śpiącą w fotelu z małą w ramionach. Wówczas nakrywałem je ciepłym pledem, siadałem na podnóżku, opierałem głowę o jej kolana i wdychałem zapach ich snu, zapach bezpieczeństwa, zapach domu, zapach miłości.

A potem rozpoczął się koszmar.

Wybuchła wojna. Już we wrześniu Niemcy bombardowali dzielnicę północną ze szczególną zjadłością. Po kapitulacji do miasta zaczęły napływać dziesiątki, setki przesiedleńców żydowskich z ziem, które z dnia na dzień przestały być ich domem, Polską, a stały się Rzeszą.

Uznano nas za podludzi, sprawców wszelkiego zła, nosicieli chorób, szerzycieli zgnilizny moralnej, degeneratów. Oznakowano nas białymi opaskami z niebieską gwiazdą Dawida. Okupant nakazał pracodawcom chrześcijańskim pozwalniać zatrudnionych wyznania mojżeszowego. Zabierano nam oszczędności, grabiono majątki, uniemożliwiając jednocześnie jakiegokolwiek zarobko-

wanie. Nawet dorożkarzom żydowskim odebrano koncesję. Zabroniono nam jeździć koleją. Nie mogliśmy korzystać z parków miejskich, wchodzić do tak zwanych aryjskich sklepów, lokali gastronomicznych, kawiarni, czytelni publicznych. Zakazano nam nawet wypożyczania książek.

My, lekarze, mogliśmy praktykować jedynie w żydowskich szpitalach i swoich prywatnych gabinetach, w których jednak nie wolno nam było przyjmować aryjskich pacjentów. Polak nie mógł leczyć Polaka, bo nagle kwestia wyznania, jeszcze wczoraj niemal niewidoczna różnica, postawiła pomiędzy nimi ścianę nie do przebicia. Polakom wyznania mojżeszowego odebrano wszystko, nawet narodowość i prawo do nazywania ojczyzną swojego domu i ziemi, na której przyszli na świat, wyrosli, gdzie pochowali ojców i matki. Wreszcie na obliczu Warszawy powstała kolejna szrama, wyrwa w żywym ciele miasta.

Jesienią roku czterdziestego wzniesiono mur, którym otoczono dzielnicę przeznaczoną wyłącznie dla Żydów, gdzie wszyscy, bez względu na poziom swojej religijności, musieli się przeprowadzić wraz z całymi rodzinami.

Bramy getta zamknięto ostatecznie szesnastego listopada. Rozpoczęła się gehenna.

Dla niej najcięższy był brak zieleni. Do getta nie włączono ani jednego parku, ani odrobiny wolnej, zielonej przestrzeni, poza cmentarzem żydowskim, który jednakże znajdował się daleko od miejsca, gdzie mieszkaliśmy. Odcięcie od zieleni było kolejną, wysublimowaną metodą uprzykrzenia życia mieszkańcom getta. Mur odgradzający nas od aryjskiej strony przebiegał wzdłuż ogrodzeń Ogrodu Saskiego i Ogrodu Krasińskich. Słyszeliśmy szum drzew i śpiew ptaków, ale nie mogliśmy dotknąć soczystej zielonej trawy, czuliśmy zapach jaśminu, ale nie mogliśmy rozkoszować się widokiem eleganckiego białego kwiecica na krzewach, dzieci nie miały prawa szukać stokrotek i pleść z nich wianków, starcom nie dane było usiąść na ławeczkach, by w promieniach słońca podziwiać wielobarwne klomby i kwietniki. Zakochanym nie dane było całować się w cieniu drzew, muskając dłonią skórę ukochanej i chropowatą korę. To, co kiedyś wydawało się oczywistością, kontakt z naturą, zostało nam odebrane.

Nie mogła do tego przywyknąć, była niespokojna jak zwierzę w klatce. Kochała wolność, potrzebowała przestrzeni. Ciasnota i tłok panujący w zamkniętej dzielnicy żydowskiej zdawały się wysysać z niej życie. Tęsknota za kontaktem z przyrodą pogłębiała się z każdym dniem izolacji i doskwierała jej o wiele bardziej niż niewygody lokalowe. Starła się jednak udawać, że wszystko jest w porządku, by nie potęgować strachu Racheli i tak złąknionej i zagubionej koniecznością nagłych przenosin. Uciekała w malowanie. Stworzyła dla naszej córki alternatywny świat, a dokładniej – narysowała go. Rysowała wszystkim i na wszystkim. Ściany, meble, a nawet szyby przydzielonego nam pokoju stopniowo pokrywały się coraz to nowymi, kolorowymi malunkami. Z czasem, gdy zabrakło farb i kredek, zaczęła kawałeczkiem węgla szkicować na podłodze obrazkowe historyjki, które zmywała wieczorem. Z narysowanych przez nią chmur nigdy nie padał deszcz, łąki były porośnięte bujną trawą, puchatymi koniczynami, delikatnymi makami i kwitnącymi kwiatami. Po błękitnym, jasnym niebie latały kolorowe ptaki i wielobarwne motyle. Zwierzęta miały śmieszne minki i przekomiczne ubranka w dziwaczne wzorki, a słońce, jasne i pogodne, uśmiechało się do Racheli z każdej ilustracji.

Z czasem moja żona odkryła, że z dachu naszej kamienicy można spoglądać na zieleni ponad murem. Zabierała Rachelę na, jak mówiła, „podniebne przechadzki”. Przysiadaly w jak najmniej widocznym kącie dachu i „spacerowały” palcami po tryskających zielenią koronach drzew, białych, puszystych chmurach, kryształowym bezmiarze nieba. Prawie nie wychodziły z domu, a jeśli nawet musiały pójść po przydział jedzenia czy w odwiedzin, zawsze wymyślała jakąś zabawę. Często zawiązywała Racheli oczy i całą drogę opowiadała jej historie, by mała nie patrzyła na to, co działo się wokoło. Ludzie odwracali się na widok młodej kobiety niosącej na rękach piękną dziewczynkę z włosami splecionymi ukochaną błękitną wstążką, która miała zasłonięte oczy i śmiała się do rozpuku, choć świat przesycony był śmiercią i strachem. One jednak zamknęły się w swoim świecie marzeń, wypełnionym pięknem, radością i kolorami.

Tylko ja co dzień przemierzałem ulice getta. Podążając na oddział chirurgiczny ulokowany przy ulicy Leszno, zanurzałem się w morzu widm z naj-

koszmarniejszych snów, w których nietrudno było rozpoznać ludzi.

Byłem jednym z siedmiuset siedemnastu zarejestrowanych lekarzy żydowskich pracujących na terenie getta. Brakowało nam wszystkiego, a chorych przybywało każdego dnia. Nieodłączną towarzyszką mojej codzienności była bezsilność. Poczucie niemocy narastało z każdym dniem. By nie oszaleć, a nade wszystko by móc czymś zająć myśli, przyłączyłem się do grupy lekarzy, którzy postanowili zbadać chorobę głodową – najpowszechniejszą i jedną z najskromniej opisanych przez dotychczasową naukę jednostek chorobowych. Nigdy dotąd żaden zespół lekarzy nie miał możliwości zbadania jej w takiej skali. My mieliśmy aż nadto przypadków, by stworzyć solidne podwaliny podyktowane wymogami współczesnej nauki. W lutym czterdziestego drugiego zaczęliśmy prowadzić badania. Nim wybuchło powstanie, udało nam się przerzucić owoc naszej pracy na aryjską stronę, z przeznaczeniem do rąk doktora Witolda Orłowskiego.

Gdy wracałem do domu, zwykle byłem wycieńczony. Jednak po przekroczeniu progu pokoju coś się we mnie budziło, apatia znikwała. Dostawałem talerz wodnistej zupy, czasem kawałek chleba, jedzenie, które nie syciło, a mimo to nie byłem głodny. Wśród kolorów i radości, otoczony śmiechem i pogodnym nastrojem grzałem się w ciepłe ich miłości. To był czas, w którym odzyskiwałem siły i wolę walki, zbierałem wewnętrzną energię, by następnego dnia znów opuścić ten dobry skrawek świata i ruszyć do walki z nieludzkim cierpieniem, któremu starałem się zaradzić zdezelowanymi narzędziami chirurgicznymi i własnymi rękoma.

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Niemcy uznali, że życie w zamkniętej dzielnicy, w nędzy i smrodzie, to i tak zbyt wiele. Mieliśmy przecież wciąż błękit nieba nad głowami, słońce, trochę wody i powietrze. Zbyt dużo. Żydom należało odebrać wszystko, nawet oddech. Rozpoczęła się wielka akcja likwidacyjna, masowa deportacja kobiet i mężczyzn, starców i dzieci do obozów zagłady. Lekarzy chwilowo pozostawiono w spokoju. Załatwiłem nam dobre papiery. Byliśmy względnie bezpieczni. Staraliśmy się nie myśleć o ludziach pędzonych na rampy, upychanych w bydlęcych wagonach

jak zwierzęta, jadących na pewną śmierć. Jeszcze żyliśmy i oczekiwaliśmy drugiego dziecka. Mieliśmy nadzieję.

Pewnego popołudnia, w połowie sierpnia, gdy wróciłem do domu po dłuższej niż zwykle nieobecności, nie było ich w naszym pokoju. Nikt nic nie wiedział. Rozpłynęły się w powietrzu. Zniknęły. Wbrew rozsądkowi ani na moment nie uwierzyłem, że ją straciłem.

Piekło, w które zmienił się nasz świat, w którym ludzie ginęli codziennie bez przyczyny, jakby byli niczym więcej niż kawałkami lodu wrzuconymi na rozżarzone węgle, nie wydawało mi się dostatecznym argumentem usprawiedliwiającym ich ostateczne zniknięcie. W poprzednim życiu, w dobrym, jasnym świecie, byłem lekarzem. Człowiekiem wykształconym, niezbyt religijnym, sceptycznie podchodzącym do nakazów wiary, a wobec zabobonów i przesądów bezwzględnie ironicznym. Tym razem jednak, wbrew logice, nie potrafiłem uwierzyć, że nie żyją. Skoro moje serce biło nadal, ona po prostu musiała żyć, a jeśli ona żyła, to i Rachela była bezpieczna. Nigdy nie pozwoliłaby skrzywdzić córki. Nigdy. Z tej irracjonalnej wiary czerpałem siły, by stawić czoła rozpacz.

– Żyje, na pewno żyje – powtarzałem wszystkim.

Kręcili głowami, wymieniali raz smutne, raz zaniepokojone spojrzenia. Myśleli, że jak wielu innych w czeluściach getta i ja postradałem zmysły. Nic sobie z tego nie robiłem. Moje serce biło mocno, upewniając mnie, że mam rację.

Kilka dni po ich zniknięciu przysłała do szpitala nasza dawna sąsiadka. Miała dziwny wyraz twarzy. Niepokój sprawił, że wypuściłem z ręki tackę z narzędziami. Metal z głośnym brzdękiem uderzył o podłogę.

– Danielu, porozmawiajmy – poprosiła, nie siląc się na przywitanie.

Skinąłem głową i poprowadziłem ją w głąb korytarza. Szpital był przepelniony. Nie było miejsca, w którym nie leżeliby ranni i chorzy. Weszliśmy do umywalni. Zarygłowałem drzwi.

– Danielu... – zawiesiła głos, najwyraźniej nie znajdując właściwych słów.

Spojrzałem w pocziwą twarz kobiety. Kiedyś była krągła, a jej oczy zdawały się nikać w fałdkach tłuszczu. Teraz miałem przed sobą wychudzone obli-

cze o ostrych rysach i wielkich oczach, z których wyzierał doskonale znany mi głód.

– Ja tam byłam – powiedziała wreszcie. – Widziałam, co się stało z Rachelą. Wstrzymałem oddech.

– Oni urządzili sobie zabawę w strzelanie do ruchomego celu. Spędzili na placu pomiędzy kamienicami ludzi z kilku ulic. Kazali dzieciom wyjść na środek. Śpiewali jakieś barbarzyńskie pieśni, a dzieci miały tańczyć, coraz szybciej i szybciej. – *Tanzen! Schneller, schneller!* – wrzeszczeli, rycząc ze śmiechu. – *Schneller mit Leben! Und Rechtsdrehung!* – Niektóre dzieci płakały, wyciągały ręce w kierunku rodziców, przystawały, nie chciały tańczyć. Te zastrzelili jako pierwsze. Na ten widok pozostałe zaczęły energicznie płaszać, uśmiechać się sztucznie, licząc, że gorliwym wypełnieniem rozkazu zaskarbią sobie przychyłność oprawców, kupią wolność i wrócą w ramiona rodziców. Gdybyś widział ich rozszerzone strachem oczy, którymi w tańcu szukały wzroku matek i ojców, bezradnie stojących z boku. Codziennie widzę we śnie te spojrzenia...

Sąsiadka urwała i zaniosła się płaczem. Zawodziła i zawodziła, nie mogąc opanować emocji, a ja stałem bez ruchu, jakby ktoś zamienił mnie w słup soli. Cierpliwie czekałem na ciąg dalszy, jak człowiek oczekujący na własną egzekucję, który wie, że wszystko się już skończyło, że nie ma dokąd się spieszyć. Czas przestał mieć dla mnie jakiegokolwiek znaczenie.

– A potem i do nich zaczęli strzelać – wyszlochała. – Śmiechy tych bydlaków mieszały się z odgłosem wystrzałów i zwierzęcym wyciem rodziców. Tylko tańczące dotąd dzieci, które padały jedno po drugim, jakby to był tylko fragment jakiejś upiornej choreografii, zdawały się zdumione własną śmiercią. Przez chwilę zapanował zamęt. Jedni próbowali uciekać, inni przedrzeć się do leżących na chodniku małych ciałek, by złożyć na ziębnących ustach swych dzieci ostatnie pocałunki, ale esesmani oddali kilka strzałów w powietrze i zagrozili, że wystrzelają wszystkich, a potem także rodziny i sąsiadów tych, którzy spróbują się zbliżyć. Tłum natychmiast zamarł. Jeden z esesmanów, wyraźnie pijany, uznał, że to nie koniec zabawy. – Duże dzieci to zbyt łatwy cel! – wrzasnął i kiwnął ręką. – Na ten znak żołnierze zaczęli wyrwać

stojącym w tłumie matkom dzieci trzymane na rękach. Twoja żona była wśród nich.

Oddech z trudem unosił moją pierś. Dusilem się bezgłośnie własnym życiem.

– Nie chciała puścić Racheli – ciągnęła sąsiadka. – Otuliła ją ramionami i przycisnęła do siebie. Dziewczynka wczepiła się w nią rękami i zębami. Żadna z nich nie krzyczała, nie płakała, patrzyły sobie w oczy. Cały czas patrzyły sobie w oczy. Rosły Niemiec uderzył ją kolbą karabinu w głowę. Upadła, ale nie wypuściła córki z rąk. Osłoniła ją sobą i skuliła się, klęcząc na żwirze. Esesman wrzeszczał, że ma oddać dziecko albo zginąć obie. Nie poruszyła się. Niemiec załadował broń. W tym momencie jakiś inny żołnierz krzyknął coś do niego, pokazując na jej wydatny brzuch. Zdaje mi się, że mówił coś o puchu, który może spowodować zabicie ciężarnej, choćby Żydówki, na jego brzemiennej żonie. Odepchnął więc tego ze strzelbą i szybkim, brutalnym ruchem wyrwał Rachelę matce. A potem zabrał ją do koła maluchów i znów kazano im tańczyć... Nie rozumiały. Płakały. Tak strasznie płakały i krzyczały. Niemcom po chwili znudziła się zabawa, która zmieniła się w jedną wielką dziecięcą histerię. Zastrzelili wszystkie dzieci z karabinu maszynowego. Do ostatniej chwili patrzyły sobie w oczy. Cały czas, jakby ktoś je zaczarował.

Odwróciłem się i zwymiotowałem do umywalki. Poczulem pustkę. Straszliwą pustkę. Osunąłem się na podłogę. Trząsałem się. Sąsiadka przypadła do mnie i klepała mnie po policzku.

– Panie Danielu! – wołała, wymierzając mi razy. – Danielu!

Ocknąłem się, a wraz z przytomnością wrócił obraz matki i córki wpatrujących się w siebie tym doskonale znanym mi wzrokiem, pośród makabrycznego tańca niewinnych.

– Zawołać kogoś? – spytała poczciwa kobieta.

Pokręciłem głową. Nie pamiętałem słów, ale musiałem wiedzieć wszystko.

– Moja żona? – wychrypiałem.

– Nie wiem, co się z nią stało – wyznała sąsiadka, spuszczając wzrok. – Gdy zaczęli strzelać, zamknęłam oczy. Kiedy zapadła cisza, rozejrzałam się wokoło, ale już jej nie było.

Skinąłem jej głowę w podziękowaniu bez słów i wyszedłem z umywalni. Poszedłem prosto do gabinetu lekarskiego i wyciągnąłem z sejfu zamkniętego na klucz cały, niezbyt duży, zapas morfiny. Wróciłem do domu, w którym każdy centymetr kwadratowy nosił znamiona ich obecności. To było nie do wytrzymania. Zacisnąłem gumową rurkę na ramieniu, wypuściłem powietrze ze strzykawki i zaaplikowałem sobie drogocenny lek mogący skrócić cierpienie któregoś z moich pacjentów. Ja jednak potrzebowałem zniknąć. Po działało. Piętnaście minut później pogrążyłem się na kilka dni w narkotycznych wizjach, śnionych na jawie. W euforii i błogości zapomniałem o wszystkim, odłączony od świata zewnętrznego.

A potem skończyła się morfina.

Kolejne dni spędziłem w domu, wyjąc i dygocząc pod kołdrą. Oddychałem z trudem. Kaszlałem. Sąsiedzi nie zaglądali do mnie przekonani, że zaraziłem się od pacjentów, zapadłem na jakąś zakaźną chorobę. Trawiła mnie gorączka, nawiedzały urojenia. Pod wpływem morfiny wydawały się fantastycznie kolorowe i piękne, teraz zaś wypełniły się szpetnymi postaciami, które szeptały coś nad moją głowę, syczały, wiły się i zanosily histerycznym śmiechem.

One ani razu nie pojawiły się w moich majakach. Podczas odtrucia widywałem w snach tylko cienie, wiedziałem, że należą do nich, ale ich samych nie mogłem dostrzec. To, że nie mogłem ich tak po prostu zobaczyć, nawet we śnie, potęgowało tylko moje przerażenie.

Po kilku dniach wstałem z łóżka. Odwodniony i osłabiony zmieniłem koszulę i poczłapałem do szpitala. Najprościej byłoby wspiąć się na parapet okna i zakończyć to wszystko, ale byłem tchórzem, zabrakło mi odwagi. Poza tym wraz z poprawą zdrowia, gdy odsunąłem się na bezpieczną odległość od krawędzi śmierci lub obłądzenia, zrodziła się w moim sercu niezłomna wiara, że moja żona żyje.

Mojego szpitala już nie było. Parę dni wcześniej zabrano wszystkich pacjentów i lekarzy na Umschlagplatz. W niedługim czasie udało mi się znów stanąć za stołem, w prowizorycznym szpitalu urządzonym w jednej z kamienic. Oficjalnie zatrudniony byłem przy zwózce trupów z ulic. Było mi obojętne, co robiłem, musiałem tylko pozostać w getcie. Czekałem na nią. Czekałem

codziennie od świtu do zmroku. Czekałem na jawie i we śnie. Czekanie wsączyło się w moją krew, wypełniało każdy oddech, na wskroś przenikało pory skóry. Kolejne wydarzenia zapisywały się pomiędzy kartami historii ludzkości, a ja czekałem i leczyłem ludzi, choć wobec niedostatku leków, narzędzi i środków opatrunkowych to, co robiłem ograniczało się w zasadzie do wykonywania podstawowych czynności pielęgnacyjnych. Były to raczej próby przywrócenia odrobiny godności i poczucia człowieczeństwa ludziom, których z niepojętych przyczyn ideologicznych uznano za niegodnych miana człowieka.

Gdy wybuchło powstanie, nie dołączyłem do walczących, choć wielu miało o to do mnie żal. Jak już mówiłem, byłem i jestem tchórzem. Nigdy nie potrafiłem walczyć. Brzydziłem się przemocą, gwałtem, bezprawiem. Wiedziałem, że nie potrafiłbym zabić człowieka, nawet Niemca, nawet tego, który odebrał życie Racheli. Jestem lekarzem, niewolnikiem i sługą życia. Zbyt wiele razy widziałem śmierć, by cokolwiek mogło mnie usprawiedliwić w roli kata.

W moim domu rodzinnym, na ścianie w gabinecie ojca, wisiała rycina z łacińskim tekstem przysięgi Hipokratesa. Jedno zdanie wyryło się szczególnie w mojej pamięci, być może dlatego, że było wypisane innym kolorem, jakby dla podkreślenia jego wagi.

– *W czystości i niewinności zachowam życie swoje i sztukę swoją* – przeczytał ojciec, gdy poprosiłem go, by przetłumaczył mi wyróżnione zdanie. – Jeśli nie wryjesz sobie tego zdania w duszy, rozumie i sercu, nie powinieneś nawet myśleć o zawodzie lekarza.

Nie, nie potrafiłbym zabić. I bałem się, choć nie tyle utraty życia, ile tego, że mógłbym już nigdy więcej nie ujrzeć jej twarzy. Chciałem żyć, żeby choć raz jeszcze ją zobaczyć. Uciekłem więc jak szczur.

Z niezrozumiałych dla mnie powodów, wszak od zawsze byłem właściwie niewierzący, Bóg postanowił, że mam żyć dalej. Inaczej nie potrafię wytłumaczyć tego, że udało mi się przetrwać miesiąc walk w getcie. Zszedłem do kanałów. Nie było to najbezpieczniejsze rozwiązanie, bo Niemcy często wpuszczali tam gazy trujące, ale nie miałem lepszego pomysłu. Znalazłem jakąś nieckę i tam trwałem, żywiąc się sucharami, które miałem w worku. Siedziałem w ciemnościach. Piłem jedynie wodę skraplającą się na ścianach, ponie-

waż wiedziałem, że nie wolno pić tej z kanału. Przeważnie spałem. Ciekawe, jak dużo snu potrzebuje do egzystencji ludzki organizm, gdy pozbawi się go światła i dostarcza jedynie odrobinę wody i pożywienia. W krótkich chwilach przytomności udawałem, że przeprowadzam operacje. Przypominałem sobie szwy, układy narządów w ciele człowieka, powtarzałem na głos łacińskie nazwy wszystkich kości. Diagnozowałem wyimaginowanych pacjentów. Objąśniałem im przyczyny ich dolegliwości po polsku i po francusku. Przed wojną biegle posługiwałem się także niemieckim i jidysz, ale słowa w żadnym z tych języków nie przechodziły mi teraz przez gardło. Pierwszy, z języka nauki stał się dla mnie językiem zabijania, drugi zaś językiem tych, którzy pomarli.

Czasem wyobrażałem sobie, że jem coś pysznego. Czułem w ustach smak potraw, a moje nozdrza wypełniały się wspaniałym zapachem pieczonej gęsi czy smażonych latkes. Robiło mi się cieplej, a i głód stawał się bardziej znosny. Wyobrażnia to potężna siła.

Straciłem poczucie czasu. Godziny, dni, dzień i noc – wszystko zlewało mi się w jedno. Nie docierały do mnie żadne informacje. Nikt nie wiedział o mojej kryjówce, a ja wciąż jeszcze miałem dość pożywienia, by się z niej nie ruszać.

Aż pewnego dnia zadrżała ziemia. Rozkruszone drobinki spoiwa posypały się ze stropu, a na wodzie w kanale utworzyły się drobne fale. Natychmiast przypomniałem sobie słowa z *Księgi Rodzaju* o zniszczeniu Sodomy i Gomory. Choć nie byłem wierzący, owładnęło mną dziwne przekonanie, że oto nadszedł czas zemsty, gniewu Bożego. Bardziej zaciekawiony niż przestraszony wyszedłem na zewnątrz. To, co zobaczyłem, przekroczyło wszystkie moje wyobrażenia o apokalipsie. Ujrzałem wielką, rdzawą kulę ognia, lśniąca złowieszczo na tle różowego, wiosennego nieba. Był to widok oszalamiający i przerażający, lecz zarazem nieludzko piękny. Stałem onieśmielony, trwając w zachwyceniu.

Później dowiedziałem się, że wszystko to działo się szesnastego maja, kwadrans po dwudziestej, gdy Jurgen Stroop osobiście wysadził Wielką Synagogę na Tłomackiem. Podłożenie ładunków pod solidną, monumentalną konstrukcję zajęło hitlerowcom dziesięć dni. Trzeba było się porządnie natrudzić, żeby

umożliwić wysadzenie całości za jednym razem. Saperzy zostali pewnie solidnie wynagrodzeni, gdyż Stroopowi, głównodowodzącemu akcją ostatecznej likwidacji getta, wielce podobało się barbarzyńskie widowisko, które zaprojektował. Miał ponoć powiedzieć, że była to: *Bajeczna feeria kolorów. Niezapomniana alegoria triumfu nad żydostwem*. A po chwili dodał ze swoistą melancholią mordercy, który właśnie odebrał życie ofierze: *Getto warszawskie skończyło swój żywot, bo tak chciał Adolf Hitler i Heinrich Himmler*. Nie mogłem się z nim nie zgodzić. To był najpiękniejszy, najbardziej malowniczy i najsmutniejszy w swoim przekazie widok w moim życiu.

Spędziłem w kanałach ponad miesiąc. Wyszedłem, by być świadkiem upadku doskonałości, triumfu wandalizmu i zdziczenia. Wyszedłem z kanałów tylko po to, by zaraz znów powrócić do getta, będącego teraz jednym wielkim cmentarzyskiem. Nadal nie potrafiłem oddalić się stamtąd, choć dawna dzielnica żydowska, niegdyś tętniąca życiem, była teraz pustkowie, bezmiarem dogasających zgliszczy.

Ukrywałem się w ruinach przez wiele dni. Człowiek mieszkający na cmentarzu szybko gubi się pomiędzy światami. Z każdego kąta wyzieraają ku niemu duchy zmarłych, niektórych znanych, innych bezimiennych. Wszyscy kiedyś mieli marzenia, kochali, nienawidzili, snuli plany, rodzili dzieci i umierali, choć śmierć dla żyjących jest zawsze rodzajem abstrakcji. Nikt do końca nie wierzy, że ten świat może istnieć bez niego, że gdy w jego piersi serce się zatrzyma, a powietrze rozedmie płuca w ostatnim oddechu, zgaśnie tylko on, a wszechświat będzie istniał, czas będzie płynął, kwiaty będą kwitły jak jeszcze wczoraj, gdy żył.

Pewnego dnia poczułem, że się duszę. Ponad kalekami budynkami getta rozciągał się błękit letniego nieba. Słońce świeciło jasno, rzucając świeże, radosne błyski wiosny na morze ruin, które od prawie roku dawało mi schronienie. Musiałem wyjść. Nie myślałem o Niemcach, o rodakach denuncjujących tych, którzy byli innego wyznania. Ten jeden jedyny raz nie myślałem nawet o niej. Cała moja świadomość skupiła się na jednym jedynym pragnieniu. Chciałem wyjść z ruin i pójść do parku. Położyć się w świeżej, zielonej trawie z twarzą zwróconą ku słońcu, zasłuchać się w brzęczenie pszczoł, pozwolić,

by mrówki oblażyły całe moje ciało. Zbyt długo otaczały mnie cienie i śmierć. Musiałem poczuć życie.

Przypomniałem sobie, jak wędrując wcześniej korytarzami spalonych piwnic w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia, dotarłem do sutereny, w której po przesiedleniu do getta musiał mieszkać ktoś zamożny. Oczywiście, była splądrowana i ograbiona, lecz wśród stert walających się w niej śmieci znalazłem nadpalone książki. Spędziłem tam wiele godzin, czytając historie bez początku lub końca, a potem nocami śniłem to, czego nie mogłem doczytać. Przykrywałem się wówczas kawałkiem miękkiej wełny, który przypominał męską marynarkę. Wychodząc pewnego popołudnia, zostawiłem ją tam, licząc, że jeszcze tu wrócę. Ale z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu nie wróciłem.

Teraz więc czym prędzej udałem się do sutereny, modląc się w duchu, żeby nikt nie zabrał strzępu materiału, który nagle wydał mi się bezcenną szatą. Moja szansa na dalsze życie, na zaczerpnięcie oddechu z dała od woni śmierci, wydała mi się uzależniona od tamtego skrawka wełny. Zagrożenia świata zewnętrznego nie istniały, było jedynie palące pragnienie odnalezienia ubrania. Niekiedy, by przeżyć, człowiek czepia się zupełnie irracjonalnej myśli.

Wiedziałem, że oprócz mnie w ruinach getta mieszkają jeszcze inni ludzie. Byliśmy jak pająki pojawiające się i znikające nie wiadomo kiedy i skąd. Nie szukałem kontaktu. Nie chciałem przynależeć do tej wspólnoty żyjących umarłych. Doskonale pamiętałem praktyki, które odbywałem przed wojną w schroniskach dla bezdomnych. Poczucie wspólnoty może umocnić człowieka, dać mu poczucie bezpieczeństwa, może go jednak także ciągnąć w dół, konsekwentnie, coraz niżej i niżej, jak miało to miejsce w przytułkach i noclegowniach. Nadchodził dzień, gdy człowiek wessany w pustkę, bezradność, tracił wolę życia, zainteresowanie własnym losem i nie chciał już odchodzić. Przekonany, że jest w miejscu, z którego nie ma ucieczki, zapadał w swoisty sen. Uzyskiwał względny poziom komfortu i pozostawał uśpiony we własnym życiu, skupiając niezbędne minimum uwagi na utrzymaniu takiego stanu rzeczy. A ja musiałem zachować namiastkę woli walki. Wszak musiałem odnaleźć żonę, nie mogłem sobie pozwolić na owo uśpienie, przynajmniej tak

przekonywałem samego siebie. Jakaś nieświadomiona siła we mnie podtrzymywała więc pragnienie odrębnego życia, choćby nawet miało być takie jak ich. Nie chciałem się przyznać. Udawałem przed samym sobą, że nie jestem taki jak oni.

Tamtego dnia przełożyłem nogę przez wyłom w murze. Nikt mnie nie zatrzymał. Tak zwyczajnie przeszedłem na aryjską stronę i szedłem, po prostu szedłem.

– Panie doktorze, panie doktorze – usłyszałem nagle za sobą czyjeś wołanie.

Wzdrygnąłem się. Nie chciałem być rozpoznany, nie mogłem być rozpoznany. Nadzieja była wbrew logice. Ludzki strzęp, którym byłem teraz, w niczym nie przypominał Daniela. A więc czemu ten ktoś mnie woła? A może woła każdego, w kim rozpozna tego, kto uciekł samej śmierci? Ogarnęła mnie panika. Chciałem tylko wrócić do piwnic, w podziemia ruin getta. Niedaleko zauważyłem włącz do kanału. Przyspieszyłem kroku. Każda chwila przybliżała mnie do objęć ciemnych, zimnych tuneli, które teraz wydawały mi się tak bezpieczne. Nikt by mnie tam nie znalazł, nie rozpoznał. Oddychałem coraz ciężiej, nogi odwykłe od wysiłku zdawały się dziwnie odrętwiały. Nieświadomie zacząłem machać rękami, żeby sobie pomóc, odpychając ciało od powietrza.

– Panie doktorze, proszę zaczekać – głos przybliżał się szybko, biegł, a ja czułem paraliżujący strach.

Walczyłem z pragnieniem ucieczki. Coś jednak odezwało się we mnie, coś nakazało mi odwrócić się, mimo sprzeciwu woli. Miedzianowłosa dziewczyna dobiegła do mnie i chwyciła za przedramię, jakby wyczuła, że chcę uciec. Oparła się o mnie mocno, tak mocno, że aż się zachwiałem. Była drobna, ale ja byłem wrakiem człowieka, szkieletem obleczonym skórą. Pochyliła się do przodu, z trudem łapiąc powietrze. Po chwili wyprostowała się i stanęła naprzeciwko mnie.

– Panie doktorze, to naprawdę pan! – wykrzyknęła i uśmiechnęła się szeroko. – Ach, wiedziałam, wiedziałam! Zawsze tak śmiesznie machał pan rękami podczas nocnych obchodów.

Znałem ten głos, okrągłe policzki z kropeczkami dołeczków i zielonkawę oczy lśniąca dziecięcą radością.

– Panna Irenka? – moje wargi same ułożyły się w imię młodej pielęgniarki, z którą pracowałem na oddziale przed wojną. Czasy, gdy się kolegowaliśmy, wydawały mi się tak odległe, jakby nigdy nie istniały.

Mój głos drżał i był ledwie słyszalny, ale oczy dziewczyny rozbłysły nagle. Tak bardzo ucieszyła się, że ją rozpoznałem. Teraz przypominałem sobie, że kiedyś darzyliśmy się dużą serdecznością. Jak dziwnie wolno wraca świadomość i wspomnienia do głodnego, wymęczonego ciała.

– Już nie panna – zaśmiała się tymczasem Irenka i wysunęła w moją stronę dłoń, na której serdecznym palcu lśniła cieniuteńka obrączka.

Jej swobodny, naturalny, dziewczęcy śmiech sprawił mi ogromną przyjemność. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz słyszałem, żeby ktoś tak się śmiał.

– Gratuluję – odpowiedziałem uprzejmie.

Irenka spojrzała na swoją dłoń z wyraźną przyjemnością, po chwili jednak spoważniała, jakby przypominała sobie o mojej obecności. Nie chciałem nawet zastanawiać się nad tym, jak wyglądam w jej oczach. Byłem pewien, że w niczym nie przypominam utalentowanego chirurga, którego niegdyś znała.

– Panie doktorze... – zaczęła poważnie, ścisząc głos. – Czy nie potrzebuje pan pomocy?

W pierwszym bezmyślnym odruchu chciałem odpowiedzieć, że nie, że bardzo dziękuję, że niczego mi nie trzeba i mam się dobrze, ale nagle coś urosło mi w głębi gardła i nic już nie mogłem powiedzieć. Po tylu dniach głodu, samotności i lęku, spotkanie osoby będącej wspomnieniem mojego dawnego życia okazało się zbyt bolesne. Czułem lzy płynące po moich zapadłych policzkach. Było mi wstyd, ale nie chciałem ich powstrzymywać. Były świadectwem, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, nadal tliło się we mnie życie.

Irenka milczała. Długo staliśmy tak, nic nie mówiąc, skryci w cieniu kamienicy pozbawionej górnych pięter. Wreszcie lzy obeschły. Irenka ujęła mnie pod ramię.

– Pomogę panu, doktorze – stwierdziła po prostu, jakby to było coś najbardziej oczywistego na świecie. A potem popadła w zamyślenie.

Patrzyłem, jak na jej piegowatym, lekko zadartym nosie pojawia się zmarszczka. Znałem ten wyraz twarzy. Znów powróciły wspomnienia.

Była noc. Staliśmy na korytarzu, świeżo wymyta podłoga lśniła, wszędzie wokół unosił się charakterystyczny dla wszystkich szpitali świata zapach czystości, a my rozprawialiśmy o pacjencie, którego trawiła gorączka. Próbowaliśmy już wszystkiego, a mimo to nie chciała go opuścić. Cały oddział po cichutku śmiał się z uwielbienia, jakim pacjent obdarzał pannę Irenkę, a i ona zdawała się go lubić. Gdy tamtego wieczoru z troską zastanawiała się, jak ulżyć mu w cierpieniu, na jej nosie pokazała się taka sama zmarszczka. Chłopak zmarł nad ranem. Irenka przepłakała wiele godzin. Później zawsze miałem wrażenie, że ma do mnie żal, że nie zdołałem go uratować. A może było to tylko złudzenie wywołane przez moje wyrzuty sumienia?

– Już wiem! – wykrzyknęła Irenka, wyrywając mnie z ponurych wspomnień.

Spojrzałem na nią. Obraz spod powiek nałożył się na ten rzeczywisty. Już nie była dziewczyną, lecz kobietą, ale ani dojrzałość, ani małżeństwo, ani wojna nie zdołały zgasić w niej czaru podlotka. Klasnęła w dłonie, ucieszona własnym pomysłem, a ja uśmiechnąłem się na ten widok. Jej prostota i bezinteresowna radość ze spotkania z kimś, kto był nikim, była doprawdy poruszająca.

– Jeśli się pan zgodzi, panie doktorze, zaprowadzę pana do mojej ciotki, tu niedaleko, na Starówkę – oznajmiła. – Ciotka to dobry człowiek, nic panu nie grozi, panie doktorze – dodała pospiesznie, widząc moje spłoszenie. – Zostanie pan tam na parę godzin, a ja w tym czasie znajdę dla pana bezpieczną kryjówkę. Być może uda nam się załatwić panu doktorowi mieszkanie jeszcze dziś przed godziną policyjną.

Nie spytałem, kogo miała na myśli, mówiąc „nam”. Pozwoliłem się jej prowadzić. Byłem bezwolny jak małe dziecko i jak ono posłuszny, gdy Irenka szeptem nakazywała mi prostować plecy i unosić wysoko głowę, kiedy z naprzeciwka nadchodzili Niemcy lub granatowi policjanci. W pierwszym odruchu miałem ochotę się schować, krzyczeć, uciekać, ale Irenka mocno zaciskała palce na moim przedramieniu.

– Spokojnie, spokojnie. Tym co przede wszystkim zdradza ukrywających się Żydów nie jest wygląd zewnętrzny, a strach – szeptała cicho. – Wszyscy są zmizerniali, wyniszczeni i obdarci. Jeśli nie będzie pan okazywał strachu, nikt nie zwróci na nas uwagi. Najważniejsze to patrzeć ludziom w oczy i prostować plecy. Spokojnie, to już tu, za rogiem. Wszystko będzie dobrze.

Uchwyciłem się tej myśli, wiotkiej niczym babie lato.

1944

1.

– Wszystko w porządku, pani dyrektorowo – powiedział Daniel, zamykając z trzaskiem torbę. – Proszę tylko leżeć i nie wstawać, jeśli nie będzie to konieczne. Urodzenie dziecka w pani wieku jest większym wysiłkiem dla organizmu. Proszę się nie przepracowywać, karmić malutką i pozwalać domownikom dbać o siebie.

Antonina uśmiechnęła się najpierw do doktora, a potem do śpiącej obok córeczki.

– Postaram się przyjść znów za parę dni, o ile... – zawiesił głos i spojrzał jej porozumiewawczo w oczy.

Żabińska skinęła głową.

Od kilku tygodni miasto musowało niczym woda sodowa w butelce potrząsanej wydarzeniami. Od wschodu do Warszawy zbliżali się Rosjanie. W dusze mieszkańców stolicy wstąpiła nadzieja. Nigdy wcześniej w czasie blisko pięciu ciemnych lat okupacji szansa na odzyskanie wolności nie nabrała tak wyraźnych kształtów. Od połowy lipca Niemców ogarnęła dziwna gorączka. Najpierw cywilna ludność niemiecka spakowała swoje majątki i w popłochu opuściła stolicę. W ślad za nimi ruszyli volksdeutsche. Wkrótce i wśród żołnierzy dało się dostrzec poruszenie. Dwudziestego trzeciego i dwudziestego czwartego lipca ewakuacja armii niemieckiej przybrała rozmiary tak ogromne, że nie dałoby się już jej ukryć, w żaden sposób zakamuflować, nawet gdyby ktoś chciał to zrobić. Niemcy jednak zdawali się już w ogóle nie myśleć o zachowywaniu jakichkolwiek pozorów.

– Czyżby panika? Czyżby odwrót? – zastanawiali się warszawiacy, patrząc na kolumny niemieckich ciężarówek wojskowych wyjeżdżających z miasta. –

Czy uciekają przed Rosjanami?

Zaczęto też szeptać o powstaniu. Niby nikt nie mówił o niczym głośno, nie zapadły żadne decyzje, nie wydano rozkazów, nie wystosowano odezw do ludności cywilnej, a jednak choćby i mglista możliwość podjęcia walki ze zniechęconym okupantem ożywiała warszawiaków. Powszechnie wiadomo było tylko tyle, że Armia Krajowa miała zamiar opanować stolicę przed wejściem Armii Czerwonej. W jaki sposób, przy użyciu jakich sił i broni, a nade wszystko, kiedy? Te pytania wciąż pozostawały bez odpowiedzi w tych ostatnich dniach lipca.

Żabińska wiedziała od Jana, że doktor Daniel Kwiatkowski jest członkiem konspiracji służb medycznych Polskiego Państwa Podziemnego. Można z nim było mówić otwarcie.

– Dziękuję, panie doktorze – odparła. – Choć mam nadzieję, że do tego czasu zdążę już wyzdrowieć i może na coś się przydać – dodała pogodnie.

– I ja mam taką nadzieję – odpowiedział doktor, po czym uśmiechnęli się do siebie, wymieniając konfidencjonalne spojrzenia ludzi oddanych tej samej idei. – Tymczasem muszę się pożegnać. Pacjenci czekają.

Daniel wstał, podniósł kapelusz i odwrócił się w stronę drzwi. Postąpił krok naprzód, spojrzął w okno i zamarł w bezruchu.

Podcięte i ufarbowane włosy miała ułożone w zgrabne loczki. Fryzura była bardzo szykowna, dodawała jej powabu. Jej kształty zaokrągliły się nieco od chwili, gdy widział ją po raz ostatni. Twarz, niegdyś tak blada, teraz była opalona na rumiano. Zaszła jeszcze jakaś zmiana. Dostrzegął to wyraźnie, choć nie potrafił zdefiniować. Było to coś nieuchwytnego, jakby wewnętrzny blask, którym zdawała się promieniować. Jednak mimo tej zmiany tylko przydającej jej uroku, o pomyłce nie mogło być mowy. Ten krok – jakby nie szła, a płynęła na puentach – Daniel poznałby wszędzie. To była ona.

– Ada... – powiedział bezgłośnie, bo wzruszenie odebrało mu mowę.

Rzucił się do okna. Przywarł do szyby. Trzęsącymi się rękoma próbował odnaleźć klamkę, by rozewrzeć okiennice, przymknięte, by nie wpuszczać do środka gorącego powietrza z zewnątrz. Wziął wdech, chciał zawołać Adę, lecz naraz zachwiał się i oparł czoło o szybę.

– Panie doktorze, dobrze się pan czuje? – zapytała zaniepokojona pacjentka, ale Daniel jej nie słyszał. – Panie doktorze?

Wpatrywał się w uchylone drzwi stojącej w ogrodzie budki, na której tyłach rozciągała się ferma drogocennych norek i lisów. To tam weszła. Patrzył, jak podchodzi coraz bliżej i bliżej do stojącego w głębi mężczyzny, przystojnego, wysokiego blondyna, ubranego w płócienną koszulę pokrytą mokrymi plamami potu i kraciastą czapkę. Na jej widok mężczyzna odrzucił widły, którymi przerzucał siano i porwał ją w objęcia. Po chwili zatonęli w pocałunku. Kraciasta czapka spadła na ziemię. Ada była tak drobna, że niemal ginęła w ogromnych ramionach nieznajomego.

Żabińska stanęła za jego plecami.

– Zna ją pan? – zapytała szybko.

Daniel skinął głową, wciąż wpatrzony w całującą się parę.

– To Ada – szepnął. – Ada Kleinmann.

– Ach, panie doktorze, cóż to za wspianiały zbieg okoliczności. Tak, tak, to by się zgadzało. Mówiła nam, że ma na imię Ada – perorowała wyraźnie rozentuzjasmowana Antonina. – Jak to dobrze, że ją pan rozpoznał, panie doktorze. Już straciliśmy nadzieję, że kiedykolwiek dowiemy się o niej czegoś więcej. Bo widzi pan, Ada...

Nie pozwolił jej wyjaśnić, sam dokończył.

– To moja żona.

– Nie rozumiem... – szepnęła Żabińska.

– Ada Kleinmann, urodzona w Warszawie w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku – odparł, nie spuszczać oka z rozgrywającej się za oknem sceny. – Kwiatkowski to fałszywe nazwisko. Żydzi nie są zbyt mile widziani w ostatnim czasie. Naprawdę nazywam się Daniel Kleinmann i od tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku jestem jej mężem.

Dyrektorowa opadła na pobliskie krzesło i miarowym, spokojnym głosem opowiedziała Danielowi wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy przed dwoma laty Jan przywiózł Adę z getta do ich domu.

– Ona nie jest niczemu winna – zakończyła opowieść. – Niczego nie pamięta. Najpierw była pewna, że Piotr... że to on jest jej mężem. Potem jakoś

chyba zdołał jej wytłumaczyć, że nim nie jest, ale ona już zdążyła się w nim zakochać. Z wzajemnością. Ta sprawa wymaga wielkiej delikatności. Proszę mi wierzyć, panie doktorze, poza swoim imieniem nie pamięta niczego. Nie wie, kim była niegdyś. Jan podejrzewa, że musiało się jej przydarzyć coś strasznego, coś, co spowodowało utratę pamięci. Mówił mi, że opisano gdzieś podobne zjawisko występujące u naczelnych. Małpy, które przeżyły wstrząs, traciły pamięć. Nie rozpoznawały nikogo, nawet członków swojego stada, potrafiły okazywać wrogość własnemu potomstwu.

Daniel przypomniał sobie, że sam czytał kiedyś o przypadkach utraty pamięci przez ludzi, ale traktował je bardziej jak osobliwości medycyny niż realne jednostki chorobowe.

– Muszę się z nią zobaczyć – oświadczył. – Na pewno wszystko sobie przypomni, gdy mnie zobaczy.

Antonina wiedziała, że nie zdoła go powstrzymać. Na jego miejscu zachowałyby się tak samo. Musiał osobiście przekonać się o niepamięci żony. I choć była też pewna, że czeka go jedynie wielce bolesny zawód, spuściła głowę i rzekła cicho:

– Dobrze.

Następnie z trudem, gdyż wypadki tego popołudnia wyczerpały jej i tak mocno nadwątlone siły, wstała z krzesła i podeszła do drzwi.

– Rysiu! – zawołała w głąb korytarza. – Rysiu! Chodź tu prędko!

Po chwili do sypialni wbiegł chłopiec, może dwunastoletni.

– Wołałaś mnie, mamó? Bawiłem się z Frankiem, bo Ada... – umilkł gwałtownie, dostrzegłszy obcego mężczyznę za plecami matki.

– Już dobrze, Rysiu, wszystko w porządku. To doktor Kwiatkowski. Przyszedł mnie zbadać – uspokoiła syna Antonina. – A teraz, proszę, idź prędko na podwórko i zawołaj Adę. Powiedz, że to pilne. Tylko nie krzycz na cały dom, dyskretnie.

Chłopiec skinął głową i nie spytawszy o nic więcej, wybiegł na podwórze.

– Franek? – spytał Daniel ochryplym z emocji głosem, gdy za Rysiem zamknęły się drzwi. – Czy to...?

– Tak, to syn Ady – przytaknęła. A po chwili wahania dodała: – Pański syn.

Antonina ukradkiem przypatrywała się jego reakcji, ale ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Daniela. Patrzył przez okno. Podążyła za jego wzrokiem. W milczeniu obserwowali, jak Ryś spokojnym krokiem przechodzi przez podwórze. Włożył ręce do kieszeni, pogwizdywał, a potem, rozejrzawszy się szybko, powiedział coś do kobiety, nawet na nią nie patrząc, niczym urodzony konspirator, i poszedł dalej. Ada i Piotr wymienili zaniepokojone spojrzenia. Mężczyzna chciał iść z nią, ale powstrzymała go ruchem ręki i sama ruszyła w stronę willi. Wkrótce usłyszeli skrzypnięcie drzwi, lekkie kroki w sieni, a potem ciche stukanie na schodach. Daniel miał wrażenie, jakby łomot jego serca zlewał się w jedno z odgłosem jej kroków.

– Proszę pozwolić mi mówić – szepnęła Antonina. – Musi mi pan zaufać. Nie chce jej pan przecież przestraszyć, prawda?

Daniel skinął głową. Targały nim gwałtowne emocje, ale ze wszystkich sił starał się opanować.

Rozległo się pukanie i klamka opadła pod naciskiem czyjejś dłoni.

Ada weszła do pokoju. Daniel stał jak skamieniały. Nie mógł uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Tyle lat czekał na tę chwilę. Wszyscy zwątpili, ale on nigdy nie stracił wiary w to, że pewnego dnia ją odnajdzie, że będą znów razem. Ada żyła i stała teraz przed nim piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Oczy zaszły mu mgłą, skronie pulsowały. Nie pamiętał już o tym, co widział przed chwilą. Nic się nie liczyło, nic nie było już ważne, skoro była ona. Chciał krzyczeć z radości, porwać ją w ramiona, zasypać pocałunkami. Wiedziony tym pragnieniem postąpił krok naprzód, ale w tym samym momencie dyrektorka Żabińska wstała i zagroziła mu drogę. Odwróciła się do niego przodem i pokręciła głową, po czym przysiadła na skraju łóżka. Ada rzuciła się do przodu, by ułożyć jej poduszki pod plecami.

– Wołała mnie pani, Puniu? – spytała, skończywszy.

– Tak, moje dziecko. Doktor...

– Och, przepraszam, nie zauważyłam pana, doktorze – powiedziała dziewczyna, wyraźnie zawstydzona swoim brakiem manier. – Proszę mi wybaczyć. Dzień dobry!

To mówiąc, zwróciła się w jego stronę. Ich oczy się spotkały. Daniel czuł, jak wzbiera w nim kolejna fala radości. Ale w następnej sekundzie wszystko zamarło. Jej oczy były obojętne, widziała w nim obcego człowieka. Nie rozpoznawała go. Zabrakło mu tchu. Dusił się. Gwałtownie poluzował kołnierz koszuli.

– Dobrze się pan czuje, doktorze? – spytała dziewczyna z troską. – Okropny dziś gorąc. Może podać panu wodę?

Daniel poczuł, że musi wyjść. Natychmiast. Wybiegł z sypialni bez słowa pożegnania.

– Zostawił kapelusz – stwierdziła Ada. – Cóż to za dziwny człowiek. Wzywała mnie pani, Puniu. Jak mogę pomóc?

Żabińska nie odezwała się. Patrzyła w pustą ramę drzwi i czuła nieznośny ciężar opadający jej na pierś.

– Już nic, moja złota. Już nic – odpowiedziała po chwili. – Muszę teraz odpocząć. Jestem bardzo, bardzo zmęczona.

Ada wyszła, kręcąc głową ze zdumienia. Tego dnia jej zdaniem willa w pełni zasługiwała na swoje przybrane imię. Wszystko było tu zupełnie zwariowane. A może to ten nieznośny upał tak mieszał ludziom w głowach?

2.

Od dawna wyczekiwana godzina wybiła. Oddziały Armii Krajowej walczą z najeżdżącą niemieckim... – Rysio czytał na głos odezwę władz powstańczych opublikowaną w „Biuletynie Informacyjnym”.

Siedzieli w jadalni. Wszyscy razem, jak to mają w zwyczaju ludzie i zwierzęta, gdy ogarnia ich niepokój. Wolą te chwile przeżywać wspólnie, licząc, że w razie niebezpieczeństwa łatwiej będzie obronić się w stadzie niż w pojedynkę. Słuchając Rysia, Ada głaskała Franka, który usnął z głową wspartą na jej kolanach. Antonina karmiła Tereskę i uśmiechała się błogo, zasłuchana w melodyjny głos syna, który powoli przestawał być dzieckiem, a stawał się młodzieńcem. Wojna sprawiła, że jego dzieciństwo umknęło o wiele za szybko, prędko zaczął dojrzewać. Matka Jana, która od pewnego czasu mieszkała z nimi, drzemała w bujanym fotelu, okryta narzutą wyszydełkowaną w zimie, wspólnie z Adą. Z początku burzyła się na dobór kolorów, Ada uwielbiała bowiem intensywne słoneczne barwy, ale gdy nakrycie było już gotowe, zmieniła zdanie i prędko przywłaszczyła sobie ich wspólne dzieło.

Od wczorajszego, wtorkowego popołudnia, pierwszego sierpnia, stolica walczyła, ale tu, w jadalni Willi pod Zwariowaną Gwiazdą, było cicho i sennie, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Głos Rysia zlewał się z miarowym cykaniem zegara i pochrapywaniem babci. Pohukiwania bomb, świst pocisków, pomruk walących się budynków, wszystkie odgłosy walczącej stolicy zbudzonej z okupacyjnego snu, mieszkańcom dawnego ogrodu zoologicznego wydawały się przynależać do innego świata.

Poprzedniego dnia przed śniadaniem na Ratuszową dotarła łączniczka z rozkazem, by Jan czym prędzej stawił się w punkcie zbornym swojego oddziału.

– Zacznie się? – spytał, nim jeszcze przeczytał meldunek.

– Dziś po południu – oznajmiła.

Wypiła na stojąco podaną przez Adę szklankę kompotu i zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Miała najwyżej piętnaście lat, długie warkocze i granatowy, szkolny beret na głowie.

Niecały kwadrans później Jan opuścił dom, zostawiając Antoninie blaszaną menażkę z nabitym pistoletem w środku.

– Obyś nie musiała go użyć – rzekł na pożegnanie.

Pocałował żonę i śpiącą wśród koronek córeczkę. Zszedł na dół, ucałował dłoń matki, zmierzwił włosy Rysia.

– Strzeż ich – rzucił, ściskając mocno dłoń Piotra, po czym dodał: – Są wszystkim, co mam.

W progu odwrócił się po raz ostatni. Rozejrzał się po domu, w którym każdy zakamarek, podłogowa klepka, mebel, ozdoba czy choćby fragment ściany zdawały się oddychać wspomnieniami dwunastu przeżytych tu lat. Szczęśliwego czasu wypełnionego ciepłem i miłością, których nawet wojna nie zdołała stłumić. Uśmiechnął się swoim melancholijnym, jakby nieco zmęczonym uśmiechem i wyszedł z domu.

Powstanie wybuchło o godzinie siedemnastej. Miasto znów rozbrzmiało odgłosem wystrzałów. Wyły syreny alarmowe. Ogłuszający huk wybuchów potwierdzał koniec okupacyjnej stagnacji. Polacy podnieśli głowy. Warszawa powstała.

Gdy tak siedzieli w senności letniego wieczoru przesiąkniętego zapachem rosnącej w donicach za oknem maciejki, był drugi sierpnia. Tuż po zmroku, gdy świat spowiła granatowa ciemność nocy, ktoś cicho zastukał do drzwi. Ada pospieszyła otworzyć. Chwilę później wprowadziła do salonu Daniela.

– Dzień dobry, doktorze Kwiatkowski. Cóż za miła niespodzianka – przywitała go Antonina. – Dawno pana u nas nie było.

Daniel skinął głową. Rozumiał grę, w którą nakazywała mu grać, wciąż nazywając go fałszywym nazwiskiem.

– Szpital spalony. Lekarze i cały personel zostali rozstrzelani. Spóźniłem się dziś do pracy i tylko to mnie uratowało – wyznał bez zająknięcia. – Nie

miałem dokąd pójść.

Antonina wiedziała, że to tylko część prawdy. Była niemal pewna, że wobec realnego zagrożenia życia, zaburzenia okupacyjnej rutyny, niepewności i nieświadomej kryjącej przyszłe wypadki, chciał być blisko żony i syna. Nie skomentowała tego jednak, tylko zaprowadziła go tunelem do opuszczonej skrytki w bażanciarńi. Wszyscy Goście, nawet tych kilkoro, którzy ukrywali się w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą przez dłuższy czas, zostali przeniesieni w bezpieczniejsze miejsca. W zoo pozostali Żabińscy wraz z matką Jana, Lisiarz, który doglądał fermy niemieckiej, Piotr, który oficjalnie był pomocnikiem Wróblewskiego, oraz Ada z Frankiem, udający daleką rodzinę Jana.

– Dlaczego nie przyszedł pan wcześniej? – spytała, gdy zostali sami.

– Musiałem spróbować zrozumieć... Poukładać to sobie w głowie. Jednak doszły mnie słuchy, że wkrótce ma wybuchnąć Powstanie, więc postanowiłem przedostać się na drugą stronę, nim zamkną mosty. Wystarałem się o przydział do jednostek Obwodu Praskiego, ale działania powstańcze na Pradze już w zasadzie się skończyły.

– Jak to?

– Za późno dostaliśmy rozkazy. Na prawym brzegu Wisły nic nie działo się tak, jak powinno. Mój oddział został przed godziną zwolniony do domów. Zdaliśmy broń i mamy pozostawać w konspiracji. Natychmiast przyszedłem tutaj... Muszę z nimi być.

Antonina skinęła głową.

– Może pan zostać u nas tak długo, jak to będzie konieczne. Proszę tylko, by pozostawał pan w ukryciu. Nie jest pan zgłoszony jako mieszkaniec willi, minie trochę czasu, zanim uda nam się, zwłaszcza w obecnych okolicznościach, zorganizować dla pana odpowiednie papiery. Proszę być ostrożnym.

Uznała, że wszystko zostało powiedziane, chciała wyjść, ale Daniel ją zatrzymał.

– Pani Antonino, ja muszę z nim porozmawiać.

Jej złe przeczucia się potwierdziły.

– On ma na imię Piotr – powiedziała. – Spodziewałam się, że będzie pan chciał z nim pomówić. Rano wyszedł po zapasy żywności dla lisiej fermy.

Wczoraj wyprawili się po nie na wieś z Lisiarzem, który ma własny wóz, konie i świetne papiery, ale o piętnastej wrócili z powrotem. Nawet ich policja nie wypuściła z miasta. Dziś rano Piotr uznał, że pójdzie pieszo i przyniesie część zapasów. Wziął plecak i wyszedł. Nie wiem, kiedy wróci. Ma pan jednak czas, żeby dobrze wszystko przemyśleć, i proszę pamiętać, że żadne z nich nie zrobiło nic złego. Piotr to dobry człowiek. Wiele w życiu przeszedł. Proszę... bardzo proszę, by był pan dla niego wyrozumiały.

Daniel nie odpowiedział, tylko powoli skinął głową. Jeden Bóg wiedział, jak wiele kosztowało go milczenie i powściągnięcie emocji.

3.

Piotr wrócił dopiero po dwóch tygodniach. Został zatrzymany przez przydrożny patrol. Kazali mu otworzyć plecak, a gdy okazało się, że jest wypełniony po brzegi obrzynkami mięsa, wydawali się tyleż zdziwieni, co zniesmaczeni. Mimo wszystko postanowili zabrać go ze sobą na posterunek, gdzie spędził kolejne dziesięć dni, czekając, by ktokolwiek zajął się jego sprawą. Nim wreszcie pojawił się wyższy rangą oficer i zgodził się go wypuścić, w sierpniowych upałach mięso dla lisów zdążyło już zgnić. Śmierdziało przeraźliwie. Rozchodzący się z plecaka po całym budynku smród był jedynym pocieszeniem Piotra w tych dniach. Wiedział, że Niemcy, służbiści i formalisci, nie wyrzucą rzeczy więźnia, tym bardziej jeśli został zatrzymany bez rozkazu i w zasadzie bez przyczyny. Z ulgą oddano mu cuchnący plecak i wypuszczono na wolność. Kolejne trzy dni szedł pieszo na Ratuszową, klucząc pomiędzy niemieckimi i rosyjskimi oddziałami wyraźnie polującymi w tych okolicach na siebie nawzajem.

Przez cały ten czas Daniel starał się pozostać niezauważony przez wszystkich, nawet przez Adę, którą sam obserwował często przez piwniczne okienko, jak szła do warzywnika wykopać kartofle czy zerwać pomidory.

Nie wiedział, że Piotr powrócił.

Pewnego wieczoru Żabińska, przysyłając mu przez Rysia kolację, poprosiła, by po posiłku przyszedł ją odwiedzić. Daniel od razu wiedział, po co go wzywa.

Ledwie zdążył usiąść na krześle w kącie pokoju, gdy rozległo się pukanie.

– Wejdz, Piotrze – poprosiła dyrektorowa, a z jej słów była dziwna powaga i dystans. – Usiądź, proszę.

Znali się zbyt długo, by Piotr od razu nie zwrócił uwagi na jej zachowanie. Ton głosu Antoniny natychmiast wzbudził jego czujność.

Szybkim spojrzeniem obrzucił młodego mężczyznę w brązowym, niedopasowanym garniturze siedzącego w kącie pokoju. Jediną ozdobą tej wymizowanej postaci były gęste, ciemne włosy. Twarz skrywał cień. Mężczyzna skubał niewidzialną nitkę kapelusza. Nie wstał, żeby się przywitać czy przedstawić. Zachowywał się tak, jakby nie tylko twarz, ale całego siebie starał się ukryć w cieniu. Nie wyglądał na niebezpiecznego, raczej na kogoś, kto sam czuje się zagrożony. Jak większość Gości, którzy tymczasowo rezydowali w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą, spoglądał nerwowo w stronę drzwi i uchylonego okna. Jak zaszczute zwierzę, jak ktoś, kto zbyt długo już ucieka.

Piotr spojrzał pytająco na Żabińską, ale ona zdawała się go nie dostrzegać i ponownie wskazała mu krzesło. W jej zachowaniu było coś niepokojącego.

Zupełnie jakby czegoś się bała... – pomyślał.

Udzielił mu się jej nastrój. Wyczuwał niebezpieczeństwo. Przysiadł na brzegu filcowej poduszki, na krześle obok mężczyzny, w pozie tyleż swobodnej, co umożliwiającej natychmiastowe zerwanie się do działania, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Piotrze, to jest doktor Daniel Kleinmann. – Antonina powoli, jakby z trudem, wymawiała słowa.

Piotr odwrócił się w stronę nieznanego i wyciągnął w jego kierunku dłoń w geście powitania. Tamten uściśnął ją i przytrzymał chwilę dłużej, niż wymagał tego obyczaj. Jego dłoń była lodowata. Piotr poczuł, jak po plecach przebiega mu dreszcz. Coś było bardzo nie w porządku. Mężczyźni popatrzyli na siebie. Piotr natychmiast odwrócił wzrok. Z oczu Daniela bił tak wielki smutek, że nie był w stanie udźwignąć jego spojrzenia. Były to oczy człowieka wyrzuconego na brzeg przez morze rozpacz. Kogoś, kto nie miał już siły płakać ani pomstować na los. W tym azylu dobroci, jakim była Willa pod Zwariowaną Gwiazdą, zatracając się w pracy i miłości, Piotrowi zdarzało się zapominać, że wokół toczy się wojna. Teraz poczuł się winny, że jeszcze przed chwilą kołysał w ramionach małego Franka, a Ada zasypywała ich obu pocałunkami,

że był tak szczęśliwy, gdy obok, za ogrodzeniem zoo, żyli ludzie pomiażdżeni cierpieniem.

– Miło mi pana poznać, doktorze – rzekł, byle powiedzieć cokolwiek.

Kleinmann skinął głową, lecz nadal milczał.

Dziwny człowiek – pomyślał Piotr.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Cisza pomiędzy nimi robiła się coraz bardziej niezręczna. Piotr raz i drugi poruszył się na krześle, wygładził zapraszkę na spodniach, strzepnął nieistniejący pyłek z rękawa. Przez cały ten czas mężczyzna obok siedział bez ruchu, jak kamienna rzeźba. Piotr z trudem powstrzymywał niedorzeczną chęć sprawdzenia, czy jego serce rzeczywiście bije. Najbardziej zaś chciał już stąd wyjść. Musiał jeszcze wykonać mnóstwo pracy przy lisach, zanim Wróblewski wróci z magistratu. Lisiarz był człowiekiem z natury łagodnym i prywatnie niezbyt zorganizowanym, gdy jednak chodziło o zwierzęta, wykazywał zdecydowanie i uporządkowanie, a nade wszystko wymagał od innych tyle, ile od samego siebie. Zupełnie jak Jan Żabiński. Głos Antoniny przerwał mu rozmyślenia.

– Doktor Kleinmann... – rzekła, po czym wzięła głęboki wdech i wyrzuciła z siebie pięć słów: – Doktor Kleinmann jest mężem Ady.

Piotr przenosił wzrok ze swojej pracodawczyni na Kleinmanna. W jego głowie zapanowała absolutna cisza właściwa ludziom przeżywającym szok.

– Wzięli ślub w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym, tu w Warszawie. Doktor Kleinmann pracował w szpitalu starozakonnych na Czystem – tłumaczyła pospiesznie Żabińska. – W czterdziestym pierwszym przenieśli się do getta. Rozłączono ich podczas wielkiej akcji wysiedleńczej. Od tamtej pory doktor Kleinmann szukał żony...

Antonina mówiła dalej, ale w uszach Piotra jej słowa zlewały się w jedną niezrozumiałą całość. Miał wrażenie, że wrzucono go do głębokiego szybu. Spadał i spadał, coraz głębiej i głębiej, tracąc kontakt z otaczającą rzeczywistością.

– Wiem, że to może być dla ciebie trudne... – mówiła Żabińska, a on miał wrażenie, że jej głos odbija się echem od zaciskających się wokół niego ścian.

To nie jest trudne, to nieprawda – tłumaczył sobie w myślach. – To nie może być prawda.

Pięć słów, pięć prostych słów wywołało wstrząs tak wielki, że Piotrowi zdrętwiało całe ciało, od ust poczynając.

– To jakaś pomyłka... – wychrypiał wreszcie, odzyskując częściowe panowanie nad sobą.

Dyrektorowa podeszła do niego. Ujęła dłoń Piotra i mocno ją uścisnęła, chcąc dodać mu otuchy.

– To pomyłka, prawda? – zapytał, patrząc jej prosto w oczy z dziecięcą ufnością. – Pani Puniu, to pomyłka...

Żabińska wiele razy widziała podobne spojrzenie u zdeorientowanych zwierząt. Jej serce zalała fala żalu. Przełknęła ślinę i mocniej ściskając dłoń Piotra, powoli pokręciła głową.

– Piotrze, pan doktor...

– Dowody! – wykrzyknął Piotr, nie pozwalając jej dokończyć.

Odepchnął dłoń Antoniny i zerwał się na równe nogi. Czuł, że traci panowanie nad sobą.

– Gdzie się podziała wasza słynna ostrożność w kontaktach z obcymi? – krzyczał. – Sprawdziła go pani? Skąd mamy wiedzieć, że to nie jest oszust? Kolejny szpicel? Szmalcownik? Mało takich męt kręci się teraz po Warszawie, czyhając tylko na okazję, by szantażować i denuncjować?

Błada twarz Kleinmanna spurpurowiała. Przygryzł dolną wargę, zacisnął pięści, ale nadal milczał.

– Doktorze, czy mogę prosić o metrykę? – poprosiła Żabińska, siłąc się, by zachować spokój.

Daniel bez słowa podał jej dokument, a ona przekazała go Piotrowi. Na chwilę zapadła cisza. Piotr przebiegł wzrokiem po linijkach tekstu i nagle wybuchnął śmiechem.

– I to ma być dowód?! – papier zaszeleścił od gwałtowności, z jaką nim pomachał. – To?! Przecież to o niczym nie świadczy! Tu jest napisane, że jakiś Daniel Kleinmann dnia tego i tamtego poślubił jakąś tam Adę Schultz.

Mówił tak szybko, jakby od prędkości wypowiedzianych przez niego słów miało zależeć jego życie. Przechadzał się nerwowo po pokoju i wymachiwał rękami, wyrażał wzburzenie całym swoim ciałem. Nigdy nie potrafił zbyt dobrze panować nad sobą, a już z pewnością nie wtedy, gdy chodziło o coś ważnego.

– Pani Puniu, tamtego dnia, gdy pan Jan przyprowadził do nas Adę, ona niczego nie pamiętała, prawda? – gorączkował się. – Nadal nie pamięta. Powiedziała, że ma na imię Ada, ale skoro niczego nie pamięta, dlaczego miała by pamiętać, jak się nazywa. Może usłyszała, jak ktoś kogoś wołał, i po prostu powtórzyła pierwsze lepsze zasłyszane na ulicy imię?

– Doktor Kleinmann rozpoznał żonę...

Piotr bez uprzedzenia przyskoczył do Daniela i chwycił go za poły marynarki. Był silnym mężczyzną, przywykłym do ciężkiej fizycznej pracy, mógł bez trudu obalić na ziemię tego chudego jegomościa, który pojawił się tylko po to, by zniszczyć mu życie.

– Opanuj się, Piotrze! – krzyknęła rozpaczliwie Żabińska, ale żaden z mężczyzn nie spojrzał nawet w jej stronę.

– A więc węszyłeś, gnido! – wrzeszczał Piotr, zaciskając palce coraz mocniej, tak że Daniel zdawał się z trudem dotykać stopami podłogi.

Piotr zacisnął dłoń w pięść i uniósł do góry, by wymierzyć cios. Kleinmann pobladł, ale nie zrobił nic, by się bronić.

– On o niczym nie wiedział, Piotrze! – zawołała Antonina. – Przyszedł do mnie. Jest lekarzem. Podczas wizyty zobaczył was, ciebie i Adę, przez okno, przypadkiem.

Piotr opuścił pięść, ale nie rozluźnił chwytu.

– Przypadkiem, tak? To wszystko jest jedną wielką farsą, pomyłką i doskonale o tym wiesz – wysyczał, patrząc Danielowi prosto w oczy. – Nawet jeśli przywiódł cię tu przypadek, to pozostaje pytanie, po coś przyszedł teraz? Czego tak naprawdę chcesz?! Pieniądzy? Większego zaufania Niemców kupownego życiem innych?

Daniel popatrzył Piotrowi prosto w oczy.

– Ada to moja żona – rzekł, po czym dodał niemal szeptem: – Ma trzy pieprzyki, dwa większe, jeden całkiem mały pomiędzy nimi, na żebrach, pod prawą piersią.

Palce Piotra momentalnie się rozprostowały. Daniel opadł na ziemię, zachwiał się lekko, ale się nie przewrócił. Przyglądał marynarce i bez słowa wrócił na swoje krzesło. Piotr stał w tym samym miejscu, wpatrując się w przestrzeń pustym wzrokiem. Miał wrażenie, jakby pod jego stopami rozwarła się przepaść. Nie widział wnętrza sypialni dyrektorstwa Żabińskich, nie czuł słodkiego, mlecznego zapachu, który zwykle unosi się w pokojach, gdzie przebywają niemowlęta, nie słyszał szumu drzew zbudzonych z letniego snu nagłym powiewem wiatru. Przed oczami miał nagie ciało Ady rozciągnięte na śnieżnobiałej pościeli. Widział samego siebie, jak przy migotliwym blasku świecy wodzi ustami po jej brzuchu i jeden po drugim całuje pieprzyki pod jej prawą piersią. Odtwarzał ten moment w pamięci wciąż od nowa. Nie myślał o niczym innym.

– Piotrze... – usłyszał łagodny głos Antoniny dochodzący do niego jakby z zaświatów.

Odwrócił się w jej stronę. W dobrych oczach pracodawczyni widział współczucie.

– Piotrze... – głos rwał jej się od emocji, które starała się stłumić. – Musisz... Trzeba zrobić to, co słuszne.

– To, co słuszne... – powtórzył głucho Piotr.

Nie mógł zebrać myśli. Nie płakał. Nie czuł złości, strachu, nienawiści. Przystał w ogóle odczuwać cokolwiek, poza zdziwieniem. Nie potrafił zrozumieć tego, co się stało. Być może tak właśnie umysł chroni ludzi przed wstrząsem, jednych zapomnieniem, drugich dezorientacją – rozmyślał jakby wbrew samemu sobie, jakby jego myśli odnalazły temat zastępczy, ciąg logiczny, punkt zaczepienia w nagle niezrozumiałej rzeczywistości. Gdyby człowiek od razu pojmował pełnię koszmaru, który mu się przytrafia, mógłby tego nie wytrzymać.

Piotr próbował poskładać elementy swojego życia, które niespodziewanie rozpadły się jak domek z kart ustawiony na parapecie, gdy nagły powiew wiatru zatrasnął okno. Jeszcze chwilę temu miał rodzinę, przybranego syna i ko-

bietę, którą kochał bardziej niż samego siebie. Odzyskał namiastkę poczucia bezpieczeństwa i sensu życia. Tego właśnie dnia, po raz pierwszy od początku wojny, pozwolił sobie na układanie precyzyjnych planów na przyszłość. Przed świtem obudził się nagle. Leżał, nie śpiąc, wsłuchując się w miarowy oddech śpiącej obok Ady i cichutkie pochrapywanie Franka, którego od tygodnia męczył katar. Był to ten moment dnia, gdy człowiekowi zawieszonemu pomiędzy jawą a snem wszystko, co nieprawdopodobne, wydaje się nagle możliwe. To też głowa Piotra wypełniła się natychmiast sennymi marzeniami, na które za dnia by sobie nie pozwolił. Wpatrując się w rzednącą ciemność, śnił, że gdy wojna się skończy, a do zoo powrócą słonie, gdy znów będzie mógł wykonywać swój zawód, pracować z najwspanialszymi zwierzętami tego świata, wówczas rozpocznie swoje życie na nowo. Poprosi Adę o rękę. Nie miał cienia wątpliwości co do zgody dziewczyny. Wezmą ślub, a potem zaadoptuje Franka i będą prawdziwą rodziną. Już na zawsze razem.

Już na zawsze razem... – to zdanie rozbrzmiało w głowie Piotra wypowiedziane głosem Marynki. Zadrżał. Wojna zniszczyła jego poprzednie życie, już raz odebrała mu żonę i dziecko. Nie, nie chciał tego ponownie przeżywać. Nie mógł dopuścić, by znów wszystko legło w gruzach, jak kamienica, którą w mroźny styczniowy poranek, kilka dni po ślubie z Marynką przed blisko sześcioma laty, w tym innym, nieskażonym wojną świecie, nazwał swoim pierwszym prawdziwym domem. Wystarczył jeden pocisk, by pogrzebać w rumowiskach jego sny o stabilizacji, o bliskości. Teraz mógł to zrobić jeden człowiek. Musiał się sprzeciwić. We wrześniu trzydziestego dziewiątego nie dano mu szansy na zawalczenie o los najbliższych, teraz ją miał. Musiał próbować walczyć.

– Nie – odezwał się nagle. – Nie, nie pozwolę na to! – powtórzył głośniejszym i bardziej stanowczo.

Żabińska popatrzyła na niego współczująco. Chciała coś powiedzieć, ale Piotr powstrzymał ją szybkim ruchem ręki.

– Nie, pani Puniu. Nie pozwolę temu człowiekowi odebrać mi wszystkich, których kocham.

– Piotrze, oni nie należą do ciebie. – Antonina starała się mówić spokojnie, choć głos jej się trząśł. – Nigdy nie należeli. Franek jest synem doktora Kleinmanna, a Ada jego żoną.

Piotr odwrócił się w stronę milczącego Daniela.

– W takim razie, gdzie pan był, kiedy Ada miała wypadek i straciła pamięć?! Gdzie pan był, kiedy rodziła Franka, leżąc w piwnicy na wysypanej słomą ziemi i gryzła skórzany pas, żeby nie zdradzić ich obecności nawet jednym dźwiękiem?! Gdzie pan był, kiedy Franek przyszedł na świat siny i bez życia?! – krzyczał, nie panując nad emocjami. Łzy żalu mieszającego się z furją ciurkiem płynęły mu po twarzy. – Czy to pan odsunął akuszerkę i próbował wtłoczyć w jego maleńką pierś choć odrobinę powietrza? Czy to pan parzył Adzie w oczy, gdy myślała, że jej dziecko umiera? Gdzie pan wtedy był, do cholery?!

– W getcie – odpowiedział Daniel głosem pozbawionym emocji.

– To żadne usprawiedliwienie! Nie mógł pan uciec?

– Nawet nie próbowałem.

Piotr poderwał głowę i spojrzał na niego zdziwiony, dysząc ciężko.

– To był piętnasty sierpnia. Tamtego dnia, gdy straciłem ją z oczu, nie wróciłem do domu na noc. W ciągu dnia odebrałem cztery porody. Wszystkie noworodki były niewiele większe od szczurów. Żadne nie zapłakało. Nie miałem jednak nawet chwili, by okazać współczucie. Jedna z matek, oszalała z rozpaczy, przegryzła sobie żyły. Nie zdołałem jej uratować. Musiałem amputować nogę prześlicznej, małej dziewczynce. Nie było czym jej znieczulić. Do dziś słyszę jej krzyk we śnie. To był dzień naznaczony rozpaczą i śmiercią, a noc, jak się okazało, nie miała przynieść tak wyczekiwanego oddechu.

Od dawna mówiło się o likwidacji żydowskich szpitali. Okazało się, że następnego dnia ma się rozpocząć zamykanie oddziału chirurgii, na którym pracowałem. Na naszym oddziale przebywało około sześciuset osób, trzy razy tyle, ile mieściło się tu w normalnych warunkach, większość z nich miała ciężkie rany, nie była zdolna do chodzenia, stania, pracy. Po południu nadeszła wiadomość, że liczba pacjentów ma zostać zredukowana do stu pięćdziesięciu. Reszta miała odjechać z Umschlagplatzu. Dyrekcji polecono przeprowa-

dzić selekcję wśród chorych. Mieliśmy wybrać, których spośród naszych pacjentów, spośród tych leczonych przez nas z oddaniem i poświęceniem, ocalimy, a których skazemy na pewną śmierć.

Zwykle na koniec dnia robiliśmy obchód. Stawaliśmy przy łózkach i rozmawialiśmy o danym przypadku. Tego dnia na obchodzie stawili się wszyscy lekarze z ordynatorami włącznie. Rozmawialiśmy po łacinie, by nie niepokoić pacjentów. Wreszcie ordynator nie wytrzymał. Oświadczył, że nie podpisze żadnej listy, i wyszedł ze szpitala.

Zbyt wiele cierpienia może złamać każdego. Ja także nie wytrzymałem. Zamiast wrócić do domu, ukryłem się w schowku na opatrunki, kiedyś wypełnionym po brzegi, teraz zupełnie pustym. Chciałem być sam. Wiara pacjentów w polepszenie ich losu często opiera się na sile lekarza. Wiara personelu w to, co robią, ich zdolność do poświęceń też wymaga nieustannego wsparcia autorytetem, wymaga czyjejś siły. I to zwykle ja byłem jej źródłem. Musiałem mieć pewność, że nikt mnie nie znajdzie, że nikt nie zobaczy mojej chwili słabości i zwątpienia. Chciałem choć na moment zasnąć, zapomnieć, modliłem się tylko, by nie śnić. Tego dnia bowiem najbardziej bałem się projekcji podświadomości, tego, co mógłbym zobaczyć pod zmorzonymi snem powiekami. Chwilę później pogrążyłem się we śnie bez snów, leżąc wprost na zimnej podłodze.

Chwila okazała się nieco dłuższa, niż planowałem. Obudziłem się dopiero następnego ranka, obolały na ciele, lecz z rozjaśnionym umysłem. – Sen rzeczywiście jest najlepszym lekarzem – szepnąłem, patrząc w swoje odbicie w lustrze. Znów byłem gotowy do walki. Umyłem się pospiesznie i wyszedłem na oddział, by uratować tylu, ilu zdołałam, wszelkimi dostępnymi mi sposobami. Okazało się jednak, że nad ranem Niemcy sami przeprowadzili selekcję i zapełnili pięć furgonetek pacjentami. Ostrzeżono mnie, że lepiej się ukryć, bo za dwa dni prawdopodobnie będzie wywózka wszystkich pozostałych, tak chorych, jak i personelu. Pracowałem cały dzień, pomagając tym, na których już zapadł wyrok śmierci. Liczyłem, że choć kilku uda mi się doprowadzić do stanu, w którym mogliby spróbować ucieczki.

Wieczorem, zmęczony i bez ducha, wróciłem do naszego pokoju. Miałem nawet kilka kawałków cukru, by przeprosić Adę, wynagrodzić jej i Racheli niepokój, którego z pewnością doświadczyły, gdy nie pojawiłem się bez uprzedzenia w domu na noc. Potrzebowałem ich jak nigdy dotąd.

Wszedłem do pokoju, ale ich tam nie było. W pierwszej chwili nie zaniepokoiłem się. Usiadłem na krześle i oparłem zmęczoną głowę na dłoni. To dziwne, jak człowiek pamięta każdy, najmniejszy i najbliższy fragment dnia, które zmieniają jego życie, choć przeżywając je, nigdy nie wie, że to właśnie one. Gdy pierwsze zmęczenie minęło, zacząłem się zastanawiać, gdzie mogą być. Za brudnym oknem powoli siniało letnie niebo, okrywając getto kołdrą smutku.

Pomyślałem, że może są w kuchni albo w którymś z pozostałych pokoi wizytują sąsiadów. Wszedłem na korytarz, zagadnąłem sąsiadkę.

– Ależ jak to tak, panie doktorze? – kobieta wyglądała na wyraźnie zmartwioną.

Lęk, który mignął w jej oczach, natychmiast zacisnął moje wnętrze w żelaznych kleszczach przerażenia.

– Myśmy myśleli, że wy wszyscy, doktorze... że gdzieś się zagubiliście – dodała szybko. – Ani doktorowej, ani Racheli nie było od wczoraj.

Moja żona i córka zniknęły.

– Córka? – spytał natychmiast Piotr, przerywając opowieść Daniela.

Kleinmann skinął głową.

– Mieliśmy córkę... – głos mu się załamał. – Tamtego dnia Niemcy zastrzelili ją na oczach Ady.

Żabińska wydała z siebie zduszony jęk.

Daniel nie zwrócił na to uwagi. Zanurzył się we wspomnienia, które powróciły gwałtowną falą.

– Nie pamiętam, co było dalej. Nie wiem, czy spałem tamtej nocy, a jeśli tak, to gdzie złożyłem głowę. Kilka kolejnych dni zupełnie zatarło się w mojej pamięci. Pamiętam tylko zlewające się w jedno dni, gdy przemierzałem ulice getta, poszukując Ady. O Racheli starałem się nie myśleć, ale za każdym razem, gdy słyszałem cieniutki dziewczęcy głos, lub gdy gdzieś w tle mignęła

mi niebieska wstążka, miałem wrażenie, jakby ktoś uderzył mnie w splot słoneczny. Zaczynałem się dusić. Starałem się myśleć tylko o Adzie, tylko ona mi została. Zawsze to ona była najważniejsza – ciągnął, wpatrując się przed siebie szeroko otwartymi oczami. – Osoba, która opowiedziała mi o śmierci Racheli, nie wiedziała, co stało się z moją żoną. Była pewna tylko jednego, że Ada nie została zastrzelona tamtego dnia wraz z córką. Uchwyciłem się rozpaczliwie myśli, nadziei, że żyje, choć przecież wcale nie musiało tak być. Od tamtej chwili celem mojego życia stało się odnalezienie Ady. Nic więcej się dla mnie nie liczyło. Nic.

Gdy znajomi proponowali mi ucieczkę, odmawiałem. Chodziłem codziennie na Umschlagplatz, żeby sprawdzać, czy ktoś przez pomyłkę nie skierował Ady do transportu. Udało mi się nawet załatwić dla niej papiery pracownicy fabryki szczotek Weitz, jednego z największych zakładów produkcyjnych pozostałych na terenie getta. Byłem przygotowany, by w razie spotkania móc wyrwać Adę z objęć śmierci. Całe lato czterdziestego drugiego zaniedbywałem chorych, by co dzień chodzić na Umschlagplatz. Nie myślałem o własnym bezpieczeństwie. Musiałem tam być, by w razie potrzeby zapewnić bezpieczeństwo Adzie.

Pewnego dnia na rampie kolejowej zobaczyłem moją ciotkę. Do transportu prowadzono ukochaną, młodszą o prawie dekadę, siostrę mojej matki. Widziałem ją, jak w ścisku, drobna i wiotka, idzie tym swoim charakterystycznym krokiem, lekko podskakując. Szła sama. Wuj, tak jak mój ojciec, zaginął po kampanii wrześniowej. Jej dzieci zmarły zeszłej zimy na tyfus. Na ich pogrzebie widziałem ją po raz ostatni. Ciotka wydawała mi się teraz tak mała, jakby skurczyła się w tej swojej samotności. Serce zacisnęło mi się z żalu. Była moją najbliższą krewną, ukochaną ciotką, która w dzieciństwie sadzała mnie na kolanach i karmiła czekoladkami od Fuchsa, nie zważając na utyskiwania matki. Zabierała mnie do parku i na karuzelę, kolejką wąskotorową do Wilanowa, statkiem na majówki na Saską Kępę, automobilem na festyny na Bielanach, gdzie objadałem się bezwstydnymi niekoszernymi kielbaskami, popijając je obficie wodą sodową z sokiem malinowym. Zimą zaś jeździliśmy na łyżwach po zamrożonej Łasze Siekierkowskiej. To ciotka zabrała mnie pierwszy

raz na strzelnicę i do fotoplastykonu. Te dobre, jasne wspomnienia, jedno po drugim przewijały się przed moimi oczami jak film wyświetlany na tle straszliwej scenerii Umschlagplatzu, powodując niemal fizyczny ból.

Musiała wyczuć, że się jej przyglądam. Rozejrzała się wokoło. Na krótką chwilę nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnęła się słabo, a w jej oczach zalśniły łzy. Tłum poniósł ją dalej. Nim zniknęła w czeluści wagonu, uniosła głowę i wyprostowała plecy. Zapewne chciała mi dodać otuchy, pokazać, że się nie boi, że nie muszę się martwić. Zawsze myślała najpierw o innych, a dopiero potem o sobie. Patrzyłem jak młody niemiecki żołnierz, jasnowłosy, o chłopczej, delikatnej urodzie, zasuwa drewniane skrzydła drzwi wagonu bez okien, służącego do przewozu zwierząt. Kto wie, może to ten sam, którym w ostatnie lato przed wojną przyjechały do zoo żyrafy? – pomyślałem wtedy. Pogrzeżyłem się w tych nonsensownych rozważaniach, upiornie kontrastujących z dramatem rozgrywającym się przed moimi oczami, tylko po to, by zagłuszyć żal. Wiedziałem bowiem, że nigdy więcej nie zobaczę poczciwego oblicza ciotki.

Być może podczas tych ostatnich chwil w Warszawie pocieszył ją widok kogoś znajomego. Myślała pewnie, że ulubiony siostrzeniec jakoś dowiedział się o transporcie i przyszedł się z nią pożegnać. Ta świadomość, zamiast przynieść mi ulgę, jeszcze pogłębiła moje wyrzuty sumienia i wstyd, jaki odczuwałem. Byłem tu, bo szukałem Ady. Przez cały ten czas, aż do tamtego dnia, ani razu nie pomyślałem o ciotce. Miałem w kieszeni przepustkę, mogłem ją uratować i wystarać się o nowe papiery dla Ady. Bałem się jednak i to właśnie strach zamknął mi serce na los ciotki. Bałem się, że będę musiał wybierać, że prowadząc ciotkę w bezpieczne miejsce, nagle gdzieś w tłumie zobaczę Adę i stracę szansę. Tak strasznie się bałem...

Kleinmann umilkł na chwilę, po czym dodał ciszej:

– Do dziś odczuwam obrzydzenie do samego siebie na myśl o tym, że pozwoliłem jej odjechać tamtym pociągiem...

Piotr przyglądał się ukradkiem swojemu rywalowi, zastanawiając się, jak wiele może znieść jeden człowiek. Ilu ludziom ta straszna wojna odebrała wszystko, a mimo to wciąż tliła się w nich resztką żywotności i nadziei.

– Na początku września lekarzom rozdano tak zwane numerki życia – podjął po chwili Daniel, opanowując emocje. – Udało mi się zdobyć jeden. Mogłem zostać w getcie. Wielka akcja likwidacyjna skończyła się w połowie września. Wszyscy odetchnęli z ulgą, ale wkrótce okazało się, że to nie koniec. Na przedwiośniu z niemieckich fabryk usytuowanych na terenie getta zaczęto wywozić maszyny. Nikt nie miał już wątpliwości, że wkrótce getto przestanie istnieć. Nadal jednak były tu tysiące ludzi, a ja nie straciłem wiary. Wciąż byłem pewien, że Ada żyje i że muszę być w pobliżu, gdyby wróciła do domu.

Gdy rozpoczęto ostateczną likwidację, moi przyjaciele, lekarze ze Szpitala Ewangelickiego błagali, żebym spróbował przedostać się na aryjską stronę. Ich placówka, usytuowana przed wojną między Leszmem a Nowolipiem, u zbiegu ulic Karmelickiej i Mylnej, przedziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się w granicach getta. Niemiecka, elegancka lecznica oddzielona była prowizorycznym murem od oceanu ludzkiego cierpienia. Jej pracownicy, z którymi niegdyś studiowałem, przez dwa ostatnie lata koszmaru udzielali nam, żydowskim lekarzom, pomocy, dostarczali leki, opatrunki, ukrywali pacjentów i przez cały czas nas dożywiali, choć sami mieli niewiele. Teraz znów oferowali mi swoją pomoc. Powiedzieli, że załatwią mi pracę w swojej placówce, znajdą bezpieczne mieszkanie. Sam Adolf Wojciechowski, w czasach szkolnych mój wielki autorytet w dziedzinie ortopedii, powiedział, że pierwsze parę dni mógłbym spędzić u niego w domu.

– Nie będą szukać Żyda u prawie Niemca – zażartował nawet, choć jego oczy pozostały poważne.

Rzeczywiście miał niemieckie korzenie, ale swoje koneksje w obozie wroga wykorzystywał na rzecz swoich prawdziwych rodaków, w służbie cierpiącemu człowiekowi. Uczył na tajnych kompletach uniwersytetu medycznego, pomagał ukrywać się i uciekać żołnierzom podziemia. Był wszędzie tam, gdzie trzeba było wygrać bój ze śmiercią i złem.

Wzruszenie odebrało mi mowę, gdy doktor Wojciechowski przedstawił mi swoją propozycję, która przecież mogła kosztować życie nie tylko jego samego, lecz także żony i dzieci. I oni, i ja, wiedzieliśmy, że dla Żydów w War-

szawie nie będzie jutra. Mimo to nie mogłem przyjąć zaproszenia. Grzecznie odmówiłem i nie pojawiłem się u nich więcej.

Wiedziałem, że nie zrozumieli, że uważają moje postępowanie za głupotę, brawurę. Nikt mnie nie rozumiał. Nie byłem typem bojownika, nigdy nikogo nie zabiłem. Słyszałem plotki o szykującym się powstaniu, ale ani przez moment nie pragnąłem przyłączyć się do walki o godną śmierć. Potrafiłem tylko nieść pomoc, leczyć lub przynajmniej ulżyć w cierpieniu, ale i to robiłem głównie po to, żeby czymś się zająć, żeby czas oczekiwania nie płynął tak niechętnie wolno. Czułem się bardziej samotny niż kiedykolwiek, odcięty od innych ludzi, niezdolnych zrozumieć, że jeśli Ada żyje, będzie mnie szukała właśnie tu, w getcie. Aryjska strona jawiła mi się jak ocean, w którym mogliśmy się nigdy nie odnaleźć, a ja wołałem śmierć niż życie bez niej.

Daniel wstał i wolnym krokiem podszedł do okna. Przyglądał się niewysokiemu miłorzębowi japońskiemu, który Jan zasadził przed domem na krótko przed wybuchem wojny. Patrzył na sercowate listki kołysane delikatnym letnim zefirkiem.

– Nigdy nie zdołałem wymazać z pamięci obrazu tamtej wiosny. Błękit nieba, śpiew ptaków, ciepło słonecznych promieni i dwie flagi, białoczerwona i białoniebieska, powiewające na barykadzie przy Muranowskiej. Cudem przeżyłem powstanie... – Daniel zawiesił głos, jakby wspomnienia, które go dopadły, były zbyt ciężkie. Po chwili jednak mówił dalej: – Straciłem wszystkich przyjaciół. Grzebałem ich jednego po drugim, aż wreszcie zostałem sam. Po powstaniu Niemcy zaczęli palić kamienice, by należycie ukarać buntowników, by nie przeżył nikt spośród ukrywających się w piwnicach ruin. Spędziłem dwa dni w studziencie, zanurzony po szyję w ściekach, zanim znalazłem kawałek suchego miejsca w głębi kanału. Słyszałem niesione przez echo podziemnych tuneli wycie ludzi płonących żywcem. Jęki konających kobiet, płacz osieroconych, dezorientowanych dzieci, skowyt ludzi duszących się gazem w jakiejś odnodze kanałów. Najgorsze były dziewczęce głosiki wołające: „Mamo, mamusiu”. W każdym z nich odnajdywałem głos Racheli i to doprowadzało mnie na skraj obłądzenia. Zakrywałem uszy, by nie rzucić się do ucieczki lub nie ruszyć w ich stronę, nie spróbować im pomóc. Resztki racjonalnego

myślenia nakazały mi jednak pozostać tu, gdzie byłem, skąd potrafiłem bez trudu odnaleźć drogę do bezpiecznego wjazdu. Niejednokrotnie słyszałem o ludziach podążających za głosami, które zdawały się należeć do ich najbliższych. Wkrótce tracili orientację, gubili się w kanałach, mylili wjazdy, wpadali w ręce Niemców lub tonęli w ciemności samotnie, nigdy więcej nie ujrawszy słońca. Sam nie wiem, który los wydawał mi się wówczas gorszy.

Przy życiu trzymała mnie myśl, że muszę zostać w getcie, choćby przestało istnieć. Byłem na skraju obłądzenia z samotności, głodu i wyczerpania. Umarłbym, gdybym nie czekał na Adę. Ta miłość, a może już obsesja, choroba wycieńczonego umysłu, któż to wie, podtrzymywała mnie przy życiu. Czekałem na nią każdego dnia i każdej nocy, modląc się do dalekiego Boga, by ona i nasze dziecko, znaleźli jakieś bezpieczne schronienie...

Głos Kleinmanna się załamał. Ukrył twarz w dłoniach. Piotr czuł, że po złości, która jeszcze chwilę temu zdawała się wypełniać każdą komórkę jego ciała, nie ma już śladu. Było jedynie współczucie dla tego mężczyzny, choć kochali tę samą kobietę. Nie mógł znieść łez Daniela. Bez słowa wyszedł z pokoju.

Na korytarzu przystanął, oparł głowę o ścianę, przymknął powieki i odechnął głęboko. Potrzebował samotności. Nagle poczuł coś miękkiego i delikatnego na wargach.

– Szukałam cię – szepnęła Ada, która nie wiadomo skąd i kiedy znalazła się obok niego.

Piotr patrzył na jej rozpromienioną miłością twarz i zrozumiał, że nie będzie potrafił się jej wyrzec. Nie był Danielem. Nigdy nie był typem bohatera, nie był zdolny do poświęceń. Był synem złodzieja, wnukiem prostytutki, nikt nie powinien od niego zbyt wiele wymagać. Gdyby los nie odebrał mu Marynki i dziecka, gdyby nie skradziono Tuzinki i nie zabito jej matki i ojca, być może jego życie również potoczyłoby się inaczej. Ale tak się nie stało. Życie nie jest sprawiedliwe, zwłaszcza na wojnie. On też stracił najbliższych, stracił wszystko. Teraz chciał tylko kochać Adę i być przez nią kochany. Tylko tyle i aż tyle. Nic więcej go nie obchodziło – ani wzniosłe ideały Żabińskich, które nagle zaczęły go drażnić, ani wyrzuty, które czyniło mu jego własne, zdra-

dzieckie sumienie, współczujące Danielowi. Nie chciał ich słuchać. Ada była jego i nie pozwoli, by ktokolwiek mu ją odebrał.

– Coś się stało? – spytała, poważniejąc na widok wyrazu jego twarzy.

Piotr pokręcił głową.

– Nie, tylko...

– Tylko...? – W jej głosie wciąż dało się słyszeć niepokój.

– Tylko tak bardzo cię kocham, Ado – wyszeptał, wtulając twarz w jej miękkie włosy, pachnące rumiankiem, słońcem i sianem, zapomnianymi zapachami letnich dni, beztroski, młodości. Ostatni raz czuł ten zapach w lecie trzydziestego dziewiątego, na kilka chwil przed tym, zanim runął jego świat. Włosy Ady, o trudnej do określenia barwie, łaskotały jego nos, policzki, miękko opadały na szyję.

Ogarnęło go dziwne przeczucie, że robi to po raz ostatni. Spróbował usunąć je z myśli, mocniej przyciskając do siebie Adę. Bijące od niej ciepło zdawało się rozpuszczać szron, którym strach powoli zmrażał jego duszę. Była w jego ramionach tu i teraz.

I będzie na zawsze – uspokajał samego siebie.

W tej samej chwili drzwi po drugiej stronie korytarza otworzyły się. Daniel stanął w progu i chwilę się im przyglądał, po czym włożył kapelusz i odszedł bez słowa, zostawiając w korytarzu uśmiechniętą Adę i Piotra, któremu od tego jednego spojrzenia przeszła ochota do życia.

4.

Zwykle ludziom dane jest jedno życie. Piotr miał jednak dziwne wrażenie, że nim stał się tym, kim był teraz, zdążył przeżyć losy przynajmniej trzech mężczyzn niemających ze sobą zbyt wiele wspólnego. Był zadziornym młodzieńcem z dziwnym marzeniem napędzającym go do życia, wolnym i wesołym, mimo trudnego dzieciństwa... Był też mężem i przyszłym ojcem, kornikiem, człowiekiem, w którego codzienności wszystko zdawało się poukładane, perfekcyjne, takie, jakie powinno być. Był wreszcie mężczyzną napiętnowanym traumą, tym, który nie dopełnił podstawowej powinności i nie zdołał ochronić swojej rodziny, pogrążonym w otchłani samotności. Jedynym elementem łączącym te trzy życia były słonie. Marzenie o słoniach, opieka nad słoniami, przyjaźń z nimi, a wreszcie rozpacz po utracie najbliższych zwierzęcych przyjaciół. Wtedy się rozpadł. Żył nadal, ale w środku był jakby martwy.

A potem pojawiła się Ada i cały świat rozbłysnął wszystkimi kolorami tęczy. Krew zaczęła szybciej płynąć w żyłach, oddech zrobił się głębszy, zapragnął znów żyć. Tylko ona się liczyła. Po raz pierwszy w życiu ktoś stał się dla niego ważniejszy niż marzenie o słoniach, ważniejszy niż on sam. To wszystko było jednak tylko złudzeniem.

Oszukiwał samego siebie, że cokolwiek może być na zawsze, że jakieś zawsze w ogóle istnieje. Cały ten czas próbował odbudować własny świat na kłamstwie, udając, że jej świata po prostu nie było. Wykorzystał i oszukał także Adę. On jeden w tym związku był świadomy tego, co działo się naprawdę. Tylko on zdawał sobie w pełni sprawę, że Ada nie pamięta, kim jest, skąd pochodzi. Starał się wierzyć, że przeszłość nie upomni się o kobietę, którą pokochał. Łudził się, że skoro ona nikogo nie pamięta, to wszyscy o niej zapomnieli. Czuł obrzydzenie wobec samego siebie, bo wiedział, że kilkakrotnie,

gdy się nad tym zastanawiał, miał nadzieję, że jeśli był ktoś ważny w życiu Ady, ot choćby ojciec Franka, to zginął już w getcie. Tylu ludzi marło tam codziennie z głodu i chorób, tylu wywieziono do obozów zagłady, rozstrzelano lub zakatowano za nic na ulicy. Dlaczego akurat on przeżył? – pytał samego siebie i nienawidził się za te myśli.

Ale było też dziecko. Bagatelizował podszepty sumienia. Okłamywał samego siebie, próbując żyć tu i teraz, z dnia na dzień. Ada starała się nie myśleć o tym, co skrywały ciemności zapomnienia, on zaś ze wszystkich sił pragnął nie myśleć o zagrożeniach, jakie może przynieść jutro. Teraz przeszłość upominała się o przyszłość.

Usiłował sobie wmawiać, że Ada nie miała przeszłości. Przez chwilę zdawało mu się, że mogą mieć teraźniejszość, na której zbudują wspólną przyszłość, ale i ten czas był skradziony. Daniel był przeszłością i winien być też teraźniejszością i przyszłością dziewczyny. To on był ojcem Franka i mężem Ady. To on był jej prawdziwą miłością. To on kochał ją bardziej niż samego siebie, gotów zrobić wszystko dla jej szczęścia. Uczucie, które żywiła do Piotra, było jedynie projekcją pozbawionego tożsamości umysłu. Złudzeniem.

Za oknem widział fluorescencyjną światłość niemieckich reflektorów oświetlających lewy brzeg Wisły, walczącą stolicę. Już wiedział, co powinien zrobić. Musi to wszystko zakończyć. Natychmiast.

Wstał z łóżka i bosy, by nie obudzić śpiących domowników, zszedł po schodach i przez jadalnię wszedł do gabinetu Jana. W innych okolicznościach nie poważyłby się na naruszenie prywatności dyrektora, ale teraz nie widział innego wyjścia. Wiedział, gdzie znajduje się skrytka z pistoletem pojedynkowym. Dyrektor Żabiński ukrył tę bezcenną pamiątkę w swoim gabinecie w pierwszych dniach wojny.

– Wojsku i tak się nie przyda – powiedział Jan tonem usprawiedliwienia, gdy wspólnie przygotowywali skrytkę. – Wartość bojową ma raczej niewielką, za to sentymentalną ogromną.

Piotr miał nadzieję, że dyrektor, który wychodził do Powstania w wielkim pośpiechu, nie pomyślał o wyjęciu pistoletu z niegwintowaną lufą, do której ładowano proch, a następnie kulę.

Zapalił stojącą w rogu pokoju masywną, żeliwną lampę, której klosz wykonany był z kawałków wygarbowanej skóry zwierzęcej. Nie świeciła zbyt jasno, zwykle pełniła raczej funkcje ozdobne, ale Piotrowi taka ilość światła w zupełności wystarczyła. Ukłęknął, otworzył drzwiczki i wsunął dłoń do wnętrza ciężkiej biblioteczki, gdzie za szkłem spoczywały książki doktora Żabińskiego. Najwięcej miejsca zajmowały pozycje naukowe o tematyce zoologicznej. Było tam też sporo literatury pięknej, głównie w języku niemieckim oraz cała dokumentacja związana z nieistniejącym Miejskim Ogrodem Zoologicznym w Warszawie.

Po omacku szukał zapadki. Wiedział, że musi gdzieś tu być. Nagle jego dłoń odnalazła coś innego. Wyjął podniszczoną, mocno zakurzoną fotografię. Strzepnął białawą warstewkę zapomnienia i przysunął lampkę, by przyjrzeć się uważniej swemu znalezisku. W żółtawym, przyćmionym świetle zobaczył własną twarz.

Doskonale pamiętał ów dzień, w którym reporter jednego z warszawskich dzienników zjawiał się w ogrodzie, by przygotować fotorelację do artykułu o pierwszych urodzinach ulubienicy wszystkich warszawiaków, Tuzinki. Wiosna tamtego roku przyszła bardzo wcześnie. W kwietniu wszystkie drzewa w ogrodzie były już gęsto obsypane różowymi, purpurowymi, żółtymi i białymi kwiatami. Wiośniany wietrzyk wraz z pierwszymi ciepłymi podmuchami, niósł wstęgi drobniutkich, kolorowych płatków, obsypując nimi wszystko wokół. Na fotografii wyraźnie widać kilka płatków jabłoni odcinających się bielą na jego ciemnej czapce. Zdjęcie nie było udane. Zgodnie z zamysłem reportera miało być na nim widać Kasię i Tuzinkę, a pomiędzy słonnicami ich opiekuna. Tymczasem na pierwszym planie była wielka głowa Piotra, a Tuzinka i Kasia stanowiły ciemne plamy na zupełnie rozmazanym tle. Piotr patrzył na twarz tego roześmianego młodzieńca i nie mógł uwierzyć, że to on sam sprzed zaledwie sześciu lat.

To właśnie tamtej wiosny oświadczył się Marynce, a ona go przyjęła. Wtedy też został oficjalnie pracownikiem Miejskiego Ogrodu Zoologicznego, któremu powierzono wyłączną opiekę nad małym słońciątkiem. To zajęcie było spełnieniem jego najskrytszych marzeń. Świat wydawał mu się prosty, piękny

i bezpieczny. W styczniu następnego roku ożenił się z Marynką. Starał się zapomnieć o przeszłości i cieszyć się teraźniejszością. O przyszłości nie myślał wcale. Nie miał wątpliwości, że czekają go wyłącznie dobre rzeczy. Był szczęśliwy. Tak bardzo szczęśliwy.

Poczuł tak silne uderzenie żalu, jakby ktoś kopnął go w brzuch. Na chwilę odebrało mu oddech, a potem poczuł ulgę.

– Przynajmniej w ogóle byłem szczęśliwy – szepnął i z żalem pomyślał o ojcu, babce i dziesiątkach innych ludzi, którzy nigdy nie zaznali szczęścia, choć ich życie trwało niekiedy bardzo długo.

Schował zdjęcie do kieszeni, obok poskładanej na czworo kartki z narysowaną ołówkiem podobizną Ady, i powrócił do szukania zapadki. Opukiwał podłogę pod biblioteczką, centymetr po centymetrze, aż wreszcie jedna z desek odpowiedziała głuchym łoskotem. Po chwili udało mu się wyjąć kilka obluzowanych klepek i wyciągnąć ze skrytki elegancką drewnianą kasetę. Wewnątrz, obok kalibrownika do kul, miarki i ubijaczki do prochu, spoczywał pistolet owinięty w chustkę w groszki, saszetka z materiałem wybuchowym oraz jedna jedyna kula. Piotr uśmiechnął się do siebie w ciemności. Wziął pistolet do ręki, przetarł delikatnie lufę chusteczką. Światło lampki załśniło odbite w ciemnym metalu.

Za chwilę będzie już po wszystkim – pomyślał, czując, że jego wnętrze wypełnia dziwna radość.

Miał jeszcze tylko jedną rzecz do zrobienia. Usiadł przy biurku i wyjął z kieszeni spodni skradziony Danielowi dokument tożsamości. Ten jeden raz mimowolnie nabyte w dzieciństwie umiejętności złodziejskie na coś mu się przydały. Obok położył swoją przepustkę polskiego pracownika niemieckiej fermy lisiej zajmującej się dostawami futer dla wojska.

Drżącą ręką, ostrożnie, by nie uszkodzić bezcennego dokumentu, zaczął odklejać własną fotografię. Zajęło mu to sporo czasu, bo tektura była dość cienka, a zdjęcie przyczepiono mocnym klejem. Musiał odklejać swoją podobiznę milimetr po milimetrze, bacząc, by nie zrobić dziury w dokumencie. Przetarł oczy zmęczone precyzyjną pracą wykonywaną przy zbyt słabym świetle. Nie mógł popełnić błędu. Miał tylko jedną szansę. Gdy wszystko było goto-

we, pęsetą odkleił także fotografię Daniela. Popatrzył na smutną, wyniszczoną twarz prawdziwego męża Ady. Nie czuł nic. Przysunął ją do źródła światła, blisko, bardzo blisko. Już tylko kilka centymetrów dzieliło małe zdjęcie od płomienia lampy.

Nagle Piotr pojął, z jaką łatwością mógłby się pozbyć Daniela. Nigdy dotąd ta myśl nie wydała mu się tak klarowna, a rozwiązanie wszystkich trosk ostatnich dni tak proste. Wystarczyło zniszczyć fałszywe dokumenty rywala i napisać anonimowy donos. Wszyscy wiedzieli, że doktor Kwiatkowski często bywa w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą, gdzie dogląda nowo narodzonej córki Żabińskich, ale nikt poza Piotrem i dyrektorstwem nie zdawał sobie sprawy z tego, że doktor mieszka na terenie zoo, w piwnicy spalonej ptaszarni. Dzięki temu nie istniało ryzyko narażenia Żabińskich na niebezpieczeństwo oskarżenia o ukrywanie Żyda. Wystarczyło, by w zawiadomieniu podał adres któregoś z pacjentów Daniela i dowiedział się, o której godzinie doktor wybiera się doń z wizytą. Nie powinno to być zbyt trudne zadanie. Poza tym mógł po prostu powiedzieć Niemcom, że Daniel jest ukrywającym się powstańcem.

Bijąca od płomienia jasność oświetlająca fotografię zdawała się ożywiać twarz Daniela. Nagle w jego rysach Piotr dostrzegł rysy Franka. Ten sam kształt podbródka, głęboko osadzone oczy, wydatne kości policzkowe. Nie mógł tego zrobić. Nie był w stanie skraść życia Danielowi. Szybko cofnął dłoń. Nie chciał budzić się i zasypiać z obawą, że któregoś dnia Ada odzyska pamięć i wszystko się wyda. Gdyby wróciła jej pamięć, z pewnością zaczęłaby pytać o męża i prędzej czy później odkryłaby prawdę. Wówczas niewątpliwie znienawidziłaby go, a kto wie, może odzyskawszy wspomnienia, zapomniałaby, że kiedykolwiek kochała Piotra. A Franek? Co powiedziałby temu malcowi, którego kochał jak własne dziecko? Że doniósł na jego ojca? Że jest winny śmierci tego, którego rysy odbijają się w jego twarzy? Że zrobił to z miłości do niego i jego matki?

Trzeba zrobić to, co słuszne – rozbrzmiały mu w uszach słowa Antoniny.

Uśmiechnął się ironicznie. Skąd on, dziecko nędzy praskiej ulicy, miał wiedzieć, co jest słuszne?

Należy postępować tak, jak nakazuje zwyczajna przyzwoitość – usłyszał w odpowiedzi głos Jana.

Lata spędzone u boku Żabińskich ukształtowały w nim człowieka, którym nigdy nie powinien być się stać, którym szczególnie teraz wcale nie chciał być – człowieka przyzwoitego. Od pierwszego spotkania pragnął być taki jak oni. Życ pełnią życia, z pasją, radośnie i prawdziwie, wymagając najwięcej od samego siebie, a wszystko poddać znakowi rozpoznawczemu Antoniny i Jana – imperatywowi przyzwoitości. Teraz nienawidził ich i siebie, ale rozgoryczenie i wściekłość na nic się zdały.

Tak, musiał zrobić to, co słuszne, inaczej nie mógłby w ogóle żyć dalej, utraciłby swoją tożsamość, nie mógłby spojrzeć w lustro. Lecz gdy robi to, co słuszne, jego życie ostatecznie straci swój sens. Co mu zostanie? Nie było Marynki i jego dziecka, którego nigdy nie poznał. Wybieg dla słoni był pusty. Pogrzebano na nim Kasię i Jasia, a Tuzinki, której towarzyszył od pierwszych dni życia, z pewnością też już nigdy nie zobaczy. Straci Franka, a nade wszystko Adę. Co go czeka w życiu pozbawionym jej widoku, jej ciepła, jej melodyjnego, lekko zachrypniętego głosu?

Spojrzał na rewolwer leżący tuż przy lampce i szybko przykleił fotografię Daniela do swojego ausweisu. Pieczęć pasowała idealnie. Spinaczem doczepił także swoją kenkartę. Daniel sam będzie musiał zadbać o przeklejenie fotografii. By jednak nie kusiło go dokonywanie jakichś heroicznych czynów, Piotr odkleił z dokumentu swoje zdjęcie. Stało się. Oficjalnie przestał istnieć. Nie miał już bezpiecznych papierów, a to w realiach okupowanej Warszawy oznaczało tylko jedno – śmierć.

To koniec – pomyślał. Ta myśl, zamiast go przerazić, sprawiła mu ulgę. Mógł teraz dowolnie dysponować swoim życiem. Był wolny.

5.

Daniel obudził się nagle. Nie był sam w bażanciarni. Słyszał czyjeś kroki. Ciężkie, choć tłumione. Jego umysł, wyćwiczony przez miesiące ukrywania się w ruinach getta, instynktownie rozpoznał źródło potencjalnego zagrożenia – mężczyzna, młody i sprawny. Tymczasem kroki przybliżały się. Ktoś cicho schodził w dół po schodach do piwnicy, w której za składowanym na zimę opałem ukrywał się Daniel. Gdyby był to ktoś z willi, z pewnością nie skradałby się w taki sposób.

Od początku, by zmniejszyć poczucie zagrożenia, a tym samym ułatwić sobie zasypianie, Daniel wciskał swój siennik za wielką hałdę węgla. Teraz myśl, że kiedykolwiek mógł poczuć się bezpiecznie w tak marnym ukryciu, wydała mu się wręcz śmieszna. Dodatkowo zdradzić go mogły pozostawione na widoku rzeczy. Poprzedniego wieczoru kropiło, więc zamiast jak zwykle zwinąć płaszcz oraz ubrania i schować w miejscu, w którym spał, rozwiesił je na wystającym konarze drzewa przewróconego przez letnią burzę, przeznaczonego do spalania, ale wciąż nie całkiem porąbanego. Był zgubiony. Nie miał szans w walce wręcz. Wciąż był zbyt słaby i nawet element zaskoczenia na niewiele by mu się zdał. Z piwniczki nie było drugiego wyjścia, żadnego okna czy korytarza wiodącego ku innym pomieszczeniom. Był w pułapce. Zimny pot oblał mu plecy. Wstrzymał oddech, starając się nie zdradzić swojej obecności.

Postać ukryta w mroku zeszła z ostatniego stopnia. Drobinę miazgi węglowej rozsypanego przy schodach zachrząściły pod stopami złowieszczo, jak łamane kości. A potem zapadła cisza. Daniel miał wrażenie, że słyszy w niej bicie swojego serca głośniejsze od dzwonu Zygmunta. – To koniec – pomyślał i po raz pierwszy w życiu zaczął się modlić. Tymczasem tajemniczy mężczyzna podszedł do konara, na którym wisiały ubrania. Daniel widział cień prze-

suwający się po ścianie. Był blisko, bardzo blisko. Zacisnął powieki. Niemal natychmiast zobaczył roześmiane twarze Ady i Racheli.

– Idę, córeczko – wyszeptał bezgłośnie.

Zaszumiało mu w głowie, a słoneczną wizję rozproszyły mroczki, które nagle zatańczyły mu przed oczami. Musiał zasnąć lub stracić przytomność. Gdy się ocknął, wszędzie wokół panowała cisza, mimo to Daniel nie odważył się poruszyć. Leżał i wpatrywał się w ciemność, aż przez szpary w podłodze ptaszarni nie przedostało się pierwsze światło dnia. Teraz, gdy było już jasno, dziwne zajście nocne wydawało mu się snem, projekcją podrażnionego umysłu. Wstał i rozejrzał się po swojej kryjówce. Wszystko było na swoim miejscu. Torba lekarska leżała zamknięta, dokładnie tam, gdzie zostawił ją poprzedniego wieczoru. Spodnie, płaszcz i marynarka, już zupełnie suche, wisiały na konarze. Odruchowo sięgnął do kieszeni, by sprawdzić dokumenty.

6.

Chwilę później, nie zważając na to, że ktoś może go zauważyć, biegł boso w stronę willi. Budynek spowijała mleczna mgła poranka, nadając mu nierzezywisty wygląd, jakby ten nieduży dom o prostej bryle, otoczony ze wszystkich stron zielenią, był ostatnią spokojną przystanią ginącego świata.

Daniel wpadł między krzewy, tam, gdzie skryte było wejście do tunelu. Po chwili szedł szybko przez piwnicę, mijając kolejne pomieszczenia, w których nikogo już nie było. Wbiegł po drewnianych schodach do kuchni, a stamtąd kolejnymi schodami na piętro. Bez pukania wtargnął do sypialni dyrektorstwa. Antonina nie spała. Siedziała na łóżku ubrana w cętkowany szlafroczek lekko rozchylony na piersi i oparta o wezglowie karmiła małą Tereskę. Nie zdziwiła się jego przyjściem. Spojrzała tak, jakby go oczekiwała. Jej oczy błyszczały smutkiem, a na policzkach lśniły mokre ślady.

– Piotr... – wydyszał Daniel.

Antonina skinęła powoli głową i by się nie rozplakać, spojrzała szybko na wtuloną w jej pierś małą dziewczynkę, która jadła, sapiąc cichutko przez mikroskopijny nosek. Widok Tereski napełniał ją spokojem i dodawał otuchy.

– Był tu – rzekła drżącym z emocji głosem. – Wiem wszystko.

– Jak pani mogła na to pozwolić?! – wykrzyknął Daniel.

– Piotr wie, co robi – odparła Antonina. – Powiedział, że od dawna nosił się z tą decyzją. Obiecał, że odnajdzie Jana.

Daniel zrozumiał, że nie wiedziała jednak wszystkiego. Bez słowa podszedł do jej łóżka, wyciągnął z kieszeni dokument i podał go kobiecie. Żabińska natychmiast rozpoznała bezcenną przepustkę Piotra. W jednej chwili jej twarz okryła się trupią bladością.

– Boże... Boże... – szeptała, kręcąc głową. – Poszedł do Powstania bez dokumentów... Niech Bóg ma go w swojej opiece. – Antonina nie zdołała dłużej powstrzymać szloch. Załkała tak gwałtownie, że mała Tereska otworzyła oczy i przyglądała się matce.

Daniel stał w milczeniu, ze spuszczoną głową.

Chwilę później usłyszeli ogłuszający huk. Przestraszone niemowlę zaczęło płakać tak rozpaczliwie, że szybko poczerwieniało na twarzy.

– Co to było? – zduszonym głosem zapytała Antonina.

Daniel ostrożnie podszedł do okna.

– Wielki pocisk! – krzyknął. – Leży nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od willi. Szybko!

Pomógł wstać Puni i zebrał błyskawicznie najpotrzebniejsze rzeczy dla dziecka.

– Szybko do piwnicy! – zawołała Antonina.

Na schodach do matki przypadł Rysio. Sięgał jej do ramienia i na co dzień twierdził stanowczo, że nie jest już dzieckiem, lecz teraz bez zażenowania wtulał się w matczyne boki, jakby to było najbezpieczniejsze miejsce na świecie.

Wszyscy domownicy zeszli przez kuchenne drzwi do bunkra urządzonego w piwnicy. Szczęśliwie od kilku dni, odkąd dowiedzieli się o konieczności ewakuacji i przenosinach fermy Lisiarza, nie było żadnych Gości. Daniel zbiegł jako ostatni, zamykając za sobą drzwi. Nad głową słyszeli ciężkie kroki biegających po domu Niemców. Zza piwnicznych okienek także dobiegały ich szczekliwe krzyki. Usiedli w rzędzie pod szerokim parapetem.

– Wezwali oddział saperów – tłumaczyła Antonina, tuląc do siebie dzieci. – Liczą, że pocisk nie wybuchnie.

Daniel spojrzał na Adę. Rozglądała się wokoło. W półmroku dostrzegł w jej oczach zwierzęcy strach.

– Gdzie jest Piotr? – szeptała coraz bardziej nerwowo. – Puniu, Piotr, nie ma Piotra. Gdzie on jest?

Daniel i Antonina wymienili spojrzenia. Rysio rozejrzał się po bunkrze.

– Właśnie, mam, gdzie jest Piotr? Przecież na dziś zarządzono ewakuację z zoo. To dziś musimy wyjechać jako opiekunowie lisów, jako pomocnicy pana Wróblewskiego, którego swoją drogą też nie ma. To dziś, nie pomyliłem dat.

– Pan Wróblewski wyruszył przecież już wczoraj przewieźć pierwsze zwierzęta z lisiej ферmy – przypomniała mu matka.

– A Piotr? – nie ustępował chłopczyk. – Czy Piotr pojechał z nim?

Ada wpatrywała się w napięciu w Żabińską. Twarz Antoniny stężała, jakby ostry ból przeszył jej wnętrze. Ani razu nie spojrzała na Adę, choć czuła na sobie jej intensywne spojrzenie. Po chwili zmusiła się do uśmiechu i powoli, cedząc każde słowo, powiedziała, zwracając się do synka.

– Piotr poszedł zaopiekować się twoim tatą.

Ada, która przez cały czas nie spuszczała oczu z Antoniny, wciągnęła głośno powietrze.

– Gdzie? Gdzie poszedł Piotr? – wychrypiała, jakby z każdą sekundą traciła głos.

– Poszedł do Powstania? Na Starówkę? – dopytywał tymczasem Rysio, nie dostrzegając napięcia pomiędzy kobietami. – Ale czy to aby nie jest niebezpieczne? Czy nie mówiliście, że przeprawa na lewy brzeg Wisły to samobójstwo? Zresztą, jak on chce się tam przedostać, skoro Niemcy całą noc obserwują rzekę? Popłynie kajakiem? Wpław nie, bo Piotr nie umie pływać, wiem to na pewno, mówił mi. A może spróbuje przedostać się do niemieckiego konwoju w przebraniu?

Dziesiątki pytań zdawały się rodzić w głowie chłopca niemal jednocześnie. Antonina nie słuchała ich jednak. Z niepokojem patrzyła na Adę, która wyglądała tak, jakby zamieniła się w słup soli.

Daniel wstał i zrobił kilka kroków w stronę dziewczyny. Chciał ją jakoś pocieszyć, ale Żabińska powstrzymała go spojrzeniem.

Jeszcze nie pora. Daj jej czas – zdawały się mówić jej oczy.

Skinął głową, lecz mimo wszystko nieco przysunął się do Ady, chciał być w pobliżu, na wszelki wypadek. Patrzył, jak jego żona osuwa się na betonową

posadzkę, wybuchając strasznym płaczem za ukochanym mężczyzną, który poszedł na pewną śmierć.

– Dlaczego? – szlochała, nie zważając na zgromadzonych wokół ludzi. – Czemu mi to zrobił? Czemu mnie zostawił? Dlaczego się nie pożegnał? Przysięgał, że nigdy mnie nie opuści. Przysięgał!

Daniel czuł narastającą odrazę do samego siebie. To on powinien był zniknąć, zostawić tych dwoje w spokoju, nie niszczyć ich związku w imię czegoś, co kiedyś istniało i może już nigdy nie powróci. Miał ją chronić przed cierpieniem, a nie doprowadzać na skraj rozpacz z powodu zranionej miłości własnej, własnych niespełnionych marzeń o ich wspólnej przyszłości. Chciał wyjść i ruszyć na wprost najbliższego patrolu. Zakończyć to wszystko. Nie potrafił żyć w tym nowym świecie owładniętym ciemnością, zapomnieniem. Nie potrafił udźwignąć tego, co zrobił Piotr. Nie mógł znieść łez Ady, wiedząc, że to on sam jest im winien. Tak, powinien czym prędzej dać się rozstrzelać.

Nagle poczuł, że czyjaś mała rączka wsuwa się w jego drżącą dłoń.

– Czemu mama płacze? – wyseplenił Franek, wpatrując się w niego oczami swej matki. – Coś złego się stało wujkowi, tak?

Daniel pokręcił głową.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz... – urwał nagle.

Wzruszenie odebrało mu mowę, gdy naraz uświadomił sobie, że oto w tym długim, ponurym pomieszczeniu, do którego nie zdążyło jeszcze tego dnia zajrzeć słońce, w bunkrze, który w każdej chwili mógł się stać ich grobowcem, po raz pierwszy trzymał za rękę swojego syna.

Antonina cały czas mówiła coś do Ady. Cicho, jakby szeptała jakieś zaklęcia.

– Ciocia Punia jest wróżką, wiesz? – wytłumaczył Danielowi Franek. – Wujek dużo razy powtarzał, że potrafi zaklinać zwierzęta. Opowiadał, że nawet tygrysy i lwy się jej słuchały. I wielkie słonie.

– Naprawdę? Nawet słonie?

Franek przytaknął.

– Wujek opiekował się kiedyś słoniami – powiedział smutno. – Też bym chciał kiedyś zobaczyć słonia.

– Zobaczysz, pewnego dnia zobaczysz – pocieszył go Daniel, po czym dodał nieśmiało: – Może razem zobaczymy?

Mijały minuty. Płacz Ady cichł z każdą chwilą. Wtulona w zimne kamienie, zasłuchana w głos Antoniny, wpatrywała się w widoczny ponad schodami obrys światła znaczący wejście do kuchni, jakby wciąż miała nadzieję, że zaraz stanie w nich Piotr. Daniel patrzył na nią i pojął, że nic nigdy nie będzie już tak jak dawniej. Jeśli Ada nie odzyska pamięci, być może on sam nigdy już nie zdoła zająć miejsca w jej sercu. Nawet gdy wyjawি jej całą prawdę, nie będzie mógł zmusić jej, by go pokochała tak, jak kochała Piotra. Wiedział, że tych dwoje połączyło coś wyjątkowego. Widział to wyraźnie, ale nie było w nim złości. Choć z trudem przychodziło mu patrzenie na ich wzajemną bliskość, rozumiał, że we wszystkim, co się wydarzyło, nie było ich winy. Tak jak nie jego winą była śmierć Racheli i rozłąka z Adą. Jediną winną była wojna.

Był wdzięczny Piotrowi, że zaopiekował się Adą i Frankiem, że dał im poczucie bezpieczeństwa, otoczył miłością.

A może jednak jest nadzieja – pomyślał, czując ciepło bijące z drobnej rączki skrytej w jego dłoni. Skoro Ada pokochała go niegdyś, może uda mu się ponownie odnaleźć drogę do jej serca. Był gotów to zrobić bez względu na to, jak wiele czasu i wysiłku miałyby go to kosztować. Złożył przysięgę Adzie i niepamięć żony nie zwalniała go z obowiązku pozostania jej mężem. Choć nie o obowiązek tu chodziło. Daniel nie był w stanie przestać jej kochać. Ona była tą jedyną, zawsze i na zawsze.

– Sytuacje się zmieniają, lecz ludzie pozostają tacy sami – mawiała jego matka.

Ada, choć nie była jego, wciąż była sobą. W każdym ruchu, w najmniejszych gestach, sposobie, w jaki zwracała się do Franka, w spojrzeniach, nawet w dźwiękach rozpacz, we wszystkim tym rozpoznawał Adę – jedyną miłość swojego życia.

Cokolwiek by się jednak stało, miał też syna. Piotr wcześniej to zrozumiał i zrobił to, co słuszne, dla Franka.

Teraz nadeszła jego kolej.

Zrobię wszystko, żeby kiedyś byli szczęśliwi, bez względu na to, czy Ada odzyska pamięć, czy nie. Przysięgam, Piotrze – powiedział w myślach, mocno ściskając małą rączkę spoczywającą w jego dłoni.

– Nudno tu... – mruknął Franek.

– Chcesz, żebym opowiedział ci historię? – spytał Daniel.

Chłopczyk skinął głową.

– Dawno, dawno temu, w pomalowanym słońcem świecie żyła sobie piękna, mała dziewczynka imieniem Rachela...

Posłowie

Niesamowita historia Jana i Antoniny Żabińskich, którą przypadkiem poznałam, gdy byłam w liceum, przez lata dojrzewała w moim sercu, pobudzała wyobraźnię, czekając na opowiedzenie, jednak wciąż nie byłam gotowa do jej napisania.

Gdy kilka lat temu pojawiła się książka Diane Ackerman *Zookeeper's wife*, a później zrealizowano film pod tym samym tytułem, z ulgą przyjął fakt, że ktoś inny podjął się ogromnego i niebywale trudnego zadania naszkicowania słowem obrazu małżeństwa Żabińskich. Ludzi, którzy w bezdusznych czasach, gdy jak mawiał Jan, „zachowanie się przyzwoicie” było w zasadzie szaleństwem, nierzadko równoznacznym z wydaniem wyroku w zawieszeniu z niewiadomą datą zapadalności, na samego siebie i najbliższych, potrafili być po prostu ludzcy. Na pustyni, w nieludzkim świecie ograbionym z wszelkich wartości i praw, stworzyli oazę człowieczeństwa.

Amerykańska książka oraz produkcja nie spełniły moich oczekiwań, choć jest to, podkreślam, wyłącznie mój subiektywny osąd. Miałam wrażenie, jakbym czytała niedoskonałą kopię wspomnień Antoniny Żabińskiej zawartych w autobiograficznej książce *Ludzie i zwierzęta*. Czułam, że ta historia domaga się większej uwagi, więcej prawdy, jakiegoś dopowiedzenia.

Bo Żabińscy nie tylko ratowali mieszkańców getta (na marginesie, w sposób nieco odmienny niż pokazany w filmie). Przechowywali także żołnierzy polskiego podziemia, którzy potrzebowali schronienia po akcjach dywersyjnych. Ukrywali młodych harcerzy działających w strukturach Szarych Szeregów, największej i najsprawniejszej organizacji bojowej młodzieży na świecie w czasie II wojny światowej. Zoo było tymczasowym schronieniem dla setek ludzi, którzy potrzebowali miejsca, w którym mogliby w miarę bezpiecznie poczekać na nowe dokumenty, rozkazy, transport, kontakt z bliskimi, lokum na dłużej czy możliwość opuszczenia miasta.

Żabińscy brali udział w wychowywaniu przyszłych polskich elit, tajnym nauczaniu uniwersyteckim na medycynie i farmacji oraz na wydziałach podziemnej Alma Mater Jana – SGGW.

W opuszczonych przez zwierzęta budynkach przechowywali broń Armii Krajowej. Produkowali ładunki wybuchowe, projektowali i składali broń.

Wychowani w duchu odpowiedzialności, dokładali wszelkich starań, by ocalić z pożogi stare drzewa i kwitnące krzewy parkowych fragmentów zoo. A nade wszystko, nawet wśród wojennej zawieruchy, ratowali ludzi i zwierzęta, nie licząc się z kosztami własnymi. Starali się zachować wszystko, co żywe, piękne i wartościowe, bo wierzyli, że okupacja kiedyś się skończy. Żyli snami o przyszłej Polsce.

W swoich wspomnieniach Antonina wyznaje, że wraz z Janem zawsze nosili przy sobie cyjanek. Codziennie godzili się więc z możliwością poniesienia śmierci za to, co robią, a mimo to działali z uśmiechem na ustach, delikatną nutką ironii, humorem, dystansem wobec wielkości swoich czynów. Dla nich to było coś zwyczajnego, tak należało postąpić i już.

Zdecydowałam się jednak opowiedzieć to wszystko nie wprost, a w formie tła dla głównego nurtu wydarzeń. Po pierwsze, ponieważ jestem pisarką i najzwyczajniej w świecie lubię wymyślać własne fabuły, w ramach historii nakładać własnoręcznie zmieszane barwniki na zagruntowane płótno faktów. Po drugie zaś, pragnęłam wyraźnie odciąć tę książkę od dotychczas podejmujących ten temat. Nie widziałam potrzeby pisania kolejnej biografii Jana i Antoniny, skoro Żabińska sama zrobiła to najpełniej.

Jeśli miałabym krótko wyjaśnić, kim są dla mnie Żabińscy, powiedziałabym, że to ludzie organicznie niezdolni do bierności wobec zła. Ich historia pokazuje, że człowiek nie jest nigdy do końca pozbawiony wyboru i żadne, choćby najokrutniejsze okoliczności zewnętrzne nie zwalniają nas z obowiązku bycia człowiekiem.

Odbierając w 1965 roku odznaczenie Sprawiedliwy wśród Narodów Świata Instytutu Yad Vashem, Jan Żabiński powiedział: *Ryzykowałem i dałem schronienie nie dlatego, że byli Żydami, lecz dlatego, że byli prześladowani. Gdyby prześladowani byli Niemcy, postępowałbym tak samo. Mowa bowiem o ludziach, którzy zostali skazani, choć niczego złego nie zrobili. To było przerażające.*

Historia Piotra, Ady i Daniela jest fikcyjną opowieścią, choć poskładaną z prawdziwych elementów. I tak, w Willi pod Zwariowaną Gwiazdą faktycznie przez pewien czas mieszkała matka z niemowlęciem. Jan Żabiński rzeczywiście przygotował listę zwierząt do odstrzału, choć każdego dnia modlił się,

by nie być zmuszonym do wydobycia jej z biurka. Walące się zbombardowane kamienice we wrześniu 1939 pogrzebały setki warszawskich matek. W zamkniętej dzielnicy żydowskiej poziom bestialstwa Niemców przekraczał wszelkie wcześniejsze wyobrażenia. Niejednokrotnie wymyślali oni okrutne zabawy z udziałem dzieci i w ramach rozrywki dokonywali ich egzekucji na oczach rodziców. Po powstaniu w getcie naprawdę pozostali robinsonowie, którzy żyli w piwnicach w morzu ruin... i tak dalej.

Chciałam opowiedzieć historię o różnych odcieniach miłości, wojnie, trudnych wyborach i konsekwencjach podejmowanych decyzji, o marzycielach i śnionych przez nich snach, o wierności, o odwadze graniczącej z szaleństwem, o pięknie ginącego świata, a wreszcie o tytułowej Willi pod Zwariowaną Gwiazdą, samotnej wyspie dobra i wartości na morzu ginącego świata.

Włożyłam sporo pracy w to, by cała fabuła była jak najbliższa prawdzie historycznej. Przeczytałam tysiące stron, przejrzałam dziesiątki map, zdjęć, gazet, rysunków. Przesłuchałam godziny nagrań radiowych, w tym wiele audycji ze wspomnieniami pani Teresy Żabińskiej-Zawadzki, córki Jana i Antoniny, a nade wszystko spędzałam czas w Warszawskim Ogrodzie Zoologicznym, poszukując śladów ich stóp na podłodze willi, odbicia źrenic w okularach Jana, dotyku palców Antoniny na starych drzewach. Starłam się zobaczyć świat ich oczami i jak najwierniej odmalować go w fikcyjnej opowieści. Jeśli gdzieś zawiodłam, niech ci, którzy to dostrzegą, przymkną oczy i zrzucą niedociągnięcia na rzecz wolności twórczej.

W narrację wpleciony został fragment piosenki *Bal na Gnojnej* autorstwa Juliana Krzewińskiego i Leopolda Brodzińskiego. Cytat z wypowiedzi Jurgena Stroopa pochodzi z książki *Rozmowy z katem* Kazimierza Moczarskiego.

Na koniec, choć może od tego właściwie powinnam była zacząć, chciałabym podziękować wszystkim, którzy pomogli mi podczas pracy nad tą szczególnie ważną dla mnie książką.

Dziękuję mojemu Mężowi, za miłość i przyjaźń, niezawodne wsparcie operacyjne, niebiańską cierpliwość i tłumaczenie mi dziesiątki razy dziennie, że wszystko będzie dobrze.

Liliane, za posklejanie moich skrzydeł i udzielenie im lekcji doszkalających z latania. I za współodczuwanie.

Mojej siostrze, Marcie, za pierwsze czytanie, pierwszy (niezapomniany!) komentarz i bezcenne uwagi.

Nataszy, za wiarę niezłomną, okraszoną solidną dawką humoru, co by nie było zbyt poważnie.

Magdalenie, za tłumaczenia dokonywane o każdej porze dnia i nocy.

Młodemu przewodnikowi w okularach, którego imienia nie udało mi się poznać, za to, że podczas oprowadzania po Willi pod Zwariowaną Gwiazdą z uśmiechem odpowiadał na moje wszystkie, najdziwniejsze nawet pytania.

Dziękuję z całego serca!

Maria Paszyńska

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Piotr

1937

1939

Ada

1942

Daniel

1944

Posłowie